

Baret Pierre

O czym marzą psyborgi



calibre 0.9.27

Pierre Barbet

O czym marzą

psyborgi

Przełożył: Tadeusz Markowski

ROZDZIAŁ I

- Napije się pan czegoś kapitanie Setni? - zainteresowała się hostessa z promiennym uśmiechem na twarzy.

- Z przyjemnością - zgodziłem się i wziąłem z tacy szklankę z Koktajlem Komandorskim.

Dziewczyna

odeszła,

pozostawiając

mnie

samego.

Diabelnie

potrzebowałem czegoś mocniejszego, żeby pozbierać myśli. Wciąż nie mogłem pojąć dlaczego Wielkie Mózgi wezwały mnie do Kalapolu - siedziby Wielkiej Rady Mędrców, rządzącej wszystkimi planetami Drogi Mlecznej.

Z jednej strony było mi to na rękę, bo zaczynałem mieć powyżej uszu dowodzenia marnym garnizonem na końcu Galaktyki. Nie ma nic gorszego dla oficera Floty niż czas pokoju. Trudno jest awansować, a ja nie miałem zamiaru pozostawać kapitanem aż do emerytury.

Faktem jest, że po ukończeniu Szkoły Kadetów nasza Konfederacja

musiała nauczyć moresu tych z Procjona. Pozwoliło mi to szybko

przeskoczyć porucznika i dostać szlify kapitańskie. Tyle, że od tamtej pory cisza.

W tym momencie usłyszałem nad uchem głośnie przekleństwo.

- Do stu tysięcy komet. Przecież to Setni.

- Pentoser! - krzyknąłem, widząc przed sobą sympatycznego olbrzyma - Nie mogłeś lepiej trafić.

- Lecisz do Kalapolu? - zapytał, siadając przy mnie.

- A jakże. Wezwany przez Wielkie Mózgi...

Wiadomość zrobiła na nim równie wielkie wrażenie, co wcześniej na mnie.

- Ho, ho! Gdzieś musi być niezła rozróżba skoro ich obudzili.

Nie różniliśmy się w poglądach. Z reguły Wielka Rada Mędrców nie prosi o opinię Wielkich Mózgów z byle powodu. Mózgi największych uczonych z całej Galaktyki są hibernowane w automatycznych pojemnikach. Od czasu do czasu są one budzone w celu przekazania im ostatnich osiągnięć nauki i techniki, po czym usypia się je ponownie. Przechowuje się je w laboratorium, umieszczonym setki metrów pod skałami, na których wybudowano Galax - siedzibę rządu.

- Prawdopodobnie. Ale tak naprawdę, to niczego nie wiem. Wsadzili mnie na priorytetowe miejsce w liniowym statku nie racząc oczywiście powiedzieć o co chodzi. A ty? Co tu robisz?

-

Nic specjalnego. Jestem na urlopie. Mój statek poszedł na

dwutygodniowy remont, więc pomyślałem, że dobrze by było wpaść na drinka do Kalapolu.

-

Święta racja. Nie ma nic lepszego niż stolica, jeżeli ktoś chce poszaleć. No i dzięki temu znowu cię spotkałem. Pamiętasz to pijaństwo po bitwie koło Rigela?

-

Masz! Przez tydzień nie mogłem dojść do siebie. Poszło mi wtedy żebro w czasie bójk z tymi typami z Urzany.

-

Tym razem nie licz na to, że cię wyciągnę z opresji. Minie sporo czasu zanim znów będę mógł sobie poszaleć.

-

Cholerny szczęściarz! Załapać się na misję specjalną w czasie pokoju, to prawie awans. Nie mówiąc już o tym, że trzeba mieć niesamowite notowania, żeby zostać wybranym.

- Prawdopodobnie. Ale z drugiej strony, jeżeli mi się nie uda, to ty będziesz pułkownikiem wcześniej niż ja majorem.

-

Tym się nie martw. Już jakbyś miał galony w kieszeni.

-

Co nie zmiepia faktu, że z przyjemnością dowiedziałbym się o co w tym wszystkim chodzi.

Kilka godzin później wylądowaliśmy w Kalapolu. Niby znam doskonale

stolicę, ale za każdym razem robi ona na mnie wrażenie. Gęsty las wieżowców, ponad którymi króluje Galax; kilometrowej wysokości wieża o ścianach wciąż zmieniających swoją barwę, która sprawia na przybyszu niezapomniane wrażenie. Kosmodrom huczał od startujących i lądujących nieprzerwanie maszyn. Nie dano mi zbyt długo podziwiać tego widoku. Jakiś oficer ze Sztabu Głównego zabrał mnie natychmiast do śmigacza eskortowanego przez policjantów, który ruszył jak bolid, kiedy tylko zająłem w nim miejsce. Ledwo zdążyłem pomachać ręką Pentoserowi na do widzenia.

Wylądowaliśmy na jednym z tarasów Galaxu i zaraz po sprawdzeniu tożsamości zaciągnięto mnie do sali obrad Wielkiej Rady Mędrców.

Wszystko to niepokoiło mnie coraz bardziej. Po co tyle starań dla zwykłego kapitana?

Olbrzymi amfiteatr, będący salą obrad delegatów wszystkich planet, był wypełniony po brzegi. Było tam w czym wybierać. Oprócz człekokształtnych wiele miejsca zajmowały istoty, których widok nawet na mnie robi niepokojące wrażenie. Stworzenia te pochodziły ze światów, na których ewolucja przebiegała zupełnie inaczej niż na Ziemi.

Zaowocowało to w istotach luskowatych, pierzastych, galaretowatych, z których sporo musiało używać skafandrów, zęby móc uczestniczyć w obradach. Egzobiologowie co i rusz odkrywali jakieś nowe formy inteligencji o niespotykanych zdolnościach, które niejednokrotnie okazywały się doskonałym; pomocnikami ludzi.

Sporo włóczyłem się po Drodze Mlecznej, ale przyznaję, że nie

podejrzewałem istnienia co najmniej jednej trzeciej delegatów.

Już na pierwszy rzut oka Zgromadzenie zrobiło na mnie wielkie wrażenie swoim majestatem. Na środku sali, na purpurowym podwyższeniu stał Prezydent Kampl. Spojrzał w moją stronę i poczułem ssanie w dołku tak, jak przed egzaminem. Stałem na baczność czując, że z wrażenia pot spływa ze mnie strugami.

- Szanowni delegaci - przemówił Prezydent - przedstawiam wam kapitana Setni. Wybraliśmy go spośród tysięcy za radą Wielkich Mózgów. Stwierdzono, że on najlepiej się nadaje dla pomyślnego wypełnienia delikatnej misji, o której wam za chwilę powiem.

Kampl zakaszlał i szybko zajrzał do leżących przed nim dokumentów.

-

Nasza Galaktyka jest olbrzymia. Nikt nie jest w stanie poznać jej wszystkich planet. Nasze statki badawcze co tydzień odkrywają nowe systemy gwiazdne. Za każdym razem postępujemy według sprawdzonego sposobu nawiązania kontaktu. Najpierw katalogujemy grupę spektralną gwiazdy. Następnie sterylne sondy lądują na planetach jej systemu, żeby stwierdzić obecność istot żywych lub jej brak. Jeżeli trafimy na cywilizację w zaawansowanym stadium rozwoju, to sondy badają ją pod każdym względem i gromadzą dokumentację audiowizualną. Na końcu dopiero, jeżeli nie ma żadnych przeciwwskazań - lądują nasi kosmonauci, w cel nawiązania bezpośredniego kontaktu z tubylcami. Po okresie próbnym przyjmujemy ich jako pełnoprawnych członków naszej Konfederacji.

Prezydent przerwał, żeby przeplukać gardło wodą ze stojącej na podium szklanki. Po chwili kontynuował swoje wystąpienie. Zgromadzenie słuchało go w absolutnej ciszy.

-

Miesiąc temu otrzymałem raport aspiranta Alpinosa dowodzącego lekkim statkiem rozpoznawczym w konstelacji Hydry. Oficer ten odkrył nowy system planetarny posiadający tylko jedną planetę nadającą się do zamieszkania. Ku jego olbrzymiemu zdziwieniu wysłane przezeń sondy natknęły się na coś w rodzaju nieprzenikalnej bariery i nie były w stanie dostarczyć nam żadnych informacji.

Wiadomość ta wywołała wielkie poruszenie wśród delegatów, którzy nie zważając na nic zaczęli żywo dyskutować między sobą na ten temat. Sam również byłem tym mocno poruszony. Nasze sondy rozpoznawcze są wyjątkowo nowoczesne. Posiadają urządzenia pozwalające na praktyczną niewykrywalność i są przystosowane do pracy w skrajnych warunkach. Musiały więc trafić na barierę wymyśloną przez piekielnie inteligentne istoty, a to już jest niepokojące samo w sobie.

Kampl szybko uciszył zebranych i kontynuował.

- Oczywiście natychmiast po otrzymaniu tej wiadomości obudziliśmy Wielkie Mózgi. Równocześnie wysłaliśmy drugą ekspedycję. Tym razem sondy pracowały normalnie. Przekazały nam informacje, że na planecie nie istnieje żadna forma życia. Cała jej powierzchnia jest jedną wielką pustynią.

Jednocześnie z przemówieniem Prezydenta na głównym ekranie sali

obrad pojawił się film wykonany przez tę ekspedycję...

-

Mimo że planeta spełniała wszelkie warunki do pojawienia się na niej życia, nasze sondy nie wykryły niczego. A więc w jaki sposób wytłumaczyć istnienie bariery? Czyżby jej gospodarze opuścili swoją planetę po naszej pierwszej wizycie? Alpinos, dowodzący również drugą wyprawą, postanowił upewnić się osobiście. Za pomocą promu wylądował na powierzchni tej planety. Potwierdził jedynie raporty wysłane przez sondy. Żadnych śladów życia.

Wielkie Mózgi poleciły zbadać gruntownie maszyny użyte w czasie tej wyprawy oraz samego Alpinosa. Okazało się, że niektóre elementy naszych sond nie pracowały tak, jak powinny. Alpinos po przebadaniu za pomocą psychosond okazał się jeszcze ciekawszym źródłem informacji. Niektóre obrazy pobrane z jego podświadomości zupełnie nie pasowały do raportu, który nam przedłożył. Nie można było niestety z całą pewnością stwierdzić, czy ktoś manipulował jego pamięcią. Jeżeli miało to rzeczywiście miejsce, to ten ktoś zrobił to prawie doskonale.

Tak więc Wielkie Mózgi nie zebrały dostatecznej ilości danych do podjęcia decyzji. Rozważano możliwość wystania Floty. Projekt ten odrzucono, ponieważ niewidzialni mieszkańcy tej planety posiadali najwyraźniej wielką przewagę technologiczną nad Federacją. Nikt zresztą, nawet Wielkie Mózgi, nie mógł zdobyć się na podjęcie tak poważnej decyzji na podstawie tak niepewnych informacji. Postanowiono więc wysłać w największej tajemnicy następną ekspedycję.

Najważniejszym problemem stało się przezwyciężenie owej hipotetycznej

bariery,

która

uniemożliwiała

naszym

agentom

zapamiętanie

prawdziwych obrazów z planety. Alpinos posiadał bardzo niski wskaźnik

odporności na hipnozę. Nasze komputery przejrzały więc karty osobowe

wszystkich żołnierzy i wybrały tych, którzy są najbardziej odporni na

hipnozę. Następnie wybrano najsilniejszych i posiadających najlepsze

opinie z dotychczasowej służby. Kapitan Setni, którego tu widzicie obok

mnie, został uznany za najlepiej nadającego się do wypełnienia tej misji.

Wiadomość ta bynajmniej mnie nie ucieszyła. Najzupełniej mogłem się

obejść bez tych wszystkich honorów. Z całego wystąpienia Prezydenta

wynikało niezbitcie, że nikt niczego nie wie na temat tej planety. Była

najprawdopodobniej zamieszкана przez nieznanne istoty - potężne i bez

wątpienia niebezpieczne, które nie będą z pewnością nastawione

przychylnie do mojej skromnej osoby. Tylko że nie miałem wyboru.

Gdybym odmówił, to żegnajcie wszelkie sny o awansie.

Westchnąłem więc tylko i dalej słuchałem gadaniny Prezydenta, która

przerwały na moment oklaski na moją cześć.

-

Oczywiście kapitan Setni zostanie wyposażony w najnowsze

zdobycze techniki i odbędzie przed odlotem dodatkowe przeszkolenie.

Psychologowie rozwiną do maksimum jego odporność na sugestie hipnotyczne. Jestem przekonany, że po jego powrocie otrzymamy wreszcie niezbędne informacje i będziemy mogli podjąć jakąś sensowną decyzję. Kapitan Setni nie raz już udowodnił, że można na nim polegać.

No właśnie - pomyślałem - idzie jak burza. Sam przeciwko całej planecie. Zamieszkanej przez mnóstwo istot, o których nie mamy zielonego pojęcia, jeśli nie liczyć mało istotnego faktu, że potrafią zmylić nasze najlepsze sondy i że prawie zrobiły wariata z takiego oficera jak ten Alpinos.

Kampl zwrócił się w moją stronę i wydawał się oczekiwać aprobaty z mojej strony. Musiałem coś powiedzieć.

-

Panie Prezydencie - wybąkałem - jestem niezmiernie zaszczycony tym wyróżnieniem. Mimo że zdaję sobie sprawę z trudności, proszę mieć pewność, że zrobię wszystko, żeby nie zawieść pańskiego zaufania.

Znów dostałem oklaski, potem pozwolono mi odejść. Tylko za drzwiami, gdzie strażnicy poprosili mnie żebym zaczekał. Po wypaleniu trzech papierosów poproszono mnie do gabinetu Prezydenta. Za biurkiem wydawał się jakby mniejszy niż na trybunie. Tylko wzrok miał tak samo przenikliwy.

-

Drogi przyjacielu - zwrócił się do mnie - cieszę się, że zgodził się pan wykonać to zadanie.

Całkiem nieźle - pomyślałem - kto by przypuszczał, że wielki Kampl nazwie mnie kiedyś droгим przyjacielem. Komputery musiały odkryć we mnie nie byle jakie zdolności.

-

...Chciałem się z panem spotkać osobiście, ponieważ nie o wszystkim mówiłem z trybuny. Prawdę mówiąc może pan spotkać wszystko na swojej drodze. Być może nawet istoty z zupełnie nieznannej Galaktyki. W rzeczywistości Alpinos wcale nie odkrył nowego systemu. Posiadamy mapy sprzed wielu lat, które różnią się jedną planetą od dzisiejszego wyglądu tego zakątka. Nagle pojawiła się tam nowa planeta. Czy zdaje pan sobie sprawę z poziomu technologii potrzebnej do zrealizowania podobnego wyczynu?

-

Jasne. Nie mamy żadnych szans, żeby im dorównać. Czy jest to zjawisko lokalne?

-

Jak dotąd nasi astronomowie gdzie indziej niczego podobnego nie odkryli. Na razie jest to przypadek pojedynczy.

-

I psychosondy absolutnie niczego nie mogły wycisnąć z Alpinosa?

-

Niczego konkretnego. Wygląda na to, że widział istoty bardzo do nas podobne, ale mogą to być obrazy pozostałe z jego poprzednich wypraw. Jeżeli ktoś naprawdę wymazał mu część pamięci, to zrobił to w

sposób, który nas przerasta o kilkanaście klas.

-

Ciągle zastanawiam się, dlaczego wybrano mnie? Pamiętam, że w czasie egzaminów do Szkoły Pilotów psychologowie wydawali się być zaskoczeni moją odpornością na hipnozę, ale przecież to jeszcze o niczym nie świadczy...

-

A jednak. Żaden inny pilot nie jest w stanie panu dorównać. Tam, gdzie wszyscy będą całkowicie zasugerowani, pan zachowa dalej zdolność podejmowania samodzielnych decyzji. Nasi specjaliści spodziewają się, że nawet jeżeli ktoś będzie panu podsuwał fałszywe obrazy, to choć może nie zdoła ich pan całkiem odrzucić, mimo wszystko będzie się pan starał je zanalizować. Oczywiście przeprowadzimy nowe testy. Zostanie pan zaszczerpiony i uodporniony na wszystkie znane choroby i większość trucizn. Egzobiologowie nauczą pana rozpoznawać wszystkie znane rasy żyjące w naszej Galaktyce. Technicy obiecali wyposażyć pana w najnowsze urządzenia komandosów zminiaturyzowane do maksimum. Nawet nasze komando nie posiada jeszcze takiego wyposażenia. Dostanie pan wszystko czym dysponujemy, żeby tylko zdołał pan wrócić z informacjami. Proszę nie zapominać, że być może jesteśmy świadkami próby inwazji na Drogę Mleczną.

-

Oczywiście, że rozumiem... i proszę być pewnym, że zrobię wszystko żeby wrócić i zdać raport. Czy mogę jeszcze zadać kilka pytań?

-
Proszę bardzo...

-
Ile czasu potrwa mój trening?

-
Najwyżej dziesięć dni. Nie mamy czasu do stracenia.

-
Z trybuny mówił pan o dyskrecji. W jaki sposób dostanę się na tę planetę?

-
Moi astronomowie znaleźli doskonały sposób.

-
Dziękuję panu...

-
Nie odwracajmy ról, mój drogi - Kampl wstał z fotela i poklepał mnie po ramieniu. - Wszystko zależy od pana. Będę czekał z niepokojem na pana powrót.

Uścisnął mi rękę na pożegnanie i odprowadził do drzwi. Za nimi czekał na mnie jakiś oficer.

-
Tortobag - przedstawił się - ze Służb Specjalnych. Prezydent polecił mi przygotować pana do zadania.

-
Bardzo się cieszę. Coś mi się zdaje, że w najbliższym czasie nie

musimy się obawiać bezrobocia.

Facet zmusił się w odpowiedzi do ponurego uśmiechu. Nie sprawiał zbyt sympatycznego wrażenia. Nie przejmowałem się tym, bo i tak nie mógł mi w niczym zaszkodzić. Po pierwsze przez najbliższe dziesięć dni będę zajęty, a poza tym nikt mnie nie zastąpi. Kiedy będę go miał dość, to mu po prostu powiem.

Tortobag zaprowadził mnie do Kwatery Głównej Floty, co przypomniało mi stare kadeckie czasy. Z tą różnicą, że tym razem moja kwatera była wyposażona doskonale.

W swojej naiwności wyobrażałem sobie, że trening będzie przypominał to, co przeżyłem w Szkole Pilotów. Rzeczywistość była zupełnie inna.

Pierwsi zajęli się mną lekarze. Przebadali mnie ze wszystkich stron i niczego nie wykryli, co nie przeszkodziło im przepisać mi całego mnóstwa lekarstw oraz środków przeciwalergicznych. Zaszczepiono mnie przeciwko chorobom, o których istnieniu nawet nie wiedziałem, a następnie przez całe dziesięć dni zwiększano codzienne racje trucizn wszelkiego typu, żeby mnie na nie uodpornić.

Pierwszego wieczoru byłem wykończony. Moi oprawcy bez najmniejszych wyrzutów sumienia wsadzili mi na łeb hełm, uczący i wzmacniający moją odporność na hipnozę.

O dziwo, rano obudziłem się prawie rześki.

Chyba naprawdę muszę być twardzielem.

Zaraz po śniadaniu dostałem się w ręce psychologów i psychiatrów, którzy wyzwali mnie z moich ukrytych lęków, zahamowań i stresów. Na

drugie śniadanie dostałem oczywiście przepisane dzień wcześniej leki. Potem zaserwowali seans w symulatorze. Stroboskopy, omamy, hipnoza, odporność na hałas, na światło, pobyt w komorze ciszy, koszmary holograficzne. Niczego mi nie oszczędzono. W sumie wybrnąłem z tego z honorem, co by świadczyło o tym, że specjaliści mieli rację co do mojej niezwyklej odporności psychicznej. Wieczorem o mało nie dałem się złapać, kiedy podstawiono mi faceta, który twierdził, że jest mną, a ja jestem jeszcze jednym kretyńcem uważającym się za Setniego. Na szczęście byłem tak zdenerwowany, że udało mi się rozwiązać ten problem natychmiast, stosując zwykły sierpowy.

Trzeciego dnia zostawiono mnie właściwie w spokoju. Specjaliści Floty zmierzili mnie dokładnie i przygotowali superskafander. Nic w stylu prostackich urządzeń stosowanych na co dzień. Przezroczysty plastik przylegający idealnie do ciała, przepuszczalny tylko od środka, odporny na ciepło, chłód, darcie, lasery i sztylety. Ktoś nie uprzedzony nigdy nie domyśliłby się, że noszę na sobie cokolwiek, a co dopiero takie чудо.

We włosy wpleciono mi cieniutką siateczkę, która miała dodatkowo i wzmacniać moją odporność na hipnozę. Na deser zabrano mnie na I strzelnicę, gdzie wypróbowałem wszystkie rodzaje broni jakie moi instruktorzy mogli o tej porze wyciągnąć z muzeów i arsenałów. Wyniki były różne.

Czwartego dnia trwały znów przymiarki. Tym razem chodziło o umieszczenie pod skafandrem jak największej liczby różnych przedmiotów: od kapsuł z tlenem, przez wzmacniacze psychiczne, aż po

ekrany energetyczne. Nigdy nie podejrzewałem naszych zbrojmistrzów o posiadanie takiego sprzętu. Mój arsenał odpowiadał uzbrojeniu kompanii komandosów.

Piątego dnia ćwiczyłem różne sposoby walki wręcz. Potem nastąpiło najgorsze: ujeżdżanie wszelkiego typu zwierząt. Kiedy już wszystkie maskary odprowadzono do zoo, byłem mokry od potu i zasnąłem bez żadnych środków nasennych.

Później były jeszcze ćwiczenia w obsłudze aparatów do błyskawicznej nauki języków i innych subtelnych urządzeń instalowanych w naszych sondach rozpoznawczych.

Ósmego dnia poznawałem arkana sztuki kamuflażu. Nie zwykłego mimetyzmu, który pozwala na zlanie się z otoczeniem. Chodziło o znacznie trudniejszą sztukę udawania różnych zwierząt. Dostałem oczywiście dodatkowe wyposażenie pozwalające na zmianę mojej postaci, koloru skóry, zapachu etc. Nauczono mnie mimetyzmu agresywnego, co krótko można wytłumaczyć tak: w jaki sposób upodobnić wilka do owieczki. Później zaś odwrotnie, uczono mnie jak owcę upodobnić do wilka. Nie warto się na tym rozwodzić. Przedostatni dzień był według mnie najważniejszy. Symulowałem dolot na planetę będącą moim celem. Wyglądało na to, że nasi astronomowie odnaleźli w pobliżu jakąś zagubioną kometę. Podejrzewam, że odrobinę pomogli jej w wejściu na kurs kolizyjny z moją planetą. Kosmolot miał mnie dowieźć do komety i wysadzić na niej w mini - kapsule niewykrywalnej żadnymi znanymi instrumentami.

Miałem

wylądować

w

deszczu

meteorytów

spowodowanym przez otarcie się komety o górne warstwy atmosfery.

Kosmolot miał czekać w oddaleniu na mój powrót. Tym razem

pozwoleń sobie postawić warunki. Zażądałem, żeby dowództwo

kosmolotu powierzono Pentoserowi. Wierzyłem, że jeżeli coś się nie

powiedzie, to on przynajmniej zrobi wszystko, żeby mnie stamtąd

wyciągnąć.

Tortobag był z wściekłości. Twierdził, że nie mogą znaleźć Pentosera.

Wreszcie, po długim studiowaniu jego kartoteki, zgodził się.

Ostatniego dnia zrobiono mi generalną powtórkę. Wsadzono mnie w

kapsułę

i

wyrzucono

gdzieś,

gdzie

przywitało

mnie

stado

najdziwniejszych potworów. Miałem szybko wybrać jedną z wyuczonych

technik, żeby się ich pozbyć. To był dopiero początek. Później zaczęło się

na całego: hipnoza, narkotyki, trucizny, a nawet superponętne syreny gotowe na wszystko, żeby tylko przypodobać się dzielnemu kapitanowi Setni. Podobno nawet Tortobag nie wytrzymał tego, mimo że tylko się przyglądał.

Osobiście nie bardzo w to wierzę. Po zakończeniu tej powtórki spojrział na mnie ponuro i mruknął tylko, że nie było źle i że może jednak uda mi się wyjść z tej misji z życiem...

Po tym treningu stałem się czymś w rodzaju nadczołowieka i super - komandosa. I wciąż miałem przykre wrażenie, że ci wszyscy dzielni ludzie trudzili się na darmo, ucząc mnie techniki walki z wszystkimi znanymi kreaturami, bo przecież miałem się spotkać z nieznanymi.

Ludziom, którzy mnie wysyłali na śmierć miało to z pewnością zapewnić spokój sumienia, a mnie miało przekonać, że muszę wygrać, bo jestem najlepszy. Osobiście nie robiłem sobie zbytnej nadziei, ale też uważałem, żeby się z tym nie wygadać.

Wreszcie pozwolono mi się zaokrętować i znów ujrzałem Pentosera na pokładzie Heliona, który miał mnie - pod jego rozkazami - dowieźć na miejsce.

Tuż przedtem musiałem wysłuchać ostatnich wskazówek Tortobaga, który jakoś nie mógł się ze mną rozstać, oraz odczytać list od Prezydenta, który przypominał mi, że "trzymam w swoich rękach los Konfederacji i że jego myśli będą przez cały czas ze mną". O mało się nie rozplakałem.

W końcu jednak wystartowaliśmy i mogłem się wreszcie swobodnie wyciągnąć w mesie Heliona obok Pentosera.

-
O rany! - westchnąłem. - Stary! Nie masz pojęcia co te typy ze mną wyprawiały. Każdego mogą zniechęcić do Floty. Najgorsze jest to, że nikt nie wie czy to całe szkolenie do czegokolwiek mi się przyda.

- **Kampl wyglądał na zdrowo przestraszonego - zauważył Pentoser, patrząc na mnie kątem oka. - To jest naprawdę tak poważne jak twierdzi?**

-
Mogę ci tylko powiedzieć, że nikt niczego nie wie. Oczywiście na razie nikt nas nie atakuje, ale zawsze to głupio, kiedy się pomyśli, że gdzieś w Galaktyce istnieje planeta z mądrzejszymi od nas stworzeniami, o której nic nie wiemy. Można się spodziewać najgorszego.

-
Łyso będzie, jeżeli odkryjesz tam tylko jakieś potwory z zoo.

-
Szczerze mówiąc - marzę o tym. Wiesz, że nie jestem tchórzem, ale tym razem zaczynam naprawdę żałować, że zgodziłem się przyjąć to zadanie. Kiedy walczysz z normalnym znanym wrogiem, to nie czujesz tego strachu. Wiesz, że może ci grozi śmierć, ale to przecież ryzyko zawodowe. Tu nic z tych rzeczy. Lecę w ciemno.

-
Rozumiem. Zrobię wszystko, zęby nie wykryli twojej kapsuły. Jeżeli coś nie wyjdzie, wystarczy, że nadasz wiadomość.

-
Właśnie dlatego chciałem żebyś leciał ze mną.

Dopilem do końca swój kieliszek i poszedłem spać Kilka godzin snu nie mogło mi zaszkodzić.

ROZDZIAŁ II

Pentoser to naprawdę równy gość Przez całą drogę chodził wokół mnie na paluszkach, dbając o spełnienie najmniejszej zachcianki. Podtrzymywał mnie na duchu ile razy wyczuł, że zaczynam tchórzyc i pomógł przy wprawianiu się w użyciu całego miniaturowego arsenału którym mnie obdarzono.

Najbardziej jednak ucierpiały zapasy żywności, z których korzystałem bez najmniejszych skrupułów w obawie, że jest to ostatnia okazja do najedzenia się do woli.

Słowem bez najmniejszego kłopotu dotarliśmy do rejonu, w którym miała się znajdować owa słynna planeta. Jedyne problem polegał na tym, że jej nie było we wskazanym przez astronomów miejscu. - Przez pewien czas kręciliśmy się po spirali, żeby wreszcie zupełnie niespodziewanie odnaleźć naszą małą zgubę. Znajdowaliśmy się wtedy dość daleko od naszego systemu. Nie obawiałem się zdemaskowania na tym etapie.

Pentoser jeszcze raz zapewnił mnie, że przez cały czas będzie czekał na mnie w tych okolicach. Był to poważny problem, ponieważ przydzielona przez Flotę kapsuła nie była w stanie samodzielnie dotrzeć do żadnej zamieszkaney planety Konfederacji. Byłem przynajmniej pewien jednego: ze Pentoser nie zostawi mnie na pastwę losu.

Nadszedł wreszcie moment startu na komętę. Miałem na niej pozostać przez pięć dni. Wystarczająco dużo czasu dla dodatkowych medytacji i

nadrobienia zaległości w spaniu.

Pożegnanie było krótkie. Pentoser zaklął szpetnie na szczęście, a ja pomachałem mu ręką. Jak na filmie Potem wcisnąłem się do kapsuły. W kilka sekund później znajdowałem się już na kursie pościgowym za kometą. Helion zamieniał się powoli w coraz mniejszą gwiazdkę, by wreszcie zupełnie zniknąć na tle Konstelacji Hydry.

Przez czas trwania lotu nie miałem właściwie nic do roboty, jeśli nie liczyć kilku maleńkich poprawek kursu.

Natomiast w miarę zbliżania się do mojego celu coraz baczniej przyglądałem się samej planecie. Gwiazda, którą okrążała należała do typu K i jej temperatura wynosiła około 400CTC. Planeta okrążała ją w optymalnej dla człowieka odległości. Nie było na niej zbyt zimno, ani zbyt gorąco. Mogła więc z powodzeniem być zamieszkana. Wszystko to potwierdzało dotąd wstępne obserwacje Alpinosa.

Piątego dnia mogłem wreszcie dostrzec szczegóły powierzchni. Jej atmosfera tworzyła na krańcach połyskujący pierścień i wyraźnie widać było ruchy chmur poniżej. Zauważyłem rozległe morza i oceany.

Kontynenty nie należały do największych. Właściwie należałoby mówić o wielkich wyspach leżących niedaleko siebie.

Ostateczne weryfikacje mojej orbity upewniły mnie, że kometa zahaczy o najwyższe warstwy atmosfery. W czasie ostatnich minut lotu dostrzegłem jeszcze duże obszary zielonej roślinności, choć nigdzie nie widać było śladów miast czy jakiegokolwiek świadomej działalności, która mogłaby wskazywać na to, że będę miał do czynienia z istotami inteligentnymi.

I tak już dwie rzeczy nie zgadzały się z raportem Alpinosa: nie było żadnej bariery i z całą pewnością na planecie istniała bogata roślinność. W momencie gdy moja kapsuła opuszczała jądro komety wystrzeliłem specjalnie przygotowany ładunek kamieni, żeby ewentualni obserwatorzy nie mieli żadnych wątpliwości, że naprawdę chodzi o deszcz meteorów. Kapsuła spadała błyskawicznie, ale radarów i ekranów podczerwieni nie włączałem aż do ostatniej chwili. Mimo to udało mi się znaleźć jakąś dolinkę i wylądować bezpiecznie, choć niezbyt elegancko.

Pierwszą rzeczą, którą zająłem się po wylądowaniu było znalezienie kryjówki dla kapsuły. Miałem szczęście. Kilkadziesiąt metrów od lądowiska znalazłem zupełnie przyzwoitą pieczarę. Po kilku sekundach umieściłem tam kapsułę, sprawdzając wcześniej w podczerwieni czy w środku nie ma nikogo. Na szczęście była pusta.

Następnie zająłem się drugim punktem: kontrolą atmosfery. Wyniki analizy potwierdziły moje wcześniejsze wiadomości. Planeta miała cechy wszystkich planet klasy 1 i co za tym idzie nadawała się do życia dla wszystkich klasycznych form życia opartego na chemii węglowodorowej. Niektóre mikroby i wirusy lokalne były nadzwyczaj patogenne, ale nie musiałem się ich obawiać w moim superskafandrze i przy superodporności, którą mnie obdarzono przed startem.

Teraz musiałem znaleźć jakiś okaz tutejszej inteligencji i porwać go w celu przystosowania moich aparatów do nauczania mnie lokalnego języka. Do tego oczywiście planeta powinna być zamieszкана przez istoty inteligentne. W to jednak nie wątpiłem już ani trochę. Dopiero potem

będę mógł się zastanowić, w jaki sposób najlepiej się upodobnić do tutejszej populacji.

Z tym musiałem poczekać do rana. Obliczenia, które przeprowadziłem będąc jeszcze na orbicie pozwoliły mi ustalić, że tutejsza doba liczyła około dwudziestu dwu godzin. Czyli według tutejszego czasu była teraz piąta rano. Nie musiałem czekać zbyt długo.

Z pierwszymi promieniami, w brzasku dziwnego ametystowego poranka wyśliznąłem się z mojej groty ubrany w kombinezon ochronny, który włożyłem na mój "normalny" przezroczysty skafander.

Zanim oddaliłem się od kapsuły postanowiłem narwać trochę gałęzi i chociaż odrobinę zamaskować ją przed spojrzeniami ewentualnych ciekawskich. Potem poszedłem w dół doliny, po raz pierwszy próbując wszystkich sztuczek kamuflażu, których nauczono mnie przed odlotem.

Kiedy tak czółgałem się przez zarośla nie mogłem powstrzymać się od myślenia o raporcie Alpinosa. Wszystko wyglądało jak najbardziej normalnie: liście, trawa, kwiaty nie przypominały oczywiście niczego co dotąd znałem, ale przecież wyglądały jak najbardziej realnie. Na niebie widać było lekkie chmury, a nawet miałem wrażenie, że dostrzegam kilka ptaków. Czyżby to wszystko było tylko iluzją? Mało prawdopodobne.

Technicy zgodnie podkreślali moją wyjątkową odporność na sugestię. A więc o co tu chodziło? Postanowiłem, że do czasu znalezienia rzeczywistych dowodów hipnozy będę traktował to wszystko co mnie otacza, jak realny świat. Zresztą dokładnie czułem każdy korzeń, o który się potykałem. Ból był jak najbardziej prawdziwy.

Kiedy doczłogałem się na skraj lasu, dostrzegłem pierwszy ślad obecności istot rozumnych. Nic nadzwyczajnego. Zwykłą ścieżkę wydeptaną wśród trawy. Co więcej, na ścieżce znalazłem odcisk kopyt jakiegoś zwierzęcia. Szedłem obok ścieżki przez pewien czas, aż dotarłem do skrzyżowania z jakąś szeroką drogą. Tam zająłem się, starając się zaasymilować jak najlepiej z otoczeniem i czekałem.

Okolica wyglądała na dziką i nie zamieszkaną. Żadnych śladów upraw rolniczych ani budowli. Roślinność miała tu ostrzejszy odcień zieleni niż na Polluksie, z lekkim błękitnym zabarwieniem. Kwiaty na przykład wydawały mi się wyjątkowo piękne. Było w tym coś podejrzanego, co robiło wrażenie sztucznej inżynierii. Tak, jakby ktoś specjalnie wyhodował to wszystko jedynie w trosce o śliczny wygląd.

Obok płynącego opodal strumyka rosły na przykład drzewa, które tworzyły lekki półokrąg. Sprawiały wrażenie celowo zasadzonych. Jakby jakiś nieznany artysta uparł się stworzyć akurat w tym miejscu miniaturowy park. Wszystko jak z obrazka. Zaczynałem czuć się jak na jakimś filmie, a nie w środowisku naturalnym nieznanej planety.

Słońce podnosiło się coraz wyżej nad horyzontem i zaczynało przyświecać coraz silniej. Nie musiałem czekać zbyt długo na moją ofiarę. Po prawej stronie usłyszałem wkrótce odgłos kroków i zauważyłem w oddali zgarbioną sylwetkę pomagającą sobie w marszu długim kijem. Człowiek? Jego długa, brudna suknia sprawiała na mnie wrażenie stroju jakiegoś pielgrzyma. Zresztą biedny tubylec nie miał nawet czasu na wezwanie swoich świętych na pomoc, igielka hipnotyczna trafiła bezszelestnie w

pośladek i na kilka godzin wysłała w ramiona Morfeusza, jeżeli akurat postać tę czczono na tej planecie. Zanim zabrałem się do oględzin mojej ofiary odczekałem chwilę, upewniając się, że nikt inny nie nadchodzi.

Odchylając jego kaptur z radością stwierdziłem, że twarz miał jak najbardziej ludzką. Odpadł więc przynajmniej jeden problem. Nie musiałem martwić się o charakteryzację. Potem przeszukałem jego sakiewkę, która była wypełniona po brzegi jakimiś złotymi monetami.

Bez żenady przywłaszczyłem je sobie. W zamian zostawiłem mu sztabkę czystego złota, które musiało być warte mnóstwo takich sakiewek. Ten biedak będzie miał mile przebudzenie. Złodziej uczynił go bogatszym niż był przed kradzieżą. To się rzadko zdarza - bez względu na planetę.

Pozostało tylko zaciągnąć go do mojej kapsuły.

Człowieczek na szczęście nie był zbyt ciężki i dość szybko udało mi się zawlec go do mojej groty.

Tam pozostało tylko włączyć urządzenie lingwistyczne i wkluć mu w głowę sondę. W kwadrans później aparat poinformował mnie, że jest już w stanie uczyć miejscowego dialektu.

Kwadrans trwała operacja uczenia mojej skromnej osoby tego dziwnego języka, który już po pobieżnym badaniu okazał się nie mieć nic wspólnego z żadnym z tysięcy języków zbadanych przez naszą Federację. Ludzie ci byli więc zupełnie obcymi przybyszami. Tylko w takim razie skąd się wzięli na Drodze Mlecznej?

Przyszłość miała z pewnością przynieść rozwiązanie tej zagadki.

Przynajmniej wierzyłem w to.

Pamięć mojej ofiary nie dostarczyła mi niestety żadnych znaczących informacji. Nazywał się Eudes i odbywał właśnie pielgrzymkę dla uczczenia jakiegoś Świętego Piotra, którego ołtarz znajdował się w kaplicy Opactwa Cluny. Był to szlachcic będący wasalem jakiegoś potężnego cesarza o imieniu Karol Wielki.

Nie było sensu zwlekać dłużej. Po raz ostatni pomyślałem o biednym Pentoserze, który tam na orbicie musiał się wciąż zamartwiać z mojego powodu. Sprawdziłem czy zabrałem ze sobą cały zminiaturyzowany arsenał i opuściłem już na dobre kapsułę.

Ukryta w gromadzie i pod gałęziami była prawie niewidoczna. Musiałbym mieć piekielny niefort, żeby ktoś się na nią nadział. Wtedy zresztą włączy się jej pole ochronne.

Odniosłem mojego pielgrzyma do traktu i tam dopiero zarzuciłem na siebie jego płaszcz i sandały, pozostawiając mu jedynie rodzaj krótkiej tuniki.

Następnie poszedłem traktem w kierunku miasta o nazwie Paryż. Według informacji uzyskanych od Eudesa, cesarz, który tam rezydował zdobył swoją renomę w wojnach z niewiernymi zza gór. Broń tych ludzi nie wyglądała groźnie. Elita ich wojska składała się z rycerzy walczących na roślinożernych zwierzętach zwanych rumakami.

W tym miejscu naszyły mnie mile myśli o facetach, którzy uczyli mnie jazdy na przedziwnych zwierzętach.

Szedłem tak sobie dość długo nie dostrzegając niczego interesującego.

Wydawało mi się jedynie, że okolica staje się coraz mniej dzika.

Gdzieniedzie dostrzegalem juz maleńkie poletka uprawne lub niewielkie sady porośnięte pnączami. Raz zauważyłem rolnika zajętego ścinaniem grubych palek złotawej trawy.

Droga była bardzo źle utrzymana i nogi wkrótce zaczęły mi dawać znać o sobie. Nie byłem przyzwyczajony do tego rodzaju długich marszów.

Zbliżałem się do maleńkiego zagajnika gdy usłyszałem za sobą odgłosy galopu i szczech obijających się o siebie kawalków metalu. Obejrzałem się za siebie i dostrzegłem wielkie zwierzę na którym galopował jakiś człowiek ubrany w metalowy skafander. Jeździec i rumak pędzili na mnie wzniesając burzę kurzu.

Na wszelki wypadek wskoczyłem do rowu trzymając rękę na kolbie paralizatora ukrytego w skafandrze.

Najwyraźniej miałem do czynienia z jednym z owych rycerzy.

Ten zaś nie zwracał na mnie żadnej uwagi. Obejrzałem go sobie dokładnie zanim mi zniknął zupełnie z oczu. Pod pokrywą jego kasku, podtrzymywaną przez skórzany pasek, zobaczyłem jasną twarz z blond wąsikami. Człowiek trzymał w prawej ręce długą drewnianą tykę zakończoną czymś w rodzaju sztyletu. U boku dyndała metalowa rura, skrywając bez wątpienia rodzaj miecza. Długie metalowe buty zakończone były w okolicach pięty igielkami, których używał do popędzania swojego rumaka. Lewą ręką trzymał lejce połączone metalową poprzeczką w pysku zwierzęcia.

Całość nie wyglądała zbyt zabójczo.

Trochę uspokojony udałem się w dalszą drogę.

W miarę marszu zaczynałem kojarzyć nazwy, które przekazał mi mój aparat lingwistyczny. Metalowe przykrycie na głowie rumaka nazywało się tu kolpakiem. Igielki na piętach to ostrogi, a tyka nosiła nazwę lancy. Na kasku chwiały się grzebienie i kolorowe tyczki, które z niego wystawały. Spełniały funkcję czysto ozdobną i nie były antenami jak można było sądzić na pierwszy rzut oka.

Kiedy doszedłem w końcu na skraj lasu posłyszałem ponownie brzęk żelastwa. Mój rycerz walczył z dwoma swoimi kolegami, którzy wyraźnie traktowali go bardzo surowo. Z wyraźnym trudem utrzymywał się jeszcze w polu i wynik tej walki był według mnie przesądzony.

Moją słabością była skłonność do maleńkich bijatyk. Tym razem również nie zastanawiałem się zbyt długo. Ostrożnie zbliżyłem się do jednego z kolegów i strąciłem go na ziemię za pomocą mojego patyka. Nie miałem już żadnych wątpliwości. Ci ludzie byli prawdziwi.

Wypuściłem moją broń, gdyż zaczepiła się na nodze przeciwnika i chwyciłem jego miecz, który wypadł mu z ręki. Rycerz zachowywał się dziwnie. Zamiast wstać i walczyć leżał nosem w ziemi i wydawał się niezdolny do żadnego ruchu. Dalszy ciąg zamarkowałem. Udałem, że kilka razy porządnie mu dołożyłem płazem po głowie i żebrach, a naprawdę to walnąłem mu serię z paralizatora, po której musiał mieć dość na ładnych parę godzin.

Moje działanie zmusiło jego kolegę do głębokiej refleksji. Tym bardziej, że teraz miał mnóstwo kłopotów z powstrzymaniem furii przeciwnika. Po kilku sekundach zawinął się i zaczął uciekać. Nie czekał na okazję do

wykazania się tak niedawną odwagą.

Zostałem sam na sam ze swoim protegowanym.

-

**Wielkie dzięki, mój panie - odezwał się. - To dla mnie wielki honor
być dłużnikiem tak wspaniałego żołnierza. Klnę się, że trzeba mieć nie
lada odwagę, żeby zaatakować gołymi rękami rycerza w pełnej zbroi.**

**Nazywam się Huon z Bordeaux... - to mówiąc, wyciągnął na powitanie
rękę.**

-

**Bracie... - wybelkotałem niepewnie - jestem tylko zwykłym
pątnikiem w drodze do Opactwa Cluny. Bóg nakazuje pomagać bliźnim w
potrzebie. To właśnie uczyniłem i nie należy mi się nic w zamian.**

Nazywam się Aucassin z Sernes.

-

**Jak na pątnika świetnie władasz mieczem. Ten rycerz wydaje się
być nieprzytomny na bardzo długo.**

**Mówiąc to zeskoczył na ziemię, przyklęknął przy mojej ofierze i podniósł
do góry jego kask.**

-

**Na Boga! Królestwo nie ma już następcy tronu. Zabiłeś rodzonego
syna cesarza.**

-

**Nie może być! Wziąłem tych dwóch rycerzy za rozbójników
pragnących zawładnąć twoją sakiewką...**

-
Daję słowo, że to nie twoja wina. Jechałem oddać cześć mojemu władcy. W pałacu jego syn wszczął ze mną kłótnię, twierdząc, że mój ojciec ukradł niegdyś koronie trzy zamki. Chciał się na mnie za to zemścić, ale na szczęście cesarz Karol rozkazał mu puścić mnie i pozwolił mi spokojnie odjechać do moich dóbr. Nie chciał widocznie, aby mówiono, że na dworze cesarskim pozwolono na zamordowanie wasala. Pozwolono mi więc odjechać. Ten zdrajca złamał słowo cesarza i zaczął się tu na mnie. Bez twojej pomocy zginąłbym.

-
O ja biedny - wykrzyknąłem zasłaniając sobie twarz kapturem – co teraz pocznę? Cesarz nie daruje rni, kiedy się dowie co zrobiłem.

-
Mój panie, nie zostawię cię bez opieki. Pójdź ze mną do moich dóbr. A tam, przysięgam ci na święte relikwie, ja i moi baronowie staniemy w twojej obronie.

-
Taki pech. Miałem nadzieję dowiedzieć się mnóstwa rzeczy od świętych mnichów z Cluny. Potem chciałem odwiedzić dwór Karola Wielkiego. Mówią, że jego astronomowie posiadają olbrzymią wiedzę. No i czyż ten władca nie jest najpotężniejszą istotą na świecie?

-
Biedaku! Wygląda na to, że nie masz zielonego pojęcia o sprawach tego świata. Cesarz i książę Naime cieszą się z pewnością olbrzymią sławą

związaną z ich wyczynami na wojnach z niewiernymi. Mnisi są świętymi, ale ich władza duchowa i potęga Karola są śmieszne w porównaniu z magią prawdziwego władcy tej wyspy. Nikt nie śmie się z nim równać.

-

A któż to taki?

-

Gnom Oberon. Mag. Król elfów, który może wszystko. Jest to najwspanialszy człowiek. Po Jezusie. Nikt nie może ukryć przed nim swoich myśli. Sam umie przenieść się tam gdzie tylko tego zapragnie. Nawet zwierzęta i ptaki uznają jego wyższość nad sobą. No i jego śpiew - porównać go tylko można z niebiańskimi pieśniami aniołów.

-

Aaa, on. Słyszałem wiele o tym cudownym gnomie, ale sądziłem, że to legenda.

Huon wydał się lekko przestraszony moimi słowami.

-

Wasalu - krzyknął - znasz nasz język, ale mówisz jak obcy. Wiedz, że Oberon słyszy każde twoje słowo i że nikt nie może ujść jego zemście. Niegdyś pomógł mi w ciężkiej potrzebie i mogłem naocznie przekonać się o jego sile. Jestem twoim dłużnikiem, ale będziesz musiał uważać, żeby w mojej obecności nie obrażać tego potężnego maga.

-

Nie miałem takiego zamiaru. Całkowicie polegam na twoich słowach.

-
Skoro mi ufasz, to jedź ze mną do Bordeaux. Może spotkamy po drodze tego, który wie wszystko i który, być może, raczy zechcieć cię oświecić. Przede wszystkim musimy stąd odjechać. Cesarz z pewnością wyśle swoich rycerzy na poszukiwanie syna i nie chciałbym być w twojej skórze, gdyby cię tu przyłapali.

Mówiąc to Huon dosiadł ponownie swojego wierzchowca. Ja zadowolilem się zwierzęciem rycerza, który leżał wciąż na ziemi. Strzemię w strzemię ruszyliśmy na południe.

Dzięki szkoleniu w Kalapolu udawało mi się jakoś zachować twarz w obecności naprawdę doświadczonego jeźdźca. Po krótkim czasie mogłem już nawet zacząć myśleć, a nie tylko starać się kurczowo utrzymać w siodle.

Mój towarzysz wyprzedził mnie jednak o kilka długości i nie mogłem powstrzymać się od uczucia zazdrości na widok swobody, z jaką trzymał się w siodle. Bez niego z pewnością pogubiłbym się na tych wąskich leśnych drózkach.

Dopiero teraz zaczął do mnie docierać sens słów Huona.

Było dla mnie rzeczą zupełnie jasną, że ten słynny czarodziej nie był żadnym magiem. Oberon musiał posiadać sporą wiedzę techniczną, za pomocą której omamiał tych niezbyt cywilizacyjnie rozwiniętych ludzi.

Jeżeli naprawdę mógł się przenosić z miejsca na miejsce to mogło to znaczyć, że znał sztukę teleportacji. Chyba że po prostu zbudował sobie jakiś helikopter czy samolot. Skoro oblaskawiał zwierzęta i ptaki, to

znaczyło dla mnie, że stosował hipnozę. Najbardziej niepokoiło mnie stwierdzenie, że nikt nie mógł ukryć przed nim swoich myśli. Ten karzeł musiał z pewnością posiadać wyjątkowe zdolności telepatyczne i zaczynałem się zastanawiać czy będę w stanie mu się oprzeć. Wszystko to składało się na bardzo niepokojący obraz, bo świadczyło o istnieniu wysoko rozwiniętej technologii przynajmniej w kręgach władzy, przy zupełnie feudalnym stopniu rozwoju zwykłych mieszkańców planety. Byłem pewien, że ten słynny cesarz nie przedstawiał dla mnie żadnego niebezpieczeństwa. Poza tym, wbrew temu co myślał Huon, wcale nie zabiłem jego syna, który wkrótce powinien zupełnie przyjść do siebie. Pomyśli z pewnością, że padł ofiarą tajemnych mocy i będzie szeroko rozpowszechniał tę wersję. Nie jest przecież dyshonorem dla rycerza ulec magii. Mogło to odnieść ten pozytywny skutek, że inni rycerze dwa razy się zastanowią zanim zdecydują się mnie zaatakować. Tę jedną sprawę miałem jakby załatwioną.

Natomiast pozostawał Oberon. Mógł być niebezpieczny, musiałem za wszelką cenę spotkać się z nim. Czulem, że tylko on może przedstawić mi prawdziwy obraz tej planety.

Najprościej było pogadać na ten temat z moim towarzyszem. W tym celu jednak musiałem go dogonić. Tylko że droga była szalenie wąska, a moje umiejętności jeździeckie zupełnie świeże. Gałęzie drzew cięły mnie po twarzy. Ocierałem się o pnie drzew. A i tak nie byłem w stanie dogonić go choćby o centymetr.

Z desperacją postanowiłem, że kiedy tylko droga zrobi się szersza dam

swojemu wierzchowcowi mocną ostrogę. Może nie spadnę.

Okazja nadarzyła się prawie natychmiast. Spiałem zwierzę i przeszedłem w galop. Rzeczywiście zaczynałem doganiać Huona. Tylko że on pomyślał sobie, że chcę się z nim ścigać. Odezwała się w nim żyłka sportowca i spiał konia uciekając mi skutecznie mimo moich rozpaczliwych krzyków, żeby zaczekał.

Ta gra ciągnęła się dobrych parę minut. Za każdym razem pozwalał mi się prawie doścignąć i dopiero wtedy się oddalał. To co musiało się zdarzyć, przytrafiło mi się już po kilku minutach tej zabawy. Nie zauważyłem wystającej gałęzi, która wysadziła mnie z siodła. Na szczęście spadłem na gruby mech i niezbyt się potłukłem. Nawet się nie pobrudziłem, nie licząc oczywiście plamy na honorze.

Huon na szczęście wkrótce domyślił się przyczyn mojej przeciągającej się nieobecności i zawrócił swojego wierzchowca. Akurat udało mi się stanąć na nogi i stwierdzić, że nic mi się nie stało, kiedy się wreszcie zjawił.

-

Widzę mój panie, że sztuka woltyżerki nie ma przed tobą tajemnic.

A szkoda, bo zapowiadał się wspaniały wyścig - stwierdził śmiejąc się do rozpuku. Zaraz jednak zeskoczył na ziemię i widząc, że nic mi się nie stało, odpiął od siodła bukłak.

-

Masz. Napij się trochę tego świetnego wina z Bordeaux. To cię powinno postawić na nogi lepiej niż wszystkie zioła świata.

Wróciłem już zupełnie do siebie i udałem, że piję spory łyk z ofiarowanej

mi flaszki. Oddałem mu ją i on z kolei pociągnął z niej wielkiego łyka.

-

Dziękuję ci, szlachetny panie - stwierdziłem kurtuazyjnie - to mi z pewnością pomoże.

-

Kiedy tylko poczujesz się w formie możemy się ścigać dalej.

-

Wcale nie miałem takiego zamiaru, przyjacielu. Daleko mi do twoich umiejętności w sztuce jeżdżenia wierzchem. Pragnąłem tylko dojechać do ciebie, żeby porozmawiać o tym słynnym karle, którego władza jest tak potężna. Pochodzę z maleńkiej wioski i te wszystkie cudowności na jego temat nie zdążyły jeszcze dotrzeć do moich uszu. Czy wiesz może, gdzie on mieszka?

-

Dalibóg, mało jest osób, które mogłyby ci odpowiedzieć na to pytanie. Cudowny karzeł raczył wiele razy wyciągnąć do mnie swoją pomocną dłoń, niech będzie błogosławiona jego łaskawość. Obdarzył mnie swoim zaufaniem i zechciał wyznać, że zamieszkuje w Monmurze, w mieście chmur. Zwykle unosi się w powietrzu popychane wiatrami, często osiada ono w górach dzielących na dwie części naszą wyspę.

-

Rozumiem... A więc nikt nie składał mu wizyt?

-

Nic o tym nie wiem. Oberon wie wszystko i pojawia się przed

ludzkimi

oczyrna, kiedy uzna to za stosowne.

-

I nigdy nie wtrącał się w sprawy cesarza Karola?

-

Dalibóg, nigdy. Karol Wielki wojuje do woli, żeby zdobyć jeszcze większą sławę. Oberon nigdy nie stara się w to ingerować, chyba że chce naprawić jakieś rażące niesprawiedliwości. A wtedy nikt nie śmie mu się sprzeciwić.

-

Sądysz, że będę mógł go kiedy ujrzeć?

-

Nikt nie może go spotkać bez jego zgody.

-

Nawet wspinając się na szczyt tych gór o których mówiłeś?

-

Straciłbyś tylko swój czas. Czary Oberona pozwalają stworzyć na drodze takiego śmiałka tysiące przeszkód nie do przebycia.

-

Szkoda. Z przyjemnością bym z nim porozmawiał. Jego wiedza musi być niezmierna. Powiedz mi jeszcze jedno: ilu poddanych liczy sobie cesarstwo?

-

Niewielu. Ma ono piękne miasta, ale kiedy władca rozsyła wici i

wasale stawiają się na wyprawę, jest nas zaledwie z dziesięć tysięcy. Na szczęście niewiernych jest mniej więcej tyle samo. Ale pytasz mnie o dziwne rzeczy. Czyżbyś nie wiedział i tego?

Pytanie było z gatunku najbardziej kłopotliwych. Co by się stało, gdyby Huon zaczął nagle podejrzewać, że jestem szpiegiem niewiernych?

Na szczęście udało mi się uniknąć kłopotów w dość zaskakujący sposób.

Właśnie szedłem w stronę swojego wierzchowca udając, że nie zrozumiałem pytania, kiedy ujrzałem w rosnących opodal krzakach jakąś szalenie ekstrawagancką istotę.

Wyobraźcie sobie karła cudownej urody, ubranego w szykowne brokaty, pojawiającego się ni stąd ni zowąd w sercu lasu.

Na głowie miał koronę, a w ręku łuk. Kościany róg wisiał na szyi. Co najdziwniejsze, stwór ten wydawał się unosić kilka centymetrów nad ziemią.

Miałem to, czego chciałem. Ten którego tak pragnąłem ujrzeć wyszedł mi na spotkanie.

- Oberon - wyszeptał Huon z nabożną czcią. - Dzięki niech ci będą dane, Królu Faunów...

Z tymi słowy rzucił się na kolana.

Karzeł odpowiedział mu zaledwie lekkim skinieniem głowy. Wydawał się być zainteresowany jedynie moją skromną osobą i muszę przyznać, że niezbyt pewnie się czułem pod jego spojrzeniem. Dopiero kiedy dotknąłem ręką kolby mojego paralizatora poczułem się odrobinę pewniej.

Czym była ta istota? Intruzem z odległej galaktyki? A może po prostu człowiekiem z lekko przesadną skłonnością do wiedzy o mózgu i materii? Może jego wygląd był jedynie złudzeniem? Może jedynie maskował jego prawdziwą naturę?

Gorączkowo sprawdzałem lewą ręką różne instrumenty, żeby dowiedzieć się o nim czegoś więcej.

Czarownik nie robił wrażenia przejętego moją działalnością. Krążył wokół nas z lekkim uśmiechem na ustach, podczas gdy nasze wierzchowce rżały radośnie na jego widok.

Nagle zatrzymał się i zaczął grać na rogu, lecz jego dźwięk przypominał bardziej głos fletu.

Była to piękna muzyka i musiałem przyznać, że mi się naprawdę podoba.

Zdziwiłem się dopiero, kiedy zobaczyłem, że Huon i wierzchowce zaczęły tańczyć w jej rytm. Przyznaję, że sam też odczuwałem lekką potrzebę przytupywania, ale był to jedyny zauważalny efekt wpływu tej magii na moją osobę. Karzeł z niezmaconym spokojem przyjął ten fakt do wiadomości i przerwał swój koncert.

Przybliżył się do mnie i odezwał melodyjnym głosem.

-

Witajcie, rycerze, którzy przechodzicie przez mój las. Zaklinam was, żebyście odpowiadali na moje pytania.

-

Witaj Panie - odparłem kurtuazyjnie. - Zaledwie przed kilku minutami wyraziłem chęć spotkania ciebie i oto już się pojawiłeś. Jestem

zaszczycony...

Mówiąc to zerknąłem ponownie na moje rozliczne miniatury

instrumentów, co przekonało mnie jedynie, że lokalne pole radioaktywne nie uległo najmniejszej zmianie.

-

Dziękuję ci wasalu za grzeczną odpowiedź. Tak się składa, że i ja

jestem szalenie ciekaw twojej osoby. Powiadomiono mnie, że pokonałeś

syna cesarza i w czasie walki mocno go poturbowałeś. Mogłem jednak

stwierdzić, że nie posłużyłeś się w tym celu żadną ze znanych sztuk walki,

ale magicznym zaklęciem. Jak już wiesz, sarn jestem potężnym magiem i

z przyjemnością chciałbym się z tobą zmierzyć, żeby porównać naszą

wiedzę.

-

Taka propozycja to dla mnie wielki honor. Przyznaję, że mam

pewne umiejętności w dziedzinie magii, ale jestem pewien, że moja

wiedza nie może się równać twojej. Zresztą nie mam najmniejszego

zamiaru komukolwiek szkodzić.

-

Jestem o tym przekonany... Ale dalej mam zamiar poddać cię

próbie. Twe myśli są dla mnie nieprzeniknione. Już to samo jest

wyczynem wielkiej klasy, ale nie wiem przez to, skąd przybywasz i jakie

masz zamiary. Cesarz z kolei jest szalenie niezadowolony z przygody

swego syna i pragnie, żebym cię ukarał. Będziesz musiał więc - chcesz czy

nie chcesz - przejść wiele prób i zobaczymy, jak sobie dasz z nimi radę.

Przyznaję, że intrygujesz mnie

bardzo, ale ja również nie pragnę wyrządzić ci krzywdy. Jeżeli masz więc czyste serce to z pewnością dasz sobie radę z przeszkodami, które napotkasz na swojej drodze. Potem spotkamy się ponownie.

Z tymi słowy stwór oddalił się i zniknął w krzakach, sprawiając wrażenie, że się po prostu rozplynął w powietrzu.

No i masz - pomyślałem. - Znów jakieś testy. Tym razem będę musiał jednak mocno się starać, żeby im podolać. Ten Oberon wydawał się dysponować wiedzą na najwyższym poziomie. Jego nagle pojawienie się i zniknięcie dawało się wytłumaczyć tylko istnieniem w pobliżu przekaźnika materii, a takich urządzeń nie mieliśmy jeszcze w naszej Federacji.

ROZDZIAŁ III

Cała ta rozmowa nie uszła oczywiście uwagi mojego towarzysza. To co usłyszał zdawało się napelniać go superuznaniem dla mojej osoby.

-

Na Boga! - wykrzyknął - Zmyliłeś mnie! Ty tylko wyglądasz jak pielgrzym. Jeżeli wierzyć karłowi, sam jesteś potężnym magiem. Ale to i tak niezmienna fakt, że wciąż jestem twoim dłużnikiem za uratowanie mi życia. Nie opuszczę cię, słowo Huona z Bordeaux.

-

Niech ci to niebo wynagrodzi, mój panie. Być może już wkrótce będę cię musiał prosić o pomoc. Posiadam w istocie pewne tajemnice magii, ale nie jestem pewien, czy wystarczą one do stawienia czoła Oberonowi,

którego potęga wydaje się być wyjątkowo duża. A teraz, jeżeli nadal tego pragniesz, proponuję, żebyśmy udali się dalej w naszą drogę.

-

Tylko dokąd tym razem... - mruknąłem już do siebie.

Dosiedliśmy ponownie naszych wierzchowców i wolno kontynuowaliśmy jazdę. Tym razem nie starałem się już zwiększać tempa. Musiałem mieć odrobinę czasu na zastanowienie się nad sytuacją.

Miałem pewność jedynie w dwóch punktach. Po pierwsze, udało mi się wreszcie nawiązać kontakt z jednym z rzeczywistych władców tej planety.

Po drugie, technologia jaką dysponował nie pozwoliła mu na przeniknięcie moich myśli. Przynajmniej starał się, żebym odniósł takie wrażenie. Pozostawało jedynie czekać na owe próby, którym miał mnie poddać.

Jeżeli uda mi się je przejść z powodzeniem, to z pewnością Oberon raczy ponownie ukazać się mojej skromnej osobie.

Czary maga nie dały na siebie długo czekać. Musiałem przyznać, że jego technika kontrolowania zjawisk naturalnych była prawie doskonała.

W niewiarygodnie krótkim czasie niebo zasnulo się ciężkimi, czarnymi chmurami, a potem rozpętała się niesamowita burza. Pioruny, które z początku zdawały się być odległe, powoli zbliżały się do nas robiąc huk nie do wytrzymania. Trafiały w drzewa wokół nas jedno po drugim potężnymi jęzorami wyładowań długich na kilometry.

Przyznaję ze wstydem, że niezbyt pewnie się czułem. Intensywność piorunów przekraczała wielokrotnie wszystko, co mogłem wytrzymać

nawet z udziałem moich miniaturowych gadżetów. Poza tym każde dziecko wie, że nie należy w takiej sytuacji przebywać pod drzewami. A ta burza była naprawdę przerażająca.

Jedyne, co mogliśmy zrobić, to jechać dalej mając nadzieję, że ten las wreszcie się skończy. Mój towarzysz był najwyraźniej tego samego zdania, bo ani przez chwilę nie zwolnił tempa jazdy. Biedny Huon starał się jak mógł chronić się przed deszczem za pomocą swojej peleryny, ale szybko zdał sobie sprawę ze śmieszności tych starań.

Sytuację komplikowała szybko zapadająca noc. Huon coraz trudniej odnajdywał drogę wśród drzew i krzewów. Często wahał się nad wyborem drogi na rozstajach i prowadził swego wierzchowca w żółwym tempie. Z tego ostatniego mogłem się tylko cieszyć, ponieważ oba zwierzęta były przerażone hukami i deszczem i tylko z najwyższym trudem wciąż utrzymywałem się w siodle.

Wreszcie mój przewodnik zeskoczył na ziemię, a ja z radością poszedłem za jego przykładem.

-

Nie da rady jechać dalej. Nic nie widzę. Lepiej przeczekać tę burzę.

Potem będzie mi łatwiej odnaleźć drogę.

-

Mądra decyzja - zgodziłem się. - Starajmy się jednak nie stawać pod drzewami. Lepiej być przemoczonym do suchej nitki niż stać pod drzewem w chwili, kiedy trafia w nie piorun. Wtedy z reguły ginie drzewo i wszyscy, którzy szukali pod nim schronienia.

Huon nie sprzeciwiał się. Widać on również znalazł tę prawidłowość.

Siedzieliśmy więc plecami do siebie czekając cierpliwie na uciszenie się rozszalałej natury. Mój towarzysz starał się okryć dodatkową derką wyciągniętą spod siodła, a ja musiałem zadowolić się nędznym płaszczem pielgrzyma. Burza zamiast się uspokoić, przeszła w regularne gradobicie. Tego już nie wytrzymałem. Ponieważ Huon i tak już uważał mnie za czarnoksiężnika, więc postanowiłem wyciągnąć wreszcie któreś z moich licznych urządzeń.

Ustaliłem wokół nas pole ochronne, co zapewniało nam ochronę nie tylko przed deszczem. Huon spojrzał na mnie z uznaniem, ale nie powiedział ani słowa na ten temat. Od czasu naszego spotkania z Oberonem pogodził się z myślą, że jestem potężnym czarnoksiężnikiem i w związku z tym uważał za zupełnie naturalne, że stosuję swą moc dla zapewnienia nam należytej ochrony.

Oberon natomiast, jeżeli nawet nas obserwował, nie zmienił niczego ze swojego scenariusza. Musiał niewątpliwie wychodzić z założenia, że osobnik przemoczony i zziębnięty traci część swojej sprawności. Prawdę mówiąc mnie to i tak nie dotyczyło. Miałem swój skafander, który chronił mnie zarówno od jednego jak i od drugiego. W sąsiednie drzewo trafił wreszcie piorun, ale nam na szczęście nic się nie stało, jeżeli nie liczyć porządnego wstrząsu.

Ulewa wreszcie zaczęła zmieniać się w zwykły deszcz i wkrótce zupełnie ucichła. Przez jakiś czas słychać jeszcze było huk bijących piorunów, ale i one w końcu oddaliły się poza zasięg słuchu. Wyłączyłem pole ochronne.

-
No, zmusił nas do małego opóźnienia w drodze. Nic więcej -

ocenilem. - Ale sądzę, że rozsądniej przespąć tu noc i ruszyć dopiero nad ranem.

-
Słusznie - odrobina odpoczynku bardzo nam się przyda. Poza tym nie ma i tak mowy o jeździe w nocy. Nigdy nie potrafiłbym odnaleźć właściwej drogi w tych ciemnościach.

Mówiąc to, Huon zdjął siodło, a wierzchowca przywiązał lejcami do najbliższego drzewa. Staralem się naśladować go w tym jak potrafiłem najlepiej. Położyliśmy się na ziemi podkładając derki pod głowy.

Przedtem Huon wyciągnął ze swojej sakwy podróżnej odrobinę chleba, którym się chciał ze mną podzielić. Odmówilem woląc pozostać przy swoich syntetykach.

-
Niech Bóg ma cię w swojej świętej opiece, mój panie - odezwał się wreszcie Huon, sadowiąc się na posłaniu. - Życzę ci dobrej nocy. I oby złe istoty tego lasu nie niepokoiły twego snu.

-
Nie obawiaj się niczego - zapewniłem go. - Postanowiłem utworzyć wokół nas magiczne koło, którego nikt i nic nie jest w stanie przekroczyć. Włączyłem ponownie pole ochronne i zaraz zasnąłem. Noc minęła bez przygód. Kilka razy dostrzegłem w pobliżu błędne ogniki unoszące się w powietrzu i kilka razy jakieś duże zwierzęta próbowały sobie rozbić głowę

o ekran. Były to jedyne objawy działalności Oberona.

Rano, po skromnym posiłku, udaliśmy się wolnym truchtem w dalszą drogę. Powietrze pachniało upajającą świeżością. Rośliny nabrały cudownej zielono - niebieskiej barwy, a nieliczne krople rosy odbijały się złościście w słońcu. Wydawało mi się, że podziwiam obraz jakiegoś starego mistrza.

Wszystko zdawało się układać po naszej myśli. Czyżby Oberon i jego ludzie postanowili jednak zostawić nas w spokoju? Prawie że było mi przykro, że zadowolił się jedynie tą śmieszną próbą z piorunami.

Okazało się jednak, że byłem w wielkim błędzie.

Dojechaliśmy bowiem do jakiejś wielkiej rzeki. Już na pierwszy rzut oka widać było, że nie da się jej przejść w bród. Huon zatrzymał się, westchnął głęboko i wreszcie oświadczył:

-

Mój panie, muszę ci się przyznać, że nie jesteśmy na dobrej drodze.

Nigdy nie słyszałem o rzece w tym miejscu. Zabłądziliśmy.

-

Przecież mówiłeś, że znasz te okolice.

-

Oczywiście, i mogę cię zapewnić, że nie płynęła tutaj żadna rzeka. W lesie jest dużo jezior, ale nie było w nim nigdy nawet strumienia.

Już wiem, że Oberon kontroluje siły przyrody - myślałem po cichu, ale od tego do zmiany geografii planety w tak krótkim czasie jest jednak daleka droga.

Zsiadłem na ziemię i zbliżyłem się do brzegu. Najpierw rzuciłem kamieniem. Powierzchnia wody zmarszczyła się, kiedy w niej utonął, ale nie usłyszałem żadnego plusku. Zbliżyłem się jeszcze bardziej i zanurzyłem dłoń. Po wyjęciu była tak samo sucha jak przedtem.

Uśmiechając się lekko ponownie wdrapałem się na mojego wierzchowca i spokojnie "zanurzyłem" w nurcie. Huon po krótkim wahaniu poszedł w moje ślady. Kiedy obejrzeliśmy się za siebie, na drugim brzegu nie było już widać żadnej rzeki, a jedynie zielonkawą dolinę.

Nie był to jednak koniec naszych kłopotów, bo mój przewodnik oświadczył mi wkrótce, że nadal nie może rozpoznać tej okolicy.

Próbowałem zorientować się w kierunkach geograficznych za pomocą busoli, ale daremnie, bo pole magnetyczne tej planety było bardzo nikle i igielka kompasu kręciła się na wszystkie strony.

Nie pozostawało nic innego, jak zorientować się według słońca widocznego przez chmury. Powinno to dać jakiś efekt, a przede wszystkim umożliwić ustalenie południa i utrzymanie tego kierunku.

Niestety, ku mojemu najwyższemu zdziwieniu wciąż zbaczaaliśmy z trasy.

Wyglądało to tak jakbyśmy przez cały czas kręcili się na jakiejś olbrzymiej karuzeli, nie mogąc nigdy jechać w prostej linii.

Zaczynało mnie to już drażnić. Czyżby ten Oberon brał mnie za idiotę?

Mój arsenał zawierał mini - żyroskop inercyjny, za pomocą którego te wariactwa musiały wreszcie zniknąć. Wyjąłem go ze swojej torby i ku swojemu przerażeniu stwierdziłem, że do niczego mi się nie przyda. Tym razem zaniepokoiłem się na serio.

Spróbowałem więc połączyć się z moją kapsułą, ale i to okazało się niemożliwe. Łączność radiowa również została odcięta.

Najważniejsze to nie stracić zimnej krwi i spróbować logicznie pomyśleć.

Miałem do czynienia z perturbacją materii lub czasu. Ale to za mało.

Musiałem dokładnie określić jej naturę. Władcy tej planety już raz zastosowali podobną sztuczkę w celu zmylenia naszych sond automatycznych. Moje wyposażenie nie mogło nawet umywać się do mocy urządzeń instalowanych na pokładach tych sond. Przedarcie się więc siłą nie wchodziło w rachubę.

To wszystko nie miało przecież nic wspólnego z magią, więc wyjaśnienie musiało być jak najbardziej racjonalne. Cóż ten karzeł mógł takiego wymyślić...

Nagle poczułem jakby olśnienie. Załamanie czasoprzestrzeni! W sprzyjających okolicznościach izotop hafnium był w stanie wywołać silne załamanie czasoprzestrzenne i na tym z pewnością musiała polegać owa sztuczka Oberona... Pozostawało jedynie odnaleźć miejsce, w którym go umieszczono.

W tym zadaniu bardzo mogły mi pomóc moje żyroskopy inercyjne. W pewnym momencie ich wskazówka powinna gwałtownie odwrócić się o sto osiemdziesiąt stopni. Należało zaznaczyć ten punkt na ziemi i dokonać w pobliżu drugiego pomiaru. Przecięcie uzyskanych w ten sposób wektorów powinno wskazać mi miejsce ukrycia izotopu.

Rozpocząłem swój eksperyment, nie zwracając uwagi na zdziwioną minę mojego towarzysza, który wyraźnie nie miał zielonego pojęcia o naturze i

celu moich poczynań.

Pierwszy wektor znalazłem bez większych kłopotów. W tym momencie zauważyłem, że słońce jakby przeskoczyło z jednego końca nieba na drugi. Wykreślenie drugiego wektora nie poszło tak łatwo, ale wreszcie udało mi się zlokalizować to miejsce. Haftium ukryte było pod niewielką skałą w złotej skrzyneczce przykrytej z wierzchu liśćmi. Ważyła ona zaledwie sześć lub pięć kilogramów.

Wyjąłem z torby mały plecak anty - g, którego zwykle używają komandosi do forsowania naturalnych przeszkód. Przyczepiłem do niego skrzynkę i nacisnąłem przycisk wyzwalacza energii.

Całe urządzenie poszybowało w niebo dość krętą trajektorią, ale wkrótce zniknęło mi kompletnie z oczu. W parę minut potem z zadowoleniem stwierdziłem, że moje aparaty znów wskazują to, do czego zostały stworzone i że słońce znajduje się ponownie na miejscu, którego nigdy nie powinno opuszczać.

Dzielny Huon przyglądał mi się z szeroko otwartymi oczyma i takąż buzią.

Wreszcie się opanował i gwizdnął z najwyższym uznaniem.

-

Niech mnie Pan Bóg strzeże. W życiu nie uwierzyłbym, że coś takiego jest możliwe, gdybym sam tego nie zobaczył. Kazałeś słońcu tańczyć na firmamencie, chyba nawet Oberon nie umiałby zrobić bardziej zadziwiającego cudu. Ho, ho, musisz być rzeczywiście potężnym czarownikiem. Jeszcze nie mogę się w tym pozbierać.

-

To naprawdę nic takiego - zapewniałem go z całą skromnością. -

Oberon i ja toczymy z sobą maleńką potyczkę która, mam nadzieję, okaże się tylko przyjacielskimi zawodami. Nie wątpię zresztą, że jeszcze nie raz zechce mnie wypróbować

i

będziesz

świadkiem

niewątpliwie

zadziwiających rzeczy. Dopiero potem, jeżeli przekonam go o swojej mocy, być może zgodzi się rozmawiać ze mną i wyjaśni istotę pewnych faktów, których tajemnicę pragnąłbym zgłębić.

- Nie mam żadnych wątpliwości, że ci się powiedzie, szlachetny przyjacielu.

- Zobaczymy. Na razie proponuję, żebyśmy ruszyli w drogę i opuścili wreszcie ten las. Z przyjemnością spotkałbym już jakichś ludzi. Głusza i bezludność tych lasów zaczyna mi już ciążyć.

Huon wysunął się szybko do przodu i z radością oznajmił, że wreszcie ponownie poznaje okolice.

-

Wkrótce dotrzemy na skraj lasu. Tam natkniemy się na dużą rzekę, która ciągnie się na wiele mil. Wtedy będziemy musieli zdecydować, w którą stronę idziemy dalej. W górę jej biegu dotrzemy do Tormontu. Jest to bardzo bogate miasto. Kłopot polega między innymi na tym, że jego mieszkańcy są okropnymi złodziejami. Przepuszczają podróżnych przez

swoje mosty dopiero po opłaceniu słonego myta, chyba że posiada się

glejt cesarski...

-

A jadąc w dół...

-

Tam znajduje się tylko jeden most. Strzegą go diabelskie istoty z nawiedzonego zamku. Nieszczęśnicy, którzy wpadną w ich ręce nigdy nie uchodzą z życiem. W tę stronę jechałem oczywiście przez Tormont. Teraz obawiam się, że nie jest to dla nas najlepsza droga. Cesarz musiał ich już powiadomić o naszym nadejściu i myślę, że tylko czekają, żeby nas wrzucić do jakiejś zatęchłej fosy.

-

Wybór jest rzeczywiście trudny - zauważyłem, uśmiechając się w duchu. - Przyznaję, że nie pociąga mnie żadna z tych dróg. Zresztą możemy z powodzeniem przekroczyć tę rzekę bez używania mostu, pod warunkiem oczywiście, że Oberon nie zechce nam w tym przeszkadzać. W kilka minut później naprawdę znaleźliśmy się przed zapowiadaną przez Huona przeszkodą. A oznaczało to, że jesteśmy na dobrej drodze. Miałem w zapasie jeszcze kilka mini - plecaków anty - g, które z łatwością przeniosłyby nas obu na drugi brzeg, ale nie znając następnych przeszkód na naszej drodze woląłem zostawić je sobie jako rezerwę.

Okazało się, że nie musieliśmy sami decydować, w którą stronę jechać.

Dojeżdżając do brzegów rzeki dostrzegliśmy zakotwiczoną barkę.

Było to oczywiście zaproszenie i nie zastanawiając się długo wjechałem na

pokład, jako że jej rozmiary przystosowane były wyraźnie do transportu ludzi i zwierząt.

Łódź nie miała żadnej załogi ani widocznego na pierwszy rzut oka napędu. Jej srebrzysty kadłub lśnił w słońcu oślepiającym blaskiem. Na dziobie znajdowała się złota antena zamontowana na hebanowym wysięgniku. Było tu wiele ciemnoniebieskich amfor zawierających w swym wnętrzu z pewnością trunki przeznaczone dla podróżnych, ale ani ja, ani Huon nie spróbowaliśmy ich. Tak samo jak nie tknęliśmy cudownych pucharów rzeźbionych w agacie i emaliowanych złotem. Na rufie konstruktorzy umieścili rzeźbę jakiegoś ptaka, którego tułów wykonany był z olbrzymiej perły, oczy z rubinów rzucających tysiące odblasków, a ogon składał się z diamentów i szmaragdów.

Łódź aż ociekała bogactwem i nawet połowa zgromadzonych tu skarbów skusiłaby najuczciwszego, by poznać Sezam, z którego pochodziła.

Huon z Bordeaux natomiast sprawiał wrażenie niezadowolonego z mojej decyzji. Być może dlatego, że zaraz po naszym usadowieniu się na pokładzie barka sama ruszyła w dół rzeki kierując się najwyraźniej w stronę nawiedzonego zamku.

- Klnę się na mój honor, panie - odezwał się wreszcie Huon - że miałem w swoim życiu wiecie godnych przygód, zanim wreszcie poznałem i zdobyłem Esclarmondę - córkę emira Gaudissa. Stoczyłem walkę na śmierć i życie z Dumnym Wielkoludem i pokonałem go. Później walczyłem z jego bratem Agrapanem i zmusiłem go do składania rocznej daniny królestwu Gaudissa. Dzięki pomocy Oberona uniknąłem

utopienia w morzu i zdobyłem miasto Aufalerne. W końcu nasz cesarz obarczył mnie ciężką misją porwania zębów i brody Gaudissa, bo chciał go ośmieszyć. Bez pomocy Oberona nigdy bym temu zadaniu nie podolał. Czarnoksiężnik ofiarował mi wreszcie trzy spokojne lata w moim Bordeaux w słodkim towarzystwie Esclarmondy. Potem miał mnie nauczyć pewnych sztuk magicznych. Teraz widzę, że Oberon postanowił wypróbować mnie ponownie stawiając ciebie na mej drodze, i w ten oto sposób będę mógł się osobiście przekonać o sile twych zaklęć, i oby były one niezawodne, bo inaczej oddamy nasze dusze Bogu.

-
Panie, nie wiedziałem, że Oberon zamierzał uczynić cię swoim uczniem. Myślę, że pragnie ci teraz pokazać, że magia musi zawsze iść w parze z odwagą. Moje zaklęcia są potężne, ale przyznaję, że nie wiem o wielu rzeczach tego świata. Czy możesz mi coś powiedzieć o tym zamku, do którego najwyraźniej zmierzamy?

-
Nie wiem wiele więcej niż to, co już ci powiedziałem. Zamieszkuje go

Olbrzym, który również jest biegły w magii. Każdy przechodzień, zanim stanie przed mostem prowadzącym do zamku, musi wpierw przejść przez bramę barbakanu i stoczyć walki z oczekującymi go tam przeciwnikami. Jeżeli im nie podola, to Olbrzym zabija go, a jego duch w martwym ciele musi mu służyć po wsze czasy.

Pomyślałem, że jest to raczej dziwna opowieść. Trudno mi było uwierzyć

w ożywianie trupów. Chodziło z pewnością o rodzaj hipnozy, za pomocą której zniewalano umysły nieszczęśników w celu zastraszenia okolicznej ludności. Bez wątpienia trochę ich charakteryzując na duchy... Tylko że nadal nie byłem mądrzejszy niż zaraz po przylocie na tę cholerną planetę. Cóż mogą oznaczać te niezwykle historie?

Barka tymczasem płynęła bezszelestnie dalej, nie płosząc nawet ptaków.

Tym razem pomogły mi moje aparaty. Pod naszymi nogami pracował ukryty miniaturowy reaktor atomowy. Sterowanie odbywało się za pośrednictwem anteny na dziobie. Trochę to mnie uspokoiło. Mógłbym nawet bez specjalnych trudności przejąć sterowanie barką i skierować ją do brzegu, ale bardzo chciałem wyjaśnić historię tego tajemniczego

Olbrzyma. Pragnąłem dowiedzieć się czy chodzi o mutanta, androida czy po prostu o zwykłego robota. W każdym z tych przypadków mój przyszły raport będzie musiał stwierdzić, że istoty władające tą planetą posiadają bardzo zaawansowaną technologię. A swoich poddanych utrzymują w kompletnej niewiedzy, przypisując wszystko działaniu czarów.

Wyłynęliśmy wreszcie z lasu na szeroką równinę. Rozciągała się po obu stronach rzeki, ale stosunkowo mała jej część była uprawiana, co by świadczyło o niewielkim zagęszczeniu ludności na kilometr kwadratowy.

Z braku lepszego pomysłu na spędzenie czasu postanowiliśmy odrobinę zjeść. Ja oczywiście brałem dalej koncentraty, a Huon spokojnie żuł suszone mięso wyciągnięte z troków.

Potem przyjrzałem się dokładniej ozdobom barki. Wszystkie były dziełem rękodzielników o niespotykanej precyzji wykonania. Żadna z nich nie

kryła w sobie jakiegoś zamaskowanego aparatu. Huon, jako wzorowy jeździec, zajął się wierzchowcami pojąc je wodą z rzeki, ale nie był w stanie zaspokoić ich głodu.

O zmierzchu pojawił się nagle przed naszymi oczyma zamek. Wylonił się niespodziewanie zza kolejnego zakrętu rzeki prawie niewidoczny w szybko zapadającym zmierzchu. Prowadził do niego umocniony most. Nie sposób było sforsować rzeki nie przechodząc przez cały most, którego boki obudowane były wysokim murem nie pozostawiającym cienia szansy na ewentualne obejście wokół. Nasza barka skierowała się zresztą do warownej przystani, z której jedyna droga prowadziła do barbakanu. Wokół nie widać było żywej duszy.

Zamek rysował się ponurą sylwetką na tle ametystowego nieba i zachodzącego słońca.

-

No, wreszcie dojechaliśmy - stwierdziłem optymistycznie. –

Niedługo przekonamy się o sile moich czarów.

-

Oby były w stanie pokonać złe duchy tego zamku. Inaczej lepiej będzie od razu polecieć nasze dusze Bogu.

Powoli jechaliśmy w stronę mostu i barbakanu płosząc po drodze jedynie kilka nocnych ptaków. Nadal nie widać było żadnych straży.

Kiedy dojechaliśmy na górę zobaczyłem, że wejścia do barbakanu strzeże dodatkowo most zwodzony. Za nim znajdowały się olbrzymie wrota, które nawet na mnie zrobiły nieprzyjemne wrażenie.

Zdobiące je maskary wydawały się żywe. Zmieniały bez przerwy swoje kształty jak w jakimś piekielnym kalejdoskopie. Nos jednej z nich mieszał się z olbrzymimi oczyma drugiej. Ucho zamieniało się nagle w rozwartą paszczę.

Całość błyszczała zielonkawą poświatą z wyjątkiem oczu, rzucających niezmiennie złotawe odblaski.

Tuż przed tym okropnym frontonem wisiał - na dwóch czerwonych łańcuchach - róg.

Mój towarzysz starał się w miarę możliwości nie oddychać, a jeżeli zapadające ciemności nie myliły mnie, to jego twarz miała odcień bladej zieleni. Na mnie ten obraz zrobił wrażenie, lecz nie przeraził, ponieważ widziałem w nim jedynie sprytny ekran wideo, zupełnie niegroźny dla nikogo. Wzruszyłem ramionami i zadałem w róg, bo wyraźnie po to tu wisiał. Widocznie miała to być następna część widowiska.

Echo jego głosu długo odbijało się w murach, by wreszcie ucichnąć.

Wrota bynajmniej jednak nią otworzyły się. Zamiast tego posłyszeliśmy za sobą huk żelastwa. Wydawała go grupa jeźdźców w zbrojach. Ich zadanie najwyraźniej polegało na odcięciu nam drogi.

Poprzez szczeliny w hełmach świeciły rubinowym światłem oczy.

Uzbrojeni byli w lance i miecze. Ich zbroje były równie czarne co wierzchowce, których dosiadali.

Grupę tę wyprzedzał jeden rycerz, który wyglądał na jej dowódcę.

Podjechał kilka kroków w naszą stronę i oświadczył teatralnym głosem:

- Bądźcie przeklęci, wy którzy ośmielacie się przekroczyć bramy

przeklętego zamku. Mam nadzieję, że wkrótce spotkamy się z wami w krainie duchów. Mój pan Olbrzym pozostawia wam jednak niewielką szansę uratowania waszych dusz. Czekają was za tą bramą ciężkie próby. Jeżeli uda wam się przebyć je pomyślnie, to mój pan przyjmie was dziś wieczorem w swojej siedzibie. Wiedźcie jednak, że nikt dotąd nie wyszedł żywy z tego zamku. Jeżeli przestraszyliście się czekających was prób, to wracajcie i walczcie z nami. Dwóch przeciw dwudziestu.

Mógłbym oczywiście sprzątnąć to żelastwo jednym strzałem z dezintegratora, ale wtedy nigdy nie dowiedziałbym się, co kryje się za tymi wrotami.

nie odpowiadając

duchom

odwróciłem

wierzchowca

i

wolno

podjechałem do wciąż zamkniętej bramy. Po kilku sekundach otworzyła się jednak. Odsłoniła korytarz źle oświetlony pochodniami. Wyglądał na wyjątkowo długi. Na jego końcu wisiała statua łucznika, blokująca dalszą drogę. Wyglądało na to, że pierwszy test właśnie się rozpoczynał.

Zbliżając się stwierdziłem, że jest to zwykły robot, który trzymał w ręku wielki tuk ze strzałą wymierzoną w moją pierś.

Spróbowałem skrócić raz w jedną, raz w drugą stronę, ale strzała dalej była wycelowana dokładnie w rnoją pierś, bez względu na uniki jakie

próbowałem stosować.

Była to, technicznie rzecz biorąc, zupełnie sprawna zabawka, ale musiałem szybko coś wymyślić, bo cięciwa napinała się w sposób wysoce niepokojący. Za kilka sekund strzała umieszczona w tej pewnej ręce z pewnością wyleci w moją stronę. Mój ekran z pewnością by ją zatrzymał, ale Huon byłby w takim przypadku bezbronny. Tym bardziej, że kołczan tego łucznika zawierał sporą ilość strzał.

Huon zakryty tarczą wyglądał na zupełnie zrezygnowanego.

Tym razem przydał mi się rój aparat do zakłócania urządzeń elektronicznych, który rozkojarzył elektroniczny mózg robota. Kiedy wreszcie wystrzelił on swoją strzałę, przeleciała ona daleko od mojej głowy lądując w piersi któregoś z czarnych strażników. Nie zajmując się dalej oszalałym robotem pojechałem w dalszą drogę, a w ślad za mną nieodłączny Huon, który dopiero teraz zaczął odzyskiwać nadzieję na przeżycie. Strzały tymczasem były wystrzeliwane jedna za drugą z ogromną szybkością, siejąc spustoszenie w szeregach strażników, którzy - o dziwo - nawet nie próbowali kryć się.

Zauważyłem z lekkim zdziwieniem, że rycerze po trafieniu nie padają, tylko rozplywają się w powietrzu. Przynajmniej rozwiązywało to problem pogrzebów.

Wrota zamknęły się wreszcie, kładąc kres wyczynom naszego mistrza, który z niezmaconym spokojem dalej wyladowywał swój kołczan w drzwi.

-

I co powiesz na to, mój panie? - zapytałem Huona.

-
Daję słowo, że jeszcze nigdy w życiu nie bałem się tak, jak przed chwilą. Siła tego lucznika jest niewyobrażalna. Popatrz tylko. Wrota są na wpół przebite strzałami. Gdyby nas trafił, to nie ma takiego pancerza, który mógłby zatrzymać jego strzałę.

Jechaliśmy dalej korytarzem, który nie pozwalał na żadne zboczenie z drogi i wreszcie natknęliśmy się na drugą przeszkodę. Tym razem był to wieloręki miecznik, który machał swoimi mieczami z zastraszającą szybkością. Znów zwykły automat. Ci ludzie nie posiadają za grosz wyobraźni - pomyślałem - przecież już teraz powinni wiedzieć, że mam bardzo skuteczny system zakłócający. Być może nie mieli czasu na zmienianie dekoracji.

Tym razem mój przyjaciel patrzył na mnie z większą ufnością i jechał obok mnie nie podnosząc nawet tarczy, żeby się zasłonić. Robił źle.

Mimo moich wysiłków urządzenie pracowało dalej. A przecież musiałem jechać dalej. Tymczasem nawet mucha nie prześlizgnęłaby się między wirującymi mieczami bez przecięcia jej na pół.

Trzeba to było załatwić inaczej.

Po krótkim wahaniu wyjąłem dwa granaty atomowe, które potoczyłem w stronę zwariowanego robota, zasłaniając się wraz z Huonem tarczami.

Podmuch był dość brutalny, a falę uderzeniową długo jeszcze było słyhać w korytarzu, co zmusiło nas do zatkania uszu. Kiedy wreszcie dym się rozwiął, ujrzałem tylko stopione szczątki walecznego robota.

Moje granaty nie dawały praktycznie żadnych opadów radioaktywnych, a

więc spokojnie mogliśmy kontynuować naszą drogę.

-

Mój Boże! - zauważył rzeczowo Huon - nie mówileś mi, że potrafisz rzucać gromami, kiedy tylko zechcesz. Teraz jestem już pewien, że opuścimy ten zamek żywi. Twoje czary dorównują czarom samego Oberona.

Ten dzielny rycerz był już przekonany do końca, że ja również jestem potężnym czarnoksiężnikiem. Obawiałem się, że nie będę w stanie wyprowadzić go z błędu. Przyjąłem więc z pokorą przypisaną mi rolę. Mimo dotychczasowych zwycięstw mój niepokój wciąż wzrastał.

Wszystkie te roboty wskazywały na istnienie na tej planecie wyjątkowo rozwiniętej cywilizacji technicznej. Może właśnie Oberon wytwarzał wszystkie te urządzenia? Żeby to stwierdzić musiałem koniecznie raz jeszcze z nim porozmawiać, a przedtem - obawiam się - przejść przez wszystkie te śmieszne próby, które zaplanował dla swoich gości. Trzecia i ostatnia walka czekała nas tuż za następnym zakrętem, zaledwie kilkanaście metrów od robota z mieczami.

Dwie ogromne głowy były wbite na lekko pochylone piki. Z ich oczu nieprzerwanie strzelały płomienie trafiające na wyjątkowo wytrzymałą taflę metalową, która pod ich wpływem była rozgrzana do czerwoności. Był to niezwykle wytrzymały metal, gdyż płomienie, które w niego bity, nie były niczym innym, jak czterema promieniami lasera.

Laserowe oczy bez przerwy zmieniały swoje pole ostrzału tworząc w korytarzu barierę nie do przebycia.

Dla mnie była to najłatwiejsza próba. Szybka analiza spektrograficzna pozwoliła mi ustalić, że chodzi tu o lasery kryształowe, które roztopiły się pod działaniem silnego promienia ultradźwięków. Oczy zgasły natychmiast.

Tym razem pozwoliłem sobie na złośliwość i rozbiłem jedną z tych głów swoim mieczem odsłaniając jej wnętrze. Zminiaturyzowane podzespoły elektroniczne powypadały na posadzkę. Musiałem przyznać, że wyglądały na bardzo ciekawie skonstruowane.

Tak więc udało mi się przejść przez chyba wszystkie próby przygotowane na przyjęcie przyjezdnych przez władcę tego zamku. Teraz miało się okazać czy warto było się wysilać. Być może ten olbrzym okaże się zwykłą marionetką w rękach prawdziwych władców tej planety.

Odpowiedź na to pytanie znajdowała się z pewnością za kolejnymi drzwiami, przed którymi stanęliśmy.

ROZDZIAŁ IV

I tym razem tutejszy dekorator nawet odrobinę nie oszczędził od swojego ulubionego wystroju wnętrz. Na drzwiach wisiała bowiem głowa meduzy, której macki wily się daleko w korytarz. Wydało mi się to odrobinę pretensjonalne. A poza tym, żeby przeżyć spotkanie z łucznikiem, miecznikiem i laserowymi głowami trzeba było mieć na tyle duże możliwości techniczne, że meduza w tym miejscu wyglądała zupełnie niepoważnie. Być może o to właśnie chodziło, żeby rozśmieszyć wchodzących. Jeden strzał z dezintegratora usunął z drogi meduzę, a przy okazji również i drzwi.

Po tych melodramatycznych początkach spodziewałem się ujrzeć przed sobą wszystko, ale nie obraz, który zamurował mnie z zachwytu.

Przepiękna młoda kobieta, o niesamowicie długich blond włosach stała spokojnie przyglądając mi się. Włosy zresztą - jak się okazało na drugi rzut oka - stanowiły całość jej ubrania, nie licząc złotego łańcuszka pętającego jej drobne stopy.

-
A niech skonam - krzyknął niespodziewanie Huon, lekko mnie przestraszając. - Gdybym nie był mężem przepięknej Esclarmondy, która przewyższa urodą wszystkie kobiety świata, przysięgłbym, że ta oto jest najpiękniejsza.

Nie potrafiłem niczego dodać do tego komentarza nie uchybiając zdaniu mojego towarzysza, bo osobiście nigdy jeszcze nie spotkałem istoty tak pięknej. Syreny cieszą się w naszej Konfederacji olbrzymią sławą z powodu ich piękna, ale nie mają one z pewnością uroku i klasy tej kobiety. Zaczynałem z żalem myśleć, że to może być kolejny duch tego zamku.

-
Niech cię Bóg ochrania, piękna panienko - przywitałem ją. – Nie spodziewałem się spotkać tak uroczej osoby w takim miejscu. Czy mogę spytać z kim mam przyjemność?

Słodkie dziecko podniosło wtedy na mnie swoje jasne oczy i zobaczyłem, że są one pełne łez.

-

Nazywam się Nicolette - oświadczyła śpiewnym głosem. - Mój

ojciec został zabity przez okropnego Olbrzyma, który zajął po nim ten zamek. Od tamtej pory jestem więźniem. Tylko śmierć tego potwora zwróci mi wolność. Wy dwaj przeszliście ciężkie próby, co daje mi cień nadziei. Niestety, obawiam się, że nie zwyciężycie Olbrzyma, którego siła równa jest sile pięciu normalnych mężczyzn. Boję się, że umrzecie za mnie i dlatego płaczę...

Wciąż nie byłem pewien, czy nie znajduję się pod wpływem hipnozy, w duchu pomodliłem się żeby mikrokamera, która nieprzerwanie rejestrowała mój pobyt na tej planecie zachowała obraz pięknej Nicolette.

Daję słowo, że poczułem się w niej zadurzony jak szczeniak. Mało brakowało, bym zaczął się tarzać u jej stóp przysięgając wieczną miłość...

Nagle zupełnie nie wiedziałem, co mam powiedzieć. Z opresji wyratował mnie mój dzielny Huon.

-

Wytrzymaj lzy, miła panno. Aucassin z Sernes jest potężnym czarnoksiężnikiem. Jego czary pozwoliły nam dotrzeć aż do ciebie. Ja również odrobinę się znam na władaniu bronią. Twój słynny Olbrzym nie przeraża nas.

-

Ten szlachetny rycerz - nareszcie mnie odetkało - mówi prawdę. Nie ma mowy o pozostawieniu tak przepięknej istoty w szponach tej ohydnej kreatury Huon z Bordeaux i ja przysięgamy ci pani, że będziesz wkrótce wolna albo zginiemy.

Mówiąc to nie mogłem się oprzeć wspomnieniu przestwór Tortobaga: -

Tam, gdzie się znajdziesz, musisz się spodziewać wszystkiego.. Władcy tej planety chcą za wszelką cenę zachować swoje incognito. Należy przypuszczać, że będą się starali wykorzystać każdy podstęp, żeby tylko uniemożliwić ci wykonanie zadania.

Być może ta piękna dziewczyna znajdowała się tutaj tylko po to, aby mnie powstrzymać od dalszych działań. Od dawien dawna kobiety odgrywały wielką rolę w zwodzeniu bohaterów szukających przygód. Musiałem więc zachować szczególną ostrożność i nie stracić głowy. Łatwo to powiedzieć. O wiele trudniej wprowadzić w czyn, bo Nicolette była taka piękna, taka ponętna...

Teraz i tak nie mogłem się już cofnąć. Dałem słowo, że ją uwolnię i nie zawiodę jej.

Panienska wzięła mnie za rękę i zaczęła prowadzić poprzez meandry tego wielkiego zamku. Korytarze i schody ciągnęły się w nieskończoność.

Po drodze zauważyłem mnóstwo puszystych dywanów i moc biżuterii pochodzących najwidoczniej z wypraw Olbrzyma. Natomiast nie mogłem nigdzie odkryć żadnych śladów techniki. Oświetlenie zapewniały żywiczne luczywa zaczepione w specjalnych uchwytych na ścianach. W kominkach płonęły olbrzymie bierwiona. Zupełnie daremnie zresztą, ponieważ grube mury zamku wchłaniały i tak wilgoć widoczną na ścianach w postaci ociekających kropeł. Byłem przekonany, że to miejsce musiało być szczególnie nieprzyjemne jako mieszkanie w zimie.

Dziwne było również i to, że przez całą drogę nie napotkaliśmy żywej

duszy. Służba, jeżeli w ogóle tu była jakaś służba, musiała grzać się w kuchni, ufała w czujność strażników i robotów. Wreszcie wyszliśmy z budynku i doszliśmy do kolejnego zwodzonego mostu, który prowadził do oddzielnej baszty. Strzegło go dwóch czarnych rycerzy. Huon na ich widok sięgnął do miecza, ale obaj zachowywali się tak, jakby nas w ogóle nie zauważyli. Niewątpliwie obecność Nicolette uchodziła w ich oczach za naszą przepustkę.

Nie należało jednak ufać pozorom. Wyjście z tego miejsca może być jeszcze trudniejsze niż wejście. Na wszelki wypadek zanotowałem sobie w pamięci położenie mechanizmu sterującego mostem zwodzonym i kratą.

Nie kończące się schody zaprowadziły nas do kilku okrągłych sal. W ostatniej, znajdującej się na samej górze, oczekiwał nas władca tego zamku.

Olbrzym wyglądał tak, jakby wyszedł prosto z jakiejś dobrej opowieści o maszkarach. Był wyższy ode mnie o jakieś dwa i pół raza. Jego długie czarne włosy, kręcące się na skroniach, musiały nie widzieć grzebienia przez całe lata. Ubrany był w rodzaj przepaski ze skóry oraz kolczugi wykonanej z niewielkich blaszek ściśle nałożonych jedna na drugą. U boku wisiał ciężki miecz. Na przegubach lśniły zaś bogato grawerowane bransolety.

Jego twarz wykrzywiał nieprzyjemny grymas odsłaniający długie i żółte zęby. Popijał wino z trzymanej w prawej ręce czary wykonanej z ludzkiej czaszki osadzonej na kości udowej i ściśniętej paskiem ze złota.

Wystrój wnętrza sali jak zwykle w tym zamku był w złym guście. Za

dywany służyły tu futra zabitych zwierząt. Stoły zastawione precjozami, a na ścianach wisiał prawdziwy arsenał.

Wszystko to bardziej przypominało dekorację teatralną niż prawdziwy pokój, nawet jeżeli miał to być pokój w zamku.

Zastanawiałem się po cichu skąd się tu właściwie wziął ten cały Olbrzym.

Na niektórych planetach zdarzają się co prawda giganci, ale wtedy z reguły żyją oni w licznych plemionach, które z reguły tępią wszystkie gatunki ludzkie mniejsze od siebie. Tu z pewnością nie miałem do

czynienia z takim przypadkiem. Relikt? Ta istota była zwykłym anachronizmem. Nie pasował tu. Musiał być robotem albo androidem

Kolejna zagadka do rozwiązania. Wyglądało na to, że Wielka Rada

wysyłając mnie tu umożliwiła mi za jednym zamachem realizację

wszystkich snów, jakie tylko mogłyby mi się przyśnić. Chwila nie

sprzyjała filozoficznym rozważaniom. Olbrzym popatrzył na nas z

pogardą, rzucił kielich na posadzkę i wyciągnął miecz, krzycząc

chrapliwie:

-

A więc to są te glisty, które ośmieliły się wkroczyć do przeklętego zamku. Kim jesteście?

-

Jestem Huon de Bordeaux - odparł mój towarzysz. - Musiałeś

słyszeć o moich wyczynach i na pewno wiesz, że Oberon darzy mnie szczególnymi względami.

-

Owszem, znam ciebie z opowieści, tak samo jak tego przeklętego

karła. Musiał ci pomagać swoimi czarami, żebyś mógł się dostać aż tutaj.

A czy twój towarzysz jest niemy? Niech się przedstawi. Nie zwykłem walczyć z nieznajomymi.

-

Jestem Aucassin de Serne. Przybysz w tych okolicach. Mylisz się sądząc, że to Oberon nam pomagał. Wszystkie przeszkody pokonaliśmy dzięki moim czarom.

-

Czarodziej! To dobrze, bo ja również mam spory talent w tej dziedzinie. Muszę cię więc uprzedzić, że moja magiczna kolczuga nie przepuszcza żadnego ciosu. Nawet gdyby został zadany dziesięć razy mocniej niż ty jesteś w stanie to zrobić.

Wciąż te irytujące anachronizmy - pomyślałem. - Mieszkańcy tej planety wyglądają na mocno zacofanych, a jednocześnie dysponują, może nie wiedząc o tym, bardzo skomplikowanymi przyrządami i chyba naprawdę z niewiedzy tylko wszystko to przypisują działaniu czarów. Ta maskara na przykład dysponowała osobistym ekranem ochronnym. Ja jednak miałem w swojej torbie niejeden gadget...

-

Nie przeraża mnie to - wyjaśniłem. - Ja również jestem ekspertem w tej materii. Twoja kolczuga niewiele ci pomoże. Postanowiłem walczyć z tobą sam. Najpierw jednak powiedz mi swoje imię.

-

Moje imię brzmi Wściekły - odparł Olbrym zdejmując ze ściany olbrzymią tarczę - ale nigdy nie będziesz miał okazji chwalić się zwycięstwem nade mną. Módl się do swego Boga, jeżeli go masz. Twoja śmiałość i szaleństwo przyprowadziły cię aż tutaj, ale nie wyjdiesz stąd żywy.

Przyjął pozycję i zaczął kręcić straszliwe młynki swoim mieczem.

Nicolette stała w kącie błada i przyglądała się nam ze złożonymi jak do modlitwy rękoma. Modliła się o moje zwycięstwo.

Huon natomiast podparł się w biodrach dłońmi i przyglądał się z miną znawcy pierwszym sztychom.

Nie miałem zamiaru czekać na starcie wręcz /. tym potworem, którego siła była wiele razy większa niż moje najśmielsze marzenia. Wyjąłem dezintegrator i strzeliłem.

Potężny ładunek trafił w kolczugę nie czyniąc Wściekłemu najmniejszej szkody. Spróbowałem strzelić mu w twarz, ale z tym samym skutkiem.

Olbrym roześmiał się pogardliwie.

- Synu czarownicy - prychnął - twoje czary nie bardzo sobie mogą dać radę z moimi. Chciałbym, co prawda, dowiedzieć się w jaki sposób miotasz te pioruny, ale niestety, ten sekret zabierzesz do grobu.

Następnie skoczył na mnie atakując mnie swoim młynkiem. Miał taką siłę, że z łatwością mógłby jednym ciosem przepołowić skałę. Musiałem przywoływać na pomoc całą moją zręczność, żeby uniknąć jego ciosów.

Nawet nie próbowałem go trafić swoim mieczem. Wreszcie udało mi się włączyć swój ekran ochronny i wtedy przestałem już się cofać. Wściekły

zadał mi oburęczny cios z góry pragnąc zapewne przerąbać mnie na połowę. Miał niezbyt mądrą minę widząc, że nawet mnie nie drasnął.

- Ani mnie ziębi, ani parzy to, że jesteś taki wielki i silny. Nawet włos nie przeniknie magicznego kręgu, który mnie otacza ze wszystkich stron. Czy dalej uważasz, że mnie zabijesz? - zapytałem niezbyt grzecznie.

Olbrzym był wyraźnie zdziwiony. Nicolette natomiast jakby nabrała nadziei i nawet uśmiechała się do mnie.

Tylko że sytuacja była patowa. Mój przeciwnik nie mógł mi nic zrobić, ale ja również nie byłem w stanie trafić go.

Przez chwilę okrążaliśmy się nawzajem szukając jakiegoś rozwiązania.

Wreszcie wpadłem na pomysł. Jego ekran nie przepuszczał żadnego przedmiotu materialnego, ale wątpiłem żeby również był nieprzenikalny dla fal, a zwłaszcza dla fal grawitacyjnych.

Pogrzebałem więc w swojej torbie i wycelowałem w niego promień dziesięciu g. Poskutkowało od razu. Zobaczyłem, że jego gesty uległy zwolnieniu jakby nagle znalazł się w smole. Nawet miecz zaczął mu nagle tak ciężać, że wreszcie musiał go rzucić na posadzkę. Wzmocniłem więc przeciążenie do pięćdziesięciu g.

Tym razem go miałem. Olbrzym upadł na posadzkę i zaczął ciężko rzeźzić, jakby nagle przywalila go góra.

-

Zdrajco - wychrypiał. - Wygrałeś. Bez swoich czarów nigdy by ci się to nie udało. Daruj mi życie, a spełnię wszystko o co poprosisz.

Po tych słowach znieruchomiał zupełnie. Wyglądał jak kupa galarety. Nie

miałem mu nic szczególnego do zarzucenia, zwłaszcza teraz, kiedy już nie był groźny.

-

Zgoda. Zacznesz od uwolnienia Nicoletty i zwrócenia jej wszystkich dóbr.

-

Przysięgam, że nigdy już nie będę jej szkodził...

-

Twoje słowo z pewnością niewiele jest warte, ale strach przed karą powinien być wystarczającą gwarancją do mojego powrotu. A teraz powiedz mi jeszcze, jak dotrzeć do Monmuru, miasta w chmurach?

-

Chcesz spotkać się z tym komicznym karłem? Twoja wola. Wiedz, że otrzymał swoją moc od bogiń, które asystowały przy jego narodzinach, ponieważ jest synem Morgany. One go właśnie nauczyły wszystkich zaklęć. Tak się przynajmniej mówi. Jedna z nich była złośliwa i uczyniła go karłem, ale inne zęby mu to zrekompensować prześcigały się we wtajemniczeniu go w coraz to potężniejsze zaklęcia, które bez wątpienia są silniejsze od twoich. Nie uda ci się go pokonać tak szybko jak mnie, z czego z góry się cieszę.

-

Szkoda czasu na strachy. Gadaj... bo rozgniotę cię jak robaka.

Mówiąc to zwiększyłem lekko przeciążenie, tak że musiał podtrzymywać sobie szczękę ręką.

-
Nie, przestań - jęknął - Już ci mówię jak się tam dostać. Musisz przepłynąć za morze. Ocean pełen jest okropnych potworów, których nie pokonasz tak łatwo. Nawet ja niewiele mogę przeciw ich furii. Będziesz musiał korzystać z pomocy ludzi - delfinów, którzy potrafią uspokoić każdego morskiego potwora. Na grzbiecie któregoś z nich dopłyniesz bezpiecznie na drugi brzeg morza. Tam czekają na ciebie inne niebezpieczeństwa. Nie powiem ci nic więcej, bo nie znam dalszej drogi. Nigdy tam nie byłem.

Znowu jakieś mutanty - pomyślałem. - Ta planeta najwyraźniej nie przestanie mnie zaskakiwać.

Byłem przekonany, że Olbrzym powiedział mi prawdę. Zmniejszyłem przeciążenie i kazałem mu zdjąć kolczugę. Będzie w ten sposób zdany na moją łaskę. Huon zresztą zaofiarował się uważać na niego, a jak sam twierdził, znał się trochę na olbrzymach... Hmm...

Wściekły nie był ani robotem, ani mutantem. Moje sondy biologiczne ustaliły mapę jego chromosomów. Był to zwykły android wyprodukowany od a do zet sztucznie przez władców tej planety. Kolejna próbka ich niesamowitych możliwości technologicznych.

Kiedy mój towarzysz z mieczem w ręku eskortował Olbrzyma do bramy wieży, ja zająłem się oglądaniem kolczugi. Tak jak przypuszczałem, ukryty w niej był małeńki aparat generujący ekran ochronny.

Wreszcie przypomniałem sobie o naszej brance, z którą postanowiłem wreszcie bliżej się zapoznać.

Pannica wyszła z Huonem i Olbrzymem Niedlugo potem wróciła ubrana we wspaniałą suknię, po której falami spływały jej wspaniałe złote włosy. Wyglądała jeszcze bardziej ponętnie, jeżeli w ogóle było to możliwe Jej gracia i uroda tworzyły rzadko spotykaną harmonię. Zmusiło mnie to do głębokiego westchnienia, ponieważ nie bardzo mogłem zalecać się do niej, a jeszcze mniej zabrać ją ze sobą. Jeżeli któregoś dnia będę wracał do Kalapolu...

Nicolette natomiast była wesolutka, jak nigdy dotąd. Uwolniona wreszcie od demona, który ją więził, teraz nie mogła poradzić sobie z pohamowaniem ogromu swojej radości.

Uśmiechając się promiennie ujęła mnie za rękę i poprowadziła piętro niżej, gdzie już czekał na nas bogato zastawiony stół.

Huon wkrótce dołączył do nas i wtedy niewidzialna dotąd służba zaczęła znosić potrawy godne cesarskiej uczty.

-

Daję wam słowo, moi drodzy - powiedział Huon - że nigdy dotąd, nawet w moim Bordeaux, nie kosztowałem tak znakomitej stawy. Z tobą przybyszu nawet najgorsze przygody kończą się jak w bajce. Wściekły, który rujnował przez lata okolicę odjechał już w dal wraz ze swoją diabelską eskortą. Ta miła panna będzie teraz w pokoju rządzić tym zamkiem i włościami, l brakuje jej tylko męża... A daję słowo, że znam wielu szlachciców, którzy byliby zachwyceni taką gratką.

-

Masz rację - westchnąłem. - Nigdy, nawet w mojej dalekiej

ojczyźnie, nie spotkałem takiego jadła i takiego towarzystwa.

-

Po cóż się więc wahać? - krzyknął Huon rozgrzany winem. – Taki błędny rycerz jak ty będzie musiał przecież któregoś dnia osiedlić się gdzieś na stałe. Nigdzie nie znajdziesz bardziej przychylniej ci panny, nie mówiąc już o jej urodzie.

Nicolette splonęła rumieńcem, ale zdawała się pić każde jego słowo.

Nagle zacząłem marzyć... Zamiast włóczyć się z planety na planetę odnajdę tutaj życie w szczęściu i spokoju...

Ale zaraz przypomniałem sobie o swoim zadaniu. Musiałem je przecież wykonać. Może potem będę mógł się tu osiedlić i poślubić Nicolette. Na wszelki wypadek odpowiedziałem mu wykrętnie.

- Życie w tym zamku do końca moich dni to coś o czym nawet nie śmiałem marzyć. Jestem jednak posłańcem mojego króla, który polecił mi skontaktować się z władcami tej ziemi i jeżeli to będzie możliwe podpisać z nimi traktat wzajemnej pomocy. Nie mogę więc, ku swojemu największemu żalowi, zawieść swojego pana. Może potem, kiedy już spełnię swój obowiązek, przyjdę zapytać naszą piękną gospodynię czy zechce przyjąć moje hołdy. Na razie nie mam do tego prawa...

Moje słowa najwyraźniej zasmuciły panienkę. W jej oczach pojawiły się łzy i szepnęła nieśmiało:

-

Piękny panie, ofiarowałaś mi najcenniejszy dar - wolność. Na zawsze więc pozostanę twoją służebnicą. Nie mam zamiaru odwozić cię

od twoich obowiązków. Wiedz jednak, że zawsze będę czekała na twój powrót. Do ostatniego tchnienia...

To mówiąc wymknęła się z komnaty dyskretnie ocierając płynące łzy.

-

Na Boga! - oburzył się Huon. - Musisz mieć serce z kamienia, żeby tak po prostu odrzucić tę ślicznotkę, no i hrabstwo. Oczywiście podziwiam twoją lojalność, rycerz nie powinien dawać się zwodzić uczuciom. Twoja misja jest ważna. Obyś nigdy nie żałował swojej decyzji. Co nie zmienia faktu, że dopóki będziesz mnie potrzebował, pozostanę u twego boku.

Robiło się już późno i opuściliśmy jadalnię podążając za służącymi, którzy pochodniami oświetlali nam drogę do naszych pokoi.

Huon życzył mi dobrej nocy i zniknął u siebie, a ja wszedłem do swojej sypialni.

W kominku buzował silny ogień, ale niewiele było widać w jego świetle. Pokój pogrążony był w półmroku. Nawet mu się bliżej nie przyglądałem, bo po tych wszystkich przygodach miałem szczerzy zamiar i potrzebę wreszcie porządnego wyspania się. Szykowałem się do snu w nastroju melancholijnym, zastanawiając się co mnie czeka nazajutrz, kiedy usłyszałem pukanie do bocznych drzwi, których dotąd nawet nie zauważyłem. Na wszelki wypadek włączyłem swój ekran ochronny i ostrożnie otworzyłem. A tam czekała mnie niespodzianka, i to jaka. Stafa w nich Nicolette - ubrana raczej symbolicznie... Jej świeża piękność, buchająca młodość i uroda dosłownie zaparły mi dech w piersiach. Dałem

jej znak, by weszła i zamknęłam drzwi, zastanawiając się czego może
chcieć o tej porze.

Jej słowa wprawiły mnie, delikatnie mówiąc, w duże zakłopotanie.

-

Piękny panie - stwierdziła czerwieniąc się przy tym. – Zwyczaj
mojego kraju każe mi ofiarować wybawcy swoje ciało i to nawet wtedy,
jeżeli ten nie pragnie mnie poślubić.

-

To bardzo dziwny zwyczaj - odparłem zaskoczony. - Wiedz pani, że
nie masz wobec mnie żadnych zobowiązań. Zwyczaje kraju, z którego
pochodzę nie są wcale podobne do tutejszych. Przynajmniej w tej materii.
Wyrzucalbym sobie, że nadużyłem twojej wdzięczności.

-

Czy chcesz powiedzieć, że nie podobam ci się?

-

Skąd to absurdalne przypuszczenie? Nigdy w życiu nie spotkałem
nikogo równie pięknego i moim najszczerzym marzeniem byłoby
pozostać u twojego boku do końca życia. Ale niestety, moje zadanie nie
pozwała mi na to.

-

Rozumiem to oczywiście i mimo smutku jaki czuję, nie mam
najmniejszego zamiaru namawiać cię do zdrady twego pana. Ale jestem
pewna, że te śluby nie bronią ci spędzić ze mną nocy.

Jej słowa klęły mnie jak noże. Dałbym wszystko na świecie za kilka

godzin spędzonych w jej ramionach. Przez cały czas musiałem sobie powtarzać, że jestem oficerem floty i wiedziałem, że jeżeli teraz ulegnę, to już nie będę w stanie jej opuścić.

Kochałem jak nikt nigdy nikogo, a przecież nie miałem prawa do zaznania wraz z nią rozkoszy miłości.

Wreszcie zdecydowałem się.

-

A więc niech tak będzie - zgodziłem się. - Ponieważ tak każe zwyczaj, więc będę mu posłuszny. Wiedz jednak, że nie chodzi mi o zaznanie kilku marnych godzin rozkoszy. Na wszystko co jest najświętsze przysięgam, że wrócę tu, kiedy tylko będę mógł i dokończę swojego żywota u twego boku.

Nicolette nagle się odprężyła. Zbliżyła się do mnie z promiennym uśmiechem. Wziąłem ją w ramiona i pocałowałem zapominając prawie, po co przyleciałem na tę cholerną planetę.

Nie powiedziałem jej jednak całej prawdy.

Czułem do siebie wstręt za to, że nie mogłem od razu ofiarować jej wszystkiego, ale z drugiej strony nie mogłem zapomnieć dla niej o mojej misji. Później - jeżeli tylko będę mógł - wrócę po nią, ale dopiero po wypełnieniu zadania.

Trzymałem ją w ramionach i całowałem aksamitną skórę jej szyi, czułem jej kruche ciało ulegle przyciśnięte do mojego, ale... włączyłem dyskretnie hipnotyzator.

Po kilku sekundach cudowne dziecko leżało na moim łóżku i uśmiechając

się, czule szeptało moje imię.

Od czasu do czasu jęczała z rozkoszy.

Nie byłem w stanie dłużej na to patrzeć i szybko połknąłem pastylkę nasenną. Kiedy Nicolette przeżywała swoje słodkie marzenia w mojej zdradzieckiej kompanii, ja położyłem się na skórze pod kominkiem i zasnąłem jak kamień. Nad ranem Nicolette wyciągnęła do mnie swoje ramiona, pocałowała i szepnęła do ucha.

- Mój kochany, jestem wypełniona rozkoszą. Ta cudowna noc na zawsze pozostanie w mojej pamięci. Od tej pory będę żyła tylko oczekiwaniem na twój powrót.

Nic nie odpowiedziałem, ograniczając się tylko do pocałunku. Potem spotkaliśmy Huona, który mrugnął do mnie porozumiewawczo, a następnie zapytał czy nie jestem zbyt wyczerpany przed czekającą nas podróżą. Musieliśmy przecież jechać dalej. Burknąłem, że jestem w doskonałej formie.

Tak więc po obfitym śniadaniu dosiedliśmy ponownie naszych wierzchowców i po raz drugi przekroczyliśmy zwodzony most.

Długo jeszcze widziałem machającą do mnie z wieży Nicolette.

Wiedziałem, że przez cały czas łzy płynęły po jej pięknej twarzy.

Zdawałem sobie również sprawę, że być może nigdy jej już nie zobaczę.

Ale nie żałowałem swojego podstępu...

Wśród wszystkich prób, którym poddano mnie po przylocie na planetę, ta była najcięższa i o mało co nie dałem się złapać. W rzeczywistości przecież mogło chodzić tu o nic innego jak o kolejną pułapkę przygotowaną przez

władców tej planety. Ale nawet jeżeli tak było, godziny które tu straciłem były cudowne.

Huon odgadł powód mego smutku i z respektem milczał.

Kiedy jednak zobaczył, że coraz bardziej się zamyślam, postanowił jednak przerwać ciszę.

-

Co zamierzasz dalej, mój przyjacielu? - zapytał. - Wciąż pragniesz dotrzeć do Monmuru i spotkać się z Oberonem?

-

To jedyny powód mojej tu obecności. Czyżbyś przypuszczał, że mógłbym opuścić Nicolette bez istotnej przyczyny?

-

A więc będziemy musieli przepłynąć się przez morze. To ciężkie zadanie z uwagi na czyhające potwory. Miejmy nadzieję, że spotkamy jakiegoś człowieka - delfina. Inaczej będziemy musieli znowu polegać na twoich zaklęciach.

Jego słowa ściągnęły mnie na ziemię. W ostateczności moje plecaki anty - g były w stanie pokonać taką przeszkodę. W takim przypadku musielibyśmy jednak porzucić nasze wierzchowce, które okazały się doskonałym środkiem lokomocji w tych prymitywnych rejonach.

Te historie o potworach morskich opowiedane przez Olbrzyna wydawały mi się mimo wszystko mocno przesadzone, ale z drugiej strony na tej planecie wszystko było możliwe.

-

Powiedz, czy spotkałeś już kiedyś ludzi - delfiny?

-

Jasne. Kiedyś nawet w opresji korzystałem z pomocy jednego z nich imieniem Halibron. Oberon wysłał go do mnie i ten dowiózł mnie do przyjaznego portu.

-

Domyślam się, że jest to inny gatunek ludzi. Czy mają swe miasta pod wodą?

-

To jest bardzo możliwe. Potrafią rozkazywać wszystkim stworom żyjącym w morzach. Bez wątpienia traktują je tak, jak my traktujemy na przykład psy czy wierzchowce. Żyją w podwodnych grotach, o których opowiadają, że pełne są nieprzebranych skarbów. Ale nie może być ich wielu, bo spotkać ich można bardzo rzadko.

-

Istnieli od zawsze czy też pojawili się nagle i niedawno?

-

Nie wiem, daję słowo. Wydaje mi się, że nasz stwórca stworzył nas wszystkich jednocześnie, ale nie umiałbym ci tego wyjaśnić.

-

A te potwory, o których mówiłeś, jak wyglądają?

-

Dzięki Bogu nigdy ich nie spotkałem na swej drodze. Mówi się, że podobne są do węzów, ale ich pyski są tak wielkie, że potrafią połknąć

cały statek.

Znów paradoksy. Jeżeli mogłem sobie wyobrazić możliwość stworzenia androidów takich jak Olbrzym czy nawet mutantów w stylu ludzi - - delfinów to te węże stanowiły zupełnie inną sprawę z uwagi na ich wielkość. Nie bardzo wyobrażałem sobie laboratorium podmorskie, które wyhodowałoby takie olbrzymy. Poza tym, po co? Bez wątpienia racjonalna eksploatacja planety wymaga zagospodarowania jej oceanów. To by tłumaczyło istnienie ludzi - delfinów. Ale zdążyłem już zauważyć, że władcy tej planety niewiele sobie robili z problemów zagrożenia ekologicznego czy przemysłowego.

Nic z tego co dotychczas widziałem nie odpowiadało żadnym wyobrażeniom o racjonalności.

Istnieli cesarze i rycerze, księżniczki, olbrzymy, czarownicy. Wszystko jak we śnie i bez cienia związku z etyką przyjętą w Konfederacji. Ale nie mogłem wykluczyć, że to wszystko było w rzeczywistości jedynie owocem mojej wyobraźni.

Tylko że moja aparatura była jak najbardziej sprawna. Wykazywała, że nie podlegałem działaniu żadnej formy hipnozy. A więc wszystko co widziałem było realne, tylko nie racjonalne... Postanowiłem więc brać to wszystko tak jak było, nie starając się na razie zrozumieć.

Po trzech godzinach jazdy dotarliśmy wreszcie do celu. Przed naszymi oczami aż po horyzont rozciągał się ocean. Bez żadnego statku czy mutantą w zasięgu wzroku.

Ścieżka doprowadziła nas do rozległej plaży o drobnym piasku, na której

musieliśmy chcąc nie chcąc oczekiwać na kaprys dobrej woli ludzi morza lub interwencję Oberona.

ROZDZIAŁ V

Leżąc wyciągnięty na piasku marzyłem o Nicolette. Zastanawiałem się czy w ogóle kiedykolwiek istniała.

Nie byłem tego pewien, bo wszystkie moje przygody wyglądały mi jak ze snu. A przecież wciąż widziałem przed oczyma jej twarz i tego obrazu nigdy nie zapomnę.

Huon przechadzał się po wydmach zachwycając się kryształowym powietrzem. Nasze wierzchowce natomiast spokojnie się pasły wyszukując wśród piasku nieliczne trawki.

Zaczynałem się potwornie nudzić, kiedy dostrzegłem na horyzoncie szybko powiększający się punkt.

Moja lornetka ujawniła, że była to barka podobna do tej, którą podstawiono nam do przepłynięcia rzeki w drodze do zamku Olbrzyma.

Na pokładzie znów nie było żywej duszy. Sterowanie odbywało się za pomocą anteny umieszczonej - jak w tamtej - na dziobie.

Później dostrzegłem czyjąś głowę pojawiającą się wśród fal. Musiał to być bez wątpienia ów sławny człowiek - delfin.

Styl jakim płynął przywodził na myśl rzeczywiście delfiny. Przez długi czas płynął pod wodą, żeby nagle wystawić z niej wysoko swoją głowę.

Jego twarz była najzupełniej ludzka. Miał dużą brodę i długie włosy swobodnie unoszące się na wodzie na kształt wodorostów.

Huon również go dostrzegł.

Obaj podeszliśmy do brzegu prowadząc za wodze wierzchowce. Po kilku minutach barka dobiła do naszych stóp.

Człowiek - delfin pluskał się przez chwilę w pobliżu, ale nie udało mi się dostrzec całej jego sylwetki. Zauważyłem jedynie błonę między palcami rąk, która ułatwiała mu pływanie.

Przyglądał nam się przez jakiś czas i wreszcie uznał za stosowne zabrać głos.

-

A więc to ty jesteś Aucassinern z Sernes. Widzę też Huona, którego już poznałem. Muszę ci szczerze wyznać, że nie lubię ani ciebie, ani w ogóle ludzi. Ludzie morza nienawidzą ludzi równin i lasów. Polecono mi odnaleźć cię i przeprowadzić na drugi brzeg. Wykonam to polecenie. To wszystko.

-

Dziękuję za przysługę - odparłem. - Czy można wiedzieć dlaczego nie lubisz ludzi?

-

Wszyscy oni są brudni i śmierdzący, okrutni i kłamliwi. Bez rozkazu Dahut z przyjemnością porzucilibym cię na pastwę potworów morskich, które - w odróżnieniu od was - zabijają tylko wtedy, gdy są głodne. Starczy tego gadania. Załadujcie wierzchowce na barkę, a sami wejdźcie na mój grzbiet i na grzbiet mojej towarzyszki.

Dopiero teraz wypłynęła z morza kobieta - delfin o pięknych jasnych włosach. Bez słowa zbliżyła się do brzegu.

Nie miałem specjalnej ochoty używać tego udziwnionego środka lokomocji, ale Huon dał mi przykład, wprowadzając nasze wierzchowce na pokład barki i usadawiając się samemu okrakiem na grzbiecie

Halibrona, bo okazało się że tak właśnie miał na imię ten stwór.

Pozostało mi tylko pójść w jego ślady, co też uczyniłem.

Dopiero teraz dostrzegłem, że kadłub barki wykonany został z olbrzymiej muszli. Reaktor napędzający znajdował się gdzieś pod spodem i był niewidoczny.

-

Dziwne - powiedziałem do Huona. - Te istoty z pewnością nie potrafią zbudować silnika napędzającego taką barkę. Skąd więc je biorą?

-

Ludzie morza są bogaci. Korale i perły, które wylawiają służą im jako moneta. Na pewno handlują z mieszkańcami miasta Ys...

Miałem właśnie zamiar popytać go dalej na temat tego miasta, kiedy mój delfin wystartował jak torpeda.

Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że te istoty są tak silne. Płynęły szybko i miarowo, pozostawiając za sobą długi farwator. Musiałem przez cały czas kurczowo trzymać się mojej amazonki, żeby nie wpaść do morza.

Barka płynęła naszym śladem.

Sytuacja zupełnie uniemożliwiała nawiązanie rozmowy z moją piękną przewodniczką, bo fale przez cały czas opryskiwały mi twarz. Brzeg był teraz widoczny jedynie w postaci czarnej kreski na samym krańcu, horyzontu. Dokąd nas wiodły te istoty, pozostawało wciąż tajemnicą.

Zresztą i tak nie miało to żadnego znaczenia, bo przecież nie miałem już na to wpływu. Podróż ta jednak przez cały czas trzymała mnie w napięciu.

Przecież Halibron nie kłamał mówiąc, że nienawidzi ludzi. Nie było wykluczone, że zechce sprawić nam jakąś przykrą niespodziankę.

Spojrzałem na Huona, ale ten wydawał się być całkiem spokojny. W końcu jego poprzednia podróż na grzbiecie Halibrona przebiegła bez niespodzianek. Od czasu do czasu machał do mnie zadowolony, a ja mu odmachiwałem.

Przeplłynęliśmy następne kilkanaście mil i ziemia zupełnie zniknęła z horyzontu.

Nagle nasi przewoźnicy bez żadnego ostrzeżenia jednocześnie zanurkowali głęboko w kierunku dna. Nie stanowiło to dla nich żadnego problemu, bo przecież używali tlenu z wody, ani dla mnie, bo miałem skafander. Gorzej było z Huonem, który w ciężkiej zbroi spadał na dno jak kamień.

Do zupełnego utopienia brakowało mu jedynie sekund.

Na szczęście woda była na tyle przezroczysta, że udało mi się go odnaleźć leżącego bezwładnie na piasku dna. Próbował nieudolnie oswobodzić się ze zbroi, a sprawiał przy tym wrażenie niezgrabnego kraba.

Szybko ponurkowałem do niego i wyciągnąłem hermetyczny namiot, który nadmuchał się automatycznie wokół niego. Ciśnienie szybko wyparto wodę z wnętrza. Po kilku dalszych sekundach Huon wreszcie doszedł do siebie i dal mi ręką znak że wszystko jest w porządku.

Ci indziej delfiny musieli nas rzeczywiście nienawidzić, jeżeli mimo

rozkazów próbowali nas utopić. A może właśnie takie mieli rozkazy? Któż to mógł wiedzieć?

Nie mogłem ich dostrzec w pobliżu, ale krajobraz i bez nich był wystarczająco przerażający. Spomiędzy długich podwodnych alg wydostawały się kreatury jak z koszmaru. Długie macki pełne przyssawek, pancerne ryby z paszczą pełną ostrych jak brzytwy kłów i oczach błyszczących jak piekło. W oddali dostrzegałem również tutejsze odmiany ziemskich mątw o jadowitych mackach ruszające groźnie w poszukiwaniu zdobyczy.

Trochę dalej wznosiło się miasto ludzi - delfinów. Widać było place pełne wodorostów o malowniczych barwach i budowie przypominające swoją monumentalnością świątynie.

W zarośniętych skałach dostrzegałem wejścia do wielu grot, służących zapewne za mieszkania.

Na głębokości trzydziestu metrów światło słoneczne było jeszcze wystarczająco silne, żeby zalewać wszystko migotliwą poświatą.

Nie dane mi było jednak zbyt długo podziwiać tego widoku, bo strażnicy miasta zaraz nas wykryli i gromadą rzucili się w naszą stronę. Były ich setki, wydostających się nieprzerwanie z kolczastych muszel.

W większości były to olbrzymie węże morskie uzbrojone w potrójny garnitur zębów. Huon również je dostrzegł i dawał mi rozpaczliwe znaki wymachując niepotrzebnie mieczem.

Podpłynąłem bliżej do niego i wyjąłem swój ultradźwiękowy pistolet.

Najlepsza broń na taką sytuację. Zacząłem od razu strzelać do pierwszych

rzędów napastników.

Efekt był wręcz niespodziewany. Wszystkie trafione węże wybuchaly i rozpadały się na mnóstwo kawalków pływajacych teraz wokół nas.

Mimo to ich atak wcale nie zmniejszył na sile.

Nowe potwory bez przerwy zastępowaly swoich zabitych towarzyszy.

Dołączyły do nich ogromne rekiny i małże poruszajacy się na zasadzie odrzutowej. Kiedy trafiałem któraś z nich woda natychmiast zabarwiała się ciemnym atramentem zasłaniajacy pole widzenia. Ponieważ prąd w tym miejscu płynął w moją stronę wkrótce byłem całkowicie oślepiony.

Odrobinę mnie to zaniepokoiło.

Ryzykowaliśmy coraz bardziej przegraną pod wpływem zaduszenia nas przez masę Ciemności nie pozwalaly mi na staranne celowanie. Złapałem uchwyt namiotu, w którym zamknięty był mój towarzysz i włączyłem swoje pole ochronne oraz plecak antygravitacyjny.

W ten sposób zbliżyliśmy się do olbrzymiej pustej muszli, która przynajmniej ochraniała nasze tyły. Umieściłem Huona w jej wnętrzu, a sam zająłem się obroną wejścia.

Pole ochronne pozwoliło mi na chwilę wypoczynku, ale mimo wszystko daleko mi było do pełnego opanowania sytuacji. Zapasy tlenu w namiocie Huona starczą jedynie na jakieś dziesięć godzin. Musiałem więc znaleźć jakiś sposób wydostania się z tej matni bez zwracania na siebie uwagi tej sfory potworów.

Na szczęście ludzie - delfiny nie ujawniali się w dalszym ciągu.

Najprawdopodobniej mieli całkowite zaufanie do swoich strażników i do

ich apetytów. My zaś nie zamierzaliśmy urozmaicać im menu.

Ponieważ muszla wyglądała na twardą więc postanowiłem jej użyć jako łodzi podwodnej. Dwa generatory anty - g umieszczone na obu jej końcach powinny pozwolić na osiągnięcie powierzchni morza bez dodatkowych problemów. Przez chwilę zajęty byłem majsterkowaniem i uruchamianiem tego urządzenia. Nic się jednak nie stało.

Zaniepokojony wzmocniłem natężenie promieni anty - g, ale z tym samym efektem, jeżeli nie liczyć lekkiego drgania.

Coś musiało nas trzymać na dnie. Tylko co?

Ostrożnie wyjrzałem na zewnątrz i dostrzegłem, że rząd kalmarów uczepionych naszej muszli ciągnął się aż do najbliższej skały.

Strzeliłem do najbliższego i przez sekundę muszla była zupełnie wolna.

Zaraz jednak inny kalmar zastąpił zabitego. Strzelałem dalej, ale wkrótce zostałem znowu oślepiony atramentem. Taka taktyka nie prowadziła do niczego, bo upór tych bestii był wariacki. Zaryzykowałem wszystko i wyekspediowałem na zewnątrz granat atomowy włączając jednocześnie moje anty - g na pełną moc.

Muszla wystrzeliła do góry z taką szybkością, że o mało nie przebiliśmy jej dna spadając. Prawdą jest, że moja łódź nie miała certyfikatów władz Konfederacji, ale mimo wszystko udało mi się jakoś opanować jej zygzakowaty kurs i dalej płynąć w stronę powierzchni.

Pod nami rozmywał się obraz miasta, a jego strażnicy nie wykazywali chęci gonienia nas. Widać jednak czegoś się nauczyli.

Ludzie - delfiny dalej się nie ujawniali, najwidoczniej zadowoleni ze

strachu, którego nam napędzili. A muszę przyznać, że było mi gorąco tam na dole.

Spokój na powierzchni morza wydawał nam się wręcz szokujący po naszych podwodnych przejściach.

Gdyby nie szczątki różnych stworzeń unoszące się wokół nas na falach, można by sądzić, że to wszystko nam się przyśniło.

Huori niezdarnie starał się wygramolić z otaczającego go wciąż namiotu, a potem zaczął wylewać wodę z butów. Wreszcie odezwał się do mnie.

- _Aucassin! Masz jak widzę najbardziej niesamowite sztuczki magiczne przez cały czas ukryte w rękawie. Nigdy nie sądziłem, że któregoś dnia znajdę się w bańce powietrznej pod wodą... Te ryby są istotami bez czci i wiary; nie dotrzymały danego słowa. Powinieneś im dać dobrą nauczkę.

Kilka piorunów z pewnością zburzyłyby ich miasto.

-

To marni czarnoksiężnicy i dlatego nie raczyłem ich karać. Skoro nas opuścili, to dalej będziemy podróżować drogą powietrzną.

-

Boże! Dotąd myślałem, że tylko Oberon potrafi latać w swoim mieście na chmurach... Chyba jednak nie przestaniesz nigdy mnie zadziwiać.

Słaba moc moich anty - g nie pozwoliła na osiągnięcie dużej wysokości, więc musieliśmy unosić się tuż nad falami trochę jak poduszkowiec.

Mój towarzysz wyglądał na zachwyconego tą przygodą. Zupełnie rozluźniony nucił jakąś balladę rycerską, w której chodziło o ukochanego,

jadącego uwolnić swoją narzeczoną z rąk niewiernych.

Ja zajęty byłem sterowaniem naszym dziwnym pojazdem i przez cały czas szukałem barki, na której płynęły nasze wierzchowce.

Zamiast niej zauważyłem drobne punkciki między falami. Zaintrygowały mnie one i zbliżyłem się, żeby zobaczyć o co chodzi. To był mój kolejny błąd.

Cudowne nimfy o długich włosach bawiły się w morzu, śpiewając hipnotyzującą opowieść, w której opisywały historię nieszczęśliwej miłości jednej z nich do mnie. Stałem się w tej opowieści rycerzem Hansem, dla którego jedna z nich zdecydowała się za cenę tysięcy cierpień przybrać postać ludzką. Ja natomiast zdradziłem ją dla jakiejś głupiej księżniczki i syrenie pękło z tego powodu serce.

Przez długi czas byłem zauroczony tą melodią. Huon z ogłupiałą miną również był zasluchany w ten śpiew.

Nasza muszla kołysała się bezwładnie na falach.

Na szczęście mój trening pozwolił mi odzyskać część zmysłów. Uwolniłem się na tyle od tego hipnotycznego zewu zdradzieckich syren, że udało mi się ponownie uruchomić silniki anty - g i uciec.

Potrzebowałem wszystkich sił i całego treningu, żeby nie pozwolić Huonowi rzucić się do morza w celu uściskania swojej ukochanej. Ten piękny chórek wreszcie ucichł w oddali i mojemu towarzyszowi wrócił rozsądek.

Dalej już lecieliśmy bez żadnych przeszkód i wreszcie udało nam się odnaleźć barkę z wierzchowcami. Przez dwie godziny trzymałem się tuż

obok niej. Nic się nie wydarzyło.

Potem, na horyzoncie pojawiła się nagle ciemna plamka. Zbliżyliśmy się do brzegu. Choć i tym razem również udało mi się pokonać wszystkie przeszkody nie robiłem sobie złudzeń. Oberon i jego wspólnicy nie zostawią mnie w spokoju. O co im chodziło?

W jaki sposób tak różne istoty mogły żyć jednocześnie na jednej planecie?

Kto zaspokajał ich potrzeby? Jakie były ich aspiracje? Gdzie się nie zwrócić tam czekała na mnie zagadka.

Obecnie pragnąłem przede wszystkim dowiedzieć się czegoś więcej o celu naszej podróży.

-

Huon, co wiesz o kraju, do którego płyniemy?

-

Należy do króla Gradlona, który mieszka i rządzi w mieście Ys. W rzeczywistości wszelką władzę sprawuje jego córka, piękna Dahut. Jest ona jednocześnie ekspertem w dziedzinie magii i włada morzami. Po swojej matce imieniem Malgven, która zmarła w czasie porodu, odziedziczyła również zaczarowanego rumaka nazwanego Morvark, który posiada cudowną moc biegania po falach jak po lądzie, bez względu na pogodę. Księżniczka często udaje się na długie wycieczki, podczas których oddaje swe cudowne ciało falom. W zamian za to ocean obdarowuje Ys swoimi bogactwami.

Dzięki swoim czarom Dahut zbudowała wokół miasta potężny mur otaczający je ze wszystkich stron z wyjątkiem morza. Z tej strony dostępu

bronią olbrzymie wrota z brązu. W czasie przyływu otwierają się one wpuszczając wodę. Gdy jej poziom zrówna się z nadbrzeżem brama zamyka się i zostaje otwarta dopiero w czasie odpływu.

Bardowie śpiewają pieśni o tym, że goście Dahut są witani i goszczeni jak królowie, ale żaden z nich nie opuścił żywy tego przeklętego grodu. Wierz mi, że nie jest zdrowo tamtędy nawet przepływać...

-

A możemy się oddalić z tej okolicy?

-

Niestety, jest już za późno. Ocean zawsze przyprowadza do Danut marynarzy, którzy nieopatrznie zapuszczą się w te strony.

Słuchałem go uważnie i szybko się zorientowałem, że mówi prawdę.

Naraz bowiem zaczął wiać silny wiatr, a zaraz potem wpadliśmy w silny prąd morski i mimo moich wysiłków nie byłem w stanie zmienić kursu.

Po paru minutach oba nasze statki minęły owe wrota z brązu i zatrzymały się przy kei. Drzwi zamknęły się bezszelestnie. Po raz kolejny na tej planecie wpadłem w pułapkę.

Oczekiwał nas tłum witających z dostojnym starcem o pomarszczonej twarzy i koronie na głowie, na czele. Był to bez wątpienia król Gradlon.

Po jego prawej stronie, dzika piękność o twarzy skażonej perwersją dosiadała czarnego jak noc rumaka, Księżniczka Dahut.

Czy po Nicolette i syrenach miałem znów wpaść w sidła zmysłów, tym razem złej czarownicy?

-

Witajcie, szlachetni rycerze - odezwała się piękna ciepłym głosem. -

To wielka radość dla naszego Ys móc gościć Aucassino z Sernes i Huona z Bordeaux. Wasza podróż morska była, jak sędzę, dość męcząca. Czy pozwolicie zaprosić się do naszego pałacu na kilka chwil zasłużonego odpoczynku?

-

Cudowna istota - pomyślałem - i jaki ze mnie marny szpieg. Każdy mój ruch i gest, nawet najmniejszy, wydaje się być wszystkim znany i władcy tej planety mogą się mną bawić jak zabawką. Ale na głos starałem się nie wypaść z roli.

-

Biesiadować w tak wspaniałym towarzystwie może być dla nas tylko zaszczytem... Niemniej jednak naszym zamiarem było jedynie zwiedzić to wspaniałe miasto o wyjątkowej reputacji. Czekam na daleką podróż i pilne sprawy do załatwienia.

Dahut zmarszczyła brwi i odparła zniecierpliwionym tonem.

-

Nie ma mowy o rycerzu. Potraktowalibyśmy to jako obrazę. Nigdy jeszcze żaden podróżnik nie odjechał od nas bez ugoszczenia w pałacu króla Gradlona. Odpłyniecie, jeżeli taki jest wasz zamiar, jutro.

Z jej wyniosłą miną, pełnymi wargami, klasycznym nosem i hebanowymi włosami, miała naprawdę czym zawrócić w głowie każdemu normalnemu mężczyźnie. Oczywiście przekonała mnie.

-

Niech będzie wedle waszej woli, pani - odparłem. - Nigdy nie chciałem

bym sprzeciwiać się piękności tak doskonałej.

Prawdę mówiąc nie do końca musiałem kłamać i udawać.

Ta wymuszona gościna mogła przybrać bardzo zły obrót, ale mogła też przybliżyć mnie do rozwiązania przynajmniej części tajemnic tej planety.

No i Dahut była taka piękna...

Wieczór w jej towarzystwie z pewnością pozostanie w pamięci. Była jednak Nicolette, ale sam widok przepięknej księżniczki wystarczył żeby zapomnieć o wszystkich kobietach świata. Emanował z niej magnetyczny fluid, któremu nie sposób było się oprzeć.

Huon - jak ja - był oczarowany i także nie w głowie mu było protestowanie.

To miasto było największe i najludniejsze z wszystkich, które dotąd udało mi się dostrzec. Przez całą drogę do pałacu mieszczanie z wielką rewerencją kłaniali się w pas naszemu orszakowi. Nosili na szyjach ciężkie złote naszyjniki, a na palcach ogromne pierścienie. Mijane budynki wyglądały na wygodne i nieźle wyposażone. Oczywiście z mojego punktu widzenia całość wyglądała prymitywnie.

Nie miałem zresztą możliwości przyglądania się zbytnio miastu, bo księżniczka bez przerwy rozpytywała mnie o cel mojej podróży, o kraj, z którego miałem niby pochodzić. Gradlon natomiast skakał na paluszkach wokół Huona. Wciąż opowiadali sobie dowcipy śmiejąc się do rozpuku.

Krótko mówiąc przygotowano nam co najmniej pozornie kordialne powitanie i pozostawało tylko czekać do czego ono w końcu doprowadzi.

Ja natomiast bardzo chciałem się dowiedzieć, w jaki sposób Dahut dowiedziała się o naszym przybyciu. Bez wątpienia musiała mieć bezpośrednią łączność z istotami morza. To by odpowiadało temu, co już wiedziałem o tym mieście. Mieszczanie natomiast na moje oko - musieli trudnić się piractwem. Mimo ich czolobitności wyglądali na bezlitośnie łupiących wszystkie przepływające w pobliżu statki, zabijając pasażerów i grabiąc ich skarby.

Król i jego córka zamierzali uspić naszą czujność przez nadmierną grzeczność i muszę przyznać, że nieźle sobie z tym radzili.

Sam pałac natomiast przechodził wszelkie moje ewentualne wyobrażenia i doświadczenia wyniesione z rozlicznych podróży po Galaktyce.

Nawet Kalapol wydawał się szczytem bezgúscia w porównaniu z tą budowlą zdobioną rzeźbami w koralu i wszelkimi bogactwami, które można było otrzymać z eksploatacji morza i jego dna.

W środku czekał już na nas wielki stół zastawiony po brzegi. Wszystkie naczynia i sztúce ze złota i srebra, karafki z kryształów morskich.

Wskazano mi miejsce po prawej stronie Dahut, a Huonowi obok króla.

Biesiadowaliśmy przez długi czas. Ryby i kraby ustąpiły placu dziczyź - nie, a ta z kolei dała miejsce pieczystemu. Bajadery i akrobaci prześcigali się przez cały czas w wymyślaniu coraz to piękniejszych układów.

Zajmowałem się jednak moją sąsiadką, która okazała się nie tylko miła i piękna ale inteligentna.

Od niej dowiedziałem się, że Ys było jedynym miastem w tych okolicach i że jego mieszkańcy właściwie nigdy nie musieli pracować. Ocean

dostarczał im wszelkich produktów potrzebnych do życia i zaspokajania próżności.

Nie udało mi się natomiast ustalić, jakie były związki króla z Oberonem.

Jego imię wywołało tylko lekki uśmiech na twarzy Dahut, która wyraźnie

karła się nie obawiała. Odparła po prostu, że Oberon rządzi na innym

kontynencie i nigdy nie miesza się w sprawy ludu morza. Poinformowała

mnie natomiast, że istnieje jeszcze trzeci czarownik, który rządzi

wszystkim co się znajduje w górach i pod ziemią. Nazywa się Wodan.

Tak więc tajemnice tej planety zaczynały się powoli rozjaśniać. Oberon

rządził lasami, polami i powietrzem. Dahut kontrolowała oceany i

wszystko co w nich żyło. Wodan natomiast był władcą podziemi.

Cała trójka miała więc mniej więcej równą władzę. Pozostawało jeszcze

ustalić, które z nich posiadało technologie pozwalające na tworzenie

androidów i tych wszystkich urządzeń, których jakoś dano mi już

podziwiać.

Nie widziałem jeszcze latającego miasta karła - z pewnością musiał to być

jakiś olbrzymi aparat latający. Byłem przekonany, że Dahut także miała

gdzieś nowoczesne urządzenia. Nawet ściany jej pałacu były oświetlone

zupełnie inaczej niż w zamku Olbrzyma. Zamiast pochodni same mury

świeciły jasnym blaskiem przypominającym fluorescencje. Bramy

zamykające miasto od strony morza również musiały skrywać potężne

urządzenia do poruszania ich olbrzymiej masy.

Przyrzekłem sobie dokonać w najbliższym czasie dyskretnej wycieczki po

mieście. Wątpiłem jednak, żeby pozwoliło mi to na odnalezienie tej

aparatury, bo władczyni oceanów z pewnością ukryła swoje fabryki na dnie szelfu, który stanowił idealną osłonę tajemnicy w tym prymitywnym społeczeństwie.

Zagłębiając się w swoich myślach zupełnie przestałem zajmować się książeczką, która natychmiast mi to wypomniała. Postanowiłem wprowadzić ją więc w zakłopotanie.

- Opowiadano mi dziwne rzeczy o mieście Ys. Niektórzy twierdzą, że każdy mieszkaniec posiada swojego smoka morskiego, który napada statki i znosi swemu panu zrabowane skarby. Co więcej, są również tacy, którzy twierdzą, że żaden z gości książeczki nie opuścił żywy tego miasta.

Cóż można sądzić o tych opowieściach?

Dahut spojrzała na mnie kpiąco swoimi brązowymi oczyma. Nachyliła się tak mocno, że prawie dotykała wargami mojego policzka i przez dłuższą chwilę wpatrywała się z ukosa w moje oczy.

Ta kobieta sprawiała, że czułem się strasznie nieswojo. Za całe ubranie służyły jej dwie chusty z przezroczystego jedwabiu ozdobione podobnym wzorem co na barce, którą nam przysłała. Jej długie czarne włosy falowały rozsiewając zapach nieznanych perfum, którymi skropiła całe ciało. Czulem się oszłomiony.

-

Sądzisz, że jesteś mi obojętny, piękny nieznajomy? - zamruczała mi do ucha. - Jeżeli zechcesz Dahut będzie twoja... Przyjdź dziś w nocy do mnie... twój pokój jest obok mojego.

Ta propozycja niezbyt mnie zdziwiła.

Księżniczka od początku robiła wszystko, żeby mnie uwieść. Niestety, mogłem sądzić, że jednodniowi kochankowie władczyni oceanów nigdy nie doczekiwali żywi poranka.

Tylko, że alabastrowe ramiona, które czulem wokół szyi, podniecający oddech i perłowe wargi nie pozwalały mi myśleć o czymkolwiek innym niż o tej piekielnej propozycji. Cóż innego może w podobnej sytuacji uczynić normalny mężczyzna, na dodatek nadmiernie zdrowy?

Usłyszałem więc swój niechciany szept:

-

Dahut, kochanie, przyjdę... Nie każ mi zbyt długo czekać. Marzę o przytuleniu się do ciebie, o całowaniu twoich ust...

-

Nie obawiaj się, Aucassin. Potrafięś wzbudzić moje pożądanie, więc wyjdę zaraz po tobie, nasza noc będzie przepiękna. Będę należała do ciebie aż do samego rana i przeżyjemy wspólnie cudowne godziny.

Wredna natura ludzka. Ta okropna diablica kompletnie mnie usidliła.

Nawet nie odpowiedziała na moje pytania i zdawałem sobie sprawę, że nad ranem będzie już tylko zastanawiała się nad najlepszym sposobem pozbycia się mnie na zawsze. Ale nie potrafiłem jej się oprzeć. Miałem w nosie Oberona, Wodana i Kampla. Miałem w nosie zadanie. Gdyby chociaż Pentoser był tutaj, ten potrafilby przywrócić mi rozsądek.

Niestety, jedynej pomocy mogłem się spodziewać od rycerza Huona, który był tak zajęty zdobywaniem wdzięków jednej z dworek, że trudno było spodziewać się z jego strony odruchów zdrowego rozsądku.

Końcówka bankietu potoczyła się jak we śnie.

Nie czułem głodu ani pragnienia, nagie bajadery przykryte gdzieśgdzie sznurami pereł nie robiły na mnie żadnego wrażenia. Jedno tylko liczyło się dla mnie naprawdę: Dahut, księżniczka o hebanowych włosach, o aksamitnej skórze, której gibkie ciało doprowadzało mnie do szaleństwa.

ROZDZIAŁ VI

Drżąc pod spojrzeniem Dahut opuściłem salę bankietową, zapominając nawet pożegnać się z Huonem. Byłem przepojony myślami o miłości z tą luksusową pięknnością i nic innego nie było w stanie zaprzątnąć mojej uwagi.

Szedłem do swojego pokoju prowadzony przez jakiegoś kalekiego karła.

Drzwi obok były oznaczone skomplikowanym i bogatym wzorem ułożonym w stylizowane D.

Tam właśnie miałem się wkrótce spotkać z tą, która dla mnie liczyła się najbardziej na świecie.

W olbrzymim kominku nie było napalone. Przynajmniej nie było widać śladu ognia. Palenisko było mimo to rozgrzane do czerwoności i na tym tle dostrzec można było jakieś cienie. Była to senna dekoracja zmieniająca się bez przerwy i pulsująca szkarłatnym blaskiem.

Zamyślony, wciąż wspominający tę cudowną twarz, którą już zaraz miałem ujrzeć wśród tego czarodziejskiego otoczenia, zacząłem się powoli rozbierać. Nagle jakby złota fala przemknęła między tym fantastycznym paleniskiem a mną i cudowny czysty uśmiech pojawił się na czerwonych ustach.

-
Piękny panie, zwyczaj mego kraju chce bym spełniła każde żądanie rycerza, który mnie uwolnił.

I ujrzałem przed sobą twarz Nicolette. Czystość, niewinność tej fizjonomii prawie dziecięcej stanowiła taki kontrast z perwersyjną pięknnością Dahut, że natychmiast otrzeźwiałem.

-
Jak to? - pomyślałem. W jaki sposób mogłem już zapomnieć o tej, której dałem swoje słowo? Dlaczego nie miałbym użyć przeciw tej okrutnej księżniczce tego samego podstęp, który zastosowałem przeciwko temu niewinnemu dziecku? W tym momencie wolalbym umrzeć niż wpaść w objęcia tej okrutnej istoty, która zabije mnie natychmiast, jak tylko nasyci swoje pożądanie. Jeżeli miałem przeżyć, to musiałem zachować do końca swój rozsądek. W jednej chwili stałem się znów sobą. Znów wolny i zdecydowany za nic nie wpaść ponownie w sidła mojej najgroźniejszej jak dotąd przeciwniczki.

Pozostawało teraz jedynie dotrzymać tych szlachetnych postanowień. Położyłem się więc do łóżka i włączyłem pole ochronne. Miałem mocne postanowienie nie ruszać się z tego łóżka aż do rana.

Oświetlenie ścian powoli ściemniało się. Jedynie kominek wciąż był czerwony i rzucał swoje fantastyczne obrazy na meble i posadzkę.

Wtedy otworzyły się bezszelestnie drzwi i w progu ujrzałem Dahut w swej olśniewającej nagości. Z czarującym uśmiezkiem na wargach zbliżała się do mnie wolnym krokiem.

Bohatersko starałem się myśleć o czymś innym, najlepiej o złotych włosach mojej ukochanej, o jej delikatnych rysach i błękitnych oczach. Niestety, gorący głos i perfekcyjnie piękne ciało księżniczki błyskawicznie uporało się z moimi wspomnieniami.

-

No i co, piękny rycerzu. Czyżby to było wszystko do czego jesteś zdolny? Piękne słowa, ale bez skutków. Pragniesz zapewne, żeby to ciebie pożądan. A może obawiasz się, że nie zadowolisz Dahut? A przecież wszyscy śmiertelni daliby swoje życie, żeby być na twoim miejscu. Zresztą tylko ja jedna mogę cię poprowadzić po tej planecie, po której błądasz się jak biedna ofiara czarów, które cię przerastają. Już teraz powiem ci, że miasto Oberona można dostrzec jedynie wtedy, kiedy on tego chce. Unosi się ono przez cały czas w powietrzu, czasem ląduje w jakiejś dolinie lub nad brzegiem rzeki, ale odlatuje natychmiast jeżeli ktokolwiek usiłuje się do niego zbliżyć. Dam ci talizman, który unieszkodliwia zaklęcie. Wtedy Oberon będzie musiał spotkać się z tobą twarzą w twarz. Czyż nie pragniesz właśnie tego najgoręcej pod słońcem? Wiem także, że miałbyś ochotę spotkać się w Wodanem, którego miasto ukryte jest głęboko pod ziemią. Również tylko ja mogę ci pokazać w jaki sposób przekroczyć bezpiecznie wszystkie przeszkody i zasadzki, którymi się otoczył. Widzisz więc, że Dahut marzy tylko o tym, żeby ci pomóc. Pragniesz także dowiedzieć się w jaki sposób wytwarzamy te wszystkie magiczne urządzenia, które nam dają władzę, I to także ci ułatwię. Sam więc widzisz, jak przyjaźnie jestem

do ciebie usposobiona. Jutro, kiedy zaspokoję swoje zmysły, jeden z moich służących przyjdzie po ciebie i zaprowadzi cię w otchłań oceanu.

Tam właśnie ukryłam moich Korriganów, którzy kontrolują pracę maszyn wymyślonych przez nas. A teraz chodź do mnie, mój kochany.

Danut pragnie wziąć cię w swe ramiona i otworzyć przed tobą tajemnice rozkoszy, których nie znasz.

To przemówienie, muszę przyznać, zmieszało mnie odrobinę. Ta przebiegła dziewczyna potrafiła mnie rozszyfrować i zaofiarować to, czego najbardziej pragnąłem, od niej poczynając. Zdoylem się jednak na heroiczny wyczyn i włączyłem hipnotyzer, mając nadzieję na wyciśnięcie z tej piękności wszystkiego co wiedziała i to bez najmniejszego ryzyka dla mojej skromnej osoby. Moje marzenia rozwiały się błyskawicznie.

Dahut była zupełnie niepodatna na mój aparat. Nawet kiedy przełączyłem go na największą moc. Tym razem trafiłem na silniejszego od siebie. Ten perwersyjny demon różnił się jednak głęboko od miernych istot napotkanych przeze mnie dotąd.

Jakie miała wobec mnie plany? Na razie w milczeniu zbliżała się.

Zrobilem się całkiem malutki za moim ekranem ochronnym, którego użyteczność była najprawdopodobniej porównywalna ze skutecznością hipnotyzera.

Na szczęście dla mnie nic się nie wydarzyło. Dahut uśmiechnęła się pokazując swoje perłowe ząbki i spojrzała na mnie z ubolewaniem jak na małe dziecko, które coś zbroiło.

Mój kochany Aucassin - zaśmiała się wreszcie - dlaczego

**zabawiasz się tymi aparacikami dobrymi co najwyżej dla trzeciorzędnego
magika? Nie zamierzałeś chyba serio zrobić mi takiego samego numeru
jak tej nieszczęsnej Nicolette? Mnie? Władczynie oceanów?**

**Całkiem rozbity swoim zdemaskowaniem wyłączyłem nieużyteczne
przyrządy i dość głupio odpaliłem:**

-

**Nic nie szkodziło spróbować, prawda? Zresztą zapewniam cię, że
nie miałem zamiaru ci szkodzić. Jeżeli naprawdę dotrzymasz swoich
obietnic, to będę szczęśliwy.**

-

**A więc przestań się wyglupiać rycerzu mego serca. Chodź! Mamy
przed sobą całą noc.**

Nie mam najmniejszej ochoty wspominać tego, co się wydarzyło później.

**Sporo podróżowałem i miałem w swoim życiu mnóstwo przygód
miłosnych, ale te kilka godzin pozostawiło na zawsze w moim umyśle
okropne ślady, jakąś niezniszczalną rysę zła. Przez całe następne lata
miałem, na wspomnienie tej nocy, koszmary tym okrutniejsze, że mimo
wszystko była w nich przyjemność.**

**Faktem jest, że nad ranem czułem się kompletnie wycieńczony. Dahut
pochyliła się nade mną i na pożegnanie pocałowała mnie w usta. Potem
poczułem delikatne dotknięcie na twarzy przypominające muśnięcie
skrzydłem motyla.**

-

**Nie bój się - powiedziała czule - chodzi tylko o maskę na twarzy,
żeby nikt nie mógł cię rozpoznać. A teraz już możesz iść. Mój służący
zaprowadzi cię tam gdzie zechcesz. Sprawileś mi dzisiaj wielką
przyjemność, więc dam ci na odchodnym jeszcze jedną radę: nie staraj się
zrozumieć tajemnic, które cię przerastają. Wróc skąd przyszedłeś i
zostaw tę planetę w spokoju. Cała twoja wiedza nawet się nie umywa do
naszej i jeżeli nas zdenerwujesz,
to będziesz tego żałować.**

**Nie wziąłem tych słów poważnie, bo moja szaleńcza duma nie pozwalała
mi przyznać się do przegranej. Kampl zaufał mi i musiałem uczynić
wszystko dla wykonania zadania, nawet jeżeli miało mnie to kosztować
życie. Ubrałem się więc w milczeniu i opuściłem pokój nie oglądając się za
siebie. Nie spojrzałem nawet na łóżko z muszli perłowej, w którym
spoczywała ta perfidna, która naznaczyła na zawsze mój umysł wiedzą
nieдоступną dla zwykłych śmiertelników.**

Na korytarzu czekał na mnie służący ubrany całkiem na czarno.

**Prowadził mnie przez sieć korytarzy aż do wewnętrznego dziedzińca, na
którym czekał na mnie mój wierzchowiec przebierając niecierpliwie
kopytami. Huon stał opodal, również gotowy do drogi.**

**Nasz przewodnik w milczeniu dosiadł karego ogiera i z miejsca ruszył
galopem poprzez puste o tej porze ulice miasta. Zauważyłem, że mój
towarzysz nie miał na twarzy żadnej maski. Odruchowo spróbowałem
ściągnąć swoją, bo nie widziałem już sensu utrzymywania dłużej swego
incognito.**

O dziwo. Było to niemożliwe. Materiał, mimo że nadzwyczaj delikatny w dotyku, dokładnie opinał całą twarz. Ponieważ zbytnio mi nie przeszkadzała, więc po krótkiej szarpaninie zostawiłem maskę na jej miejscu zajmując się prowadzeniem swojego wierzchowca.

Wyjechaliśmy już bowiem z krętych uliczek na wąską drogę wijącą się wśród nadmorskich skał.

Byłem zdecydowany poznać do głębi tajemnice Ys, więc bez sekundy wahania poszedłem w ślady naszego przewodnika i wjechałem w ciemność jaskini, która pojawiła się przed nami.

Usłyszałem natomiast krzyk Huona, który wołał z przerażeniem:

- Na Boga, on nas prowadzi prosto do Korriganów.

Tym akurat zupełnie się nie przejmowałem. Czy byli to bowiem Korriganowie czy też zupełnie inne stwory, ktoś przecież musiał opiekować się aparaturą zasilającą miasto.

Tunel prowadzący w głąb oceanu był oświetlony tą samą techniką co ściany w pałacu, więc droga była w sumie bardzo bezpieczna, choć może niezbyt przyjemna. Tunel miał średnicę ponad pięciu metrów i jego podłoga wyłożona była materiałem, który do złudzenia przypominał cement.

Ponad kwadrans jechaliśmy w zupełnym milczeniu nie napotykając żywej duszy. Potem dostrzegłem drzwi z brązu, których strzegł kolejny karzeł o wykrzywionej twarzy.

Na sam widok naszego przewodnika schował się gdzieś dając nam przejście. Drzwi były zresztą automatyczne i same otworzyły się przed

nami. Wjechaliśmy do sali przykrytej wielką kopułą, pod którą widać było setki maszyn i urządzeń, zupełnie mi nieznanymi. Trochę z boku, przed skomplikowanymi ekranami monitorów siedziało kilku owych Korriganów kontrolujących proces produkcji.

Olbrzymie kule wypełnione gęstą cieczą wydawały się dostarczać energii. Można się było przynajmniej domyślić tego po grubych izolowanych kablach, które wychodziły z nich znikając w suficie w jednym grubym przewodzie. Być może wykorzystywano tu proces syntezy jądrowej oparty na wodorze z wody. Nie byłem tego pewien, bo tutejsza technologia głęboko różniła się od naszej.

Opodal w wielkich kadziach były zanurzone elektrody wymieniane co jakiś czas, z których następnie wytapiano metale. Uzyskane w ten sposób sztabki były stosowane do zasilania innych maszyn, z których dopiero wychodziły na taśmociągach gotowe wyroby.

Dahut dostawała więc od oceanu energię i surowce, z których mogła do woli produkować towary potrzebne do zaspokojenia potrzeb jej mieszkańców.

Gdzie indziej dostrzegłem kilka łodzi podwodnych, które służyły do połowu planktonu i ryb. Tu zbierano żywność dla mieszkańców Ys.

Nareszcie znalazłem się na znanym mi gruncie. Wszystko znów stawało się wytłumaczalne. Na powierzchni żyli ludzie, którzy utrzymywani byli na poziomie feudalnym, ale prawdziwi władcy planety posiadali technologię, która pozwalała im zaspokajać wszelkie potrzeby poddanych. Nie musieli nawet ujawniać swoich prawdziwych umiejętności. Wszystko przecież tak łatwo dawało się wytłumaczyć za pomocą czarów. Jedno tylko pozostawało niejasne. W jakim celu Dahut, Wodan i Oberon czynili to wszystko? Być może księżniczka zechce mi to wytłumaczyć, skoro dotrzymała jednej z danych wcześniej obietnic. Pozostawało jedynie jeszcze raz się z nią zobaczyć.

Nasz przewodnik zresztą nie czekał na zaproszenie i sam zawrócił obierając tą samą drogę, którą tu przybyliśmy.

Spojrzałem wreszcie na Huona. Biedaczysko wyglądał na zupełnie przytłoczonego przez obraz, który zobaczył. Dla niego wszystko to było tworem

potężnej

czarnoksiężniczki,

której

słudzy

za

pomocą

dostarczonych przez nią zaklęć wykonywali jej polecenia. Wątpilem, żeby udało mu się wyjść poza ten schemat rozumowania.

Ponownie pograżyliśmy się w zakamarkach pałacu i dostrzegłem wreszcie

księżniczkę, która czekała na nas z uśmiechem.

-

No i co, Aucassin? Mogłeś się sam przekonać, że nie jestem taka zacofana za jaką mnie uważałeś. Cóż powiesz na moje instalacje? Ci, którzy cię wysłali powinni być zadowoleni z twojego raportu... jeżeli dożyjesz powrotu.

-

Cóż, spodziewałem się znaleźć coś takiego. Muszę przyznać, że nie masz mi czego zazdrościć. Ale nie kryję, że nie spodziewałem się, żeby tą planetą rządziła kobieta.

-

Jestem zupełnym nieukiem w porównaniu z Oberonem czy Wodanem. Oni zajmują się poważnymi problemami. Ja posiadam tylko morza i oceany oraz urządzenia do ich eksploatacji.

-

Będę więc musiał się z nimi jednak spotkać - westchnąłem. -

Niestety, Oberon nie sprawia wrażenia kogoś, kto pragnąłby ze mną rozmawiać. Może mogłabyś mi ułatwić to spotkanie?

Twarz księżniczki wykrzywiła się w okropnym grymasie.

-

Cudzoziemcze - wycedziła. - I tak wiesz już za dużo. Nie sądzę, żebym mogła pozwolić ci wyjść stąd żywym. Bo widzisz, na niczym nie zależy nam tak bardzo, jak na spokoju. To co robimy nie powinno nikogo z zewnątrz obchodzić.

Ledwo skończyła mówić, jak poczułem, że moja maska twardnieje i przestaje przepuszczać powietrze.

Gdyby nie mój skafander musiałbym umrzeć. Dahut podeszła bliżej żeby napawać się moją agonią. Ponieważ jednak wyglądałem na przejętego jej sztuczką, więc po prostu odwróciła się i odeszła ze swoim sługą.

Pozostawało teraz tylko oswobodzić się z tej śmiertelnej zabawki, która zmuszała mnie do zużywania bez potrzeby moich zapasów tlenu. Sztuka polegała na tym, żeby nie uszkodzić przy tym skafandra.

Udało mi się w końcu tego dokonać za pomocą pistoletu laserowego, który stopił tkaninę i pozwolił na zerwanie maski z twarzy. Odetchnąłem kilka razy głęboko i zacząłem się zastanawiać nad sposobem opuszczenia tego gościnnego grodu bez większego ryzyka.

Poza tym należało się zastanowić gdzie mam się udać dalej. Dahut była drugim mieszkańcem tej planety, który wyraźnie odcinał się od przeciętnej. Jej władza była prawdziwa w przeciwieństwie choćby do Gradlona, który był jedynie zwykłą kukłą. Wyglądało na to, że wielu mieszkańców było w rzeczywistości jedynie androidami stworzonymi przez genialnych biologów. Widziałem tu jedynie maszyny do przerabiania bogactw morza. Gdzie więc znajdowały się fabryki, które je wytwarzały?

Oberon zajęty był lataniem w swoim mieście. Najważniejszym z całej trójki wydawał się być Wodan. Jego więc postanowiłem odszukać.

Razem z Huonem, coraz bardziej zagubionym w potoku coraz bardziej przerastających go zdarzeń, poszliśmy więc szukać raz jeszcze Dahut.

Tym razem nie miałem zamiaru dać się zaskoczyć.

Dahut odnalazłem w sali tronowej. Nie była zdziwiona moim widokiem.

Rzuciła w moją stronę wściekle spojrzenia nie kryjąc wcale swoich morderczych intencji. Włączyłem natychmiast swój ekran ochronny, bo lekka poświata dostrzegalna wokół jej tronu wskazywała na to, że ona również zabezpieczyła się.

-

I co moja droga - zauważyłem ironicznie - nie spodziewałaś się, że będę taki twardy. Przyzwyczaiłaś się rządzić androidami i nie doceniasz normalnych ludzi. Na co czekasz? Czemu nie zamienisz mnie w popiół?

-

Przestań się wysilać - warknęła. - Wiesz doskonale, że oboje mamy swoje ekrany. Ty nie możesz mi nic zrobić ani ja tobie.

-

Tobie nic. Natomiast twoim ludziom i skarbowi, które tu zgromadziłaś... Mogę zmieść z powierzchni ziemi to miasto i zniszczyć twoje podwodne fabryki, jeżeli tylko będę miał na to ochotę. A mam straszną ochotę, bo nie dotrzymałaś słowa.

Mówiąc to wyjąłem swój miotacz i wystrzeliłem niewielkiej mocy granat do sąsiedniego pokoju. Niewielki, ale wystarczył przecież do zamienienia go w kupę gruzów.

Dahut podskoczyła jakby to w nią trafił i patrząc nienawistnie na mnie krzyknęła:

-

Nie wierzę, żebyś był w stanie spełnić swoje groźby. Nie chcę jednak ryzykować zniszczenia tych wszystkich wspaniałości nagromadzonych tutaj. Mów. Powiedz czego pragniesz, a dam ci słowo honoru że spełnię twoją prośbę.

-

Zgoda. Dam ci jeszcze jedną szansę. Oto moje warunki. Huon i ja opuścimy bezpiecznie Ys. Dostarczysz nam łódź, która pozwoli nam dopłynąć tam, gdzie się znajduje Wodan. Ty władasz jedynie oceanami, ale nie wytwarzasz tych androidów, niewolników, którymi rządysz. Obron również się ze mną spotka. Wtedy będziemy mogli dyskutować i przekażę wam wiadomość, którą otrzymałem do przekazania.

-

Zgoda. Statek zawiezie cię do siedziby Wodana. I obyś żałował tej decyzji.

Niezbyt przejąłem się tą groźbą i spokojnie wyszedłem razem z Huonem, który był wciąż zaniepokojony.

Na wszelki wypadek na odchodnym rzuciłem jeszcze ostatnie ostrzeżenie czarnemu służącemu, który nas odprowadzał.

- Zapamiętaj sobie dobrze to, co teraz powiem. Jeżeli twoja pani zechce nas znowu oszukać, to bramy strzegące Ys od strony morza rozpadną się na kawałki a miasto zostanie pochłonięte przez ocean.

Moje słowa nie były tak zupełnie cczą pogróżką, bo byłem na tyle przewidujący że zdążyłem wrzucić przy bramie małą bombę atomową sterowaną przez radio. Nie miałem pojęcia czy to urządzenie

kiedykolwiek zadziała. W końcu niewielkie zakłócenie mogło całkowicie je ekranować. Sługa jednak przejął się wyraźnie moją groźbą, co było widoczne w jego przerażonych oczach. Najwidoczniej miasto Ys nie przyjmowało zbyt często tak potężnych czarnoksiężników jak ja...

Zgodnie z obietnicą, u kei czekał na nas statek. Wyglądał jak starożytny żaglowiec z tą różnicą, że oprócz żagli na jego masztach umieszczone były anteny odbiorcze. Załoga składała się z kilku zaledwie marynarzy. Błdzi i wynędzniali robili wrażenie, jakby naprawdę przybyli prosto ze świata duchów.

Najpierw wprowadzono na pokład nasze wierzchowce, a dopiero potem sami weszliśmy na trap. Marynarze pracowali w milczeniu poruszając się sztywno jak automaty. Rzucili cumy i za pomocą foka i bezana skierowali statek w stronę wyjścia z portu.

Drzwi z brązu otworzyły się bez zwłoki i zaraz potem wypłynęliśmy na szeroki ocean.

Przekłete miasto znikало nam powoli z oczu wraz ze swymi wspomnieniami, które wciąż wywoływały u mnie gęsią skórę.

-

Na wszystkich świętych - głos Huona wyrwał mnie z odrętwienia - przeżyłem tu najstraszniejsze ze wszystkich przygód mego życia.

Jesteśmy na pewno pierwszymi, którzy uszli żywo z tego diabelskiego miasta. Daję słowo, że zaszachowałeś Dahut. Teraz będę ci towarzyszył nawet do piekła. Tyle że nic nie rozumiem z tej całej historii. Czy byłbyś łaskaw wytłumaczyć to mojej biednej głowie?

-
Z przyjemnością. Co chcesz wiedzieć?

-
Cóż, jestem nieukiem w porównaniu z twoją olbrzymią wiedzą tajemną. A jednak pragnąłbym zrozumieć co nieco z tej historii. Nazwałeś mnie i moich współpracowników androidami. Co to znaczy?

Tym razem poczułem się naprawdę lekko zażenowany. Sam niewiele wiedziałem o prawdziwej historii tej planety, a Huon zupełnie nie był przygotowany do skomplikowanego wyводу. Zdecydowałem się jednak powiedzieć mu to, co wydawało się mi prawdą.

- **Widzisz, ludzie zwykle rodzą się ze swoich rodziców. Ludność danej ziemi rodzi się powoli na bazie kilku par. Potem tworzą się plemiona, narody. Tutaj odbyło się to zupełnie inaczej. Zostaliście stworzeni jednocześnie dzięki zaklęciom jeżeli chcesz - w specjalnych laboratoriach, w których wyhodowano wasze ciała, tak jak wytwarza się maszyny. Ten proces jest całkowicie nienaturalny i istnieje jedynie w wysoko rozwiniętych społeczeństwach. Dahut, Oberon i Wodan są jedynymi, którzy posiadają tę wiedzę. Wy wszyscy zaś jesteście tylko zabawkami w ich rękach. Dlaczego? Nie wiem. Co mogło się tu wydarzyć, co spowodowało tę nienormalną sytuację? Mogę się tylko domyślać.**

Huon wyglądał na mocno trzepniętego tym co usłyszał. Przez chwilę drapał się w głowę myśląc nad czymś intensywnie.

-
Chyba rozumiem co chcesz powiedzieć - odezwał się wreszcie.

Mimo że nasze kobiety mogą rodzić dzieci, to jednak wszystkie rasy zamieszkujące nasze kontynenty są sztucznego pochodzenia.

-

Właśnie, ale to nie wszystko. Gospodarka jest tu również bardzo dziwna. Spójrz na Ys. Gdyby nie maszyny Dahut, gdyby nie żywność i metale czerpane dzięki nim z oceanów, to miasto samodzielnie nie mogłoby istnieć. Jego mieszkańcy nie zdają sobie z tego sprawy. Tylko księżniczka o tym wie.

-

To wszystko przerasta mnie. Zanim cię spotkałem wszystko wydawało mi się proste. Nasze tradycje mówiły, żeby być posłusznym cesarzowi i Gradlonowi, ale według ciebie to tylko kukły, które nie rządzą naprawdę.

-

Dokładnie tak. Nie wiem od jak dawna to trwa, ale mam nadzieję, że wkrótce i tego się dowiem. Co o tym mówią wasi historycy?

-

Nie za wiele Nie mamy prawie żadnych przekazów o naszej przeszłości. Nieliczni tylko umieją pisać. Mówi się nam, że to sprawa czarów, a w moim kraju tylko Oberon ma prawo uprawiać sztukę pisania. Ci którzy się sprzeciwiają znikają na zawsze.

-

Nie macie żadnych legend o waszych przodkach?

-

Owszem, ale bardowie, którzy je śpiewają muszą się ukrywać, bo jest to zakazane.

-

Mnie nie musisz się obawiać.

-

Niektórzy twierdzą, że wielkie wyspy znajdujące się na tym oceanie były niegdyś zamieszkane. Żeglarze, którzy do nich dotarli znaleźli przedziwne i tajemnicze rzeczy. Mówili o wielkich miastach, w których nikt już nie mieszka. Opowiadali o domach sięgających nieba, o maszynach, bo tak nazwałeś te czarodziejskie przyrządy w mieście Dahut. Mówią nawet, że w tych miastach znajdowały się aparaty zdolne do latania w powietrzu, tak samo jak miasto Oberona. Nikt i tak nie wierzy w te opowieści, ale po naszych przygodach zaczynam się zastanawiać czy nie są one jednak prawdziwe.

-

To szalenie interesujące. Czy sądzisz, że ten statek byłby w stanie nas dowieźć do takiej wyspy?

-

Oczywiście. Jeżeli tylko marynarze zechcą cię usłuchać. Co do mnie to i tak będę ci towarzyszył. Przedtem jednak chciałbym cię jeszcze o coś zapytać. Nie miej mi za złe jeżeli będę niedyskretny. Od kiedy cię poznałem, nie przestajesz mnie zadziwiać swoimi czarami. Rozmawiasz jak równy z równym z najpotężniejszymi czarownikami. Skąd ty naprawdę pochodzisz?

-
Huon, przyjacielu. To co ci powiem zabrzmi prawdopodobnie jak bajka. Czy spoglądałeś kiedyś na nocne niebo kiedy nie ma chmur?

-
Widać na nim gwiazdy - małe iskierki wylatujące z pieca, w którym wytopiono świat.

-
Wiem, że można ci zaufać, więc nie powtarzaj nikomu tego co usłyszysz. Wokół tych gwiazd krąży mnóstwo niewidocznych światów z morzami, lądami jak tutaj, które nazywamy planetami. Urodziłem się na jednej z takich planet daleko stąd.

-
Nie do wiary. W takim razie musiałeś przebyć otchłań nieskończoności. Z jakiego zaklęcia korzystałeś?

-
Na naszych planetach miliony ludzi posiadają wiedzę, o której nie masz najmniejszego pojęcia. Wytwarzają dzięki niej maszyny. Jedna z takich maszyn dowiozła mnie aż tutaj.

-
Gdybym nie znał twojej potęgi, nazwałbym cię największym z łgarzy. To wszystko nie nadaje się na moją biedną głowę. Powiedz mi jednak, dlaczego nasi władcy nie uczą nas tych wszystkich wspaniałości.

-
Jak ci już mówiłem Huonie, mieszkańcy tej planety nie są ludźmi, a

tylko androidami. Dlaczego? Może dlatego, że w którymś okresie ewolucji zawiodła genetyka i trzeba było uciec się do sztucznego wytwarzania ludzi. Tylko, że to nie tłumaczy obecności Dahut, Oberona i Wodana. Chyba, że są oni, tak jak ja, cudzoziemcami na tej planecie. Wydaje mi się jednak, że jeżeli naprawdę istnieją te miasta, o których mówileś, to musiała się tu wydarzyć jakaś niesamowita katastrofa. Ci, którzy przeżyli, stali się bezpłodni i musieli zacząć produkować androidy.

-
Twoje wyjaśnienia są smutne. W każdym z tych przypadków jesteśmy niewolnikami trzech istot posiadających niewyobrażalną wiedzę. Nie widzę nawet sposobu w jaki moglibyśmy odzyskać wolność i zacząć działać wedle naszej woli. Pragnąłbym jednak poznać choć odrobinę tej nauki, o której mówisz i przekazać ją innym ludziom.

-
Mam nadzieję, że później będę w stanie nauczyć cię tego, czego pragniesz. Najpierw jednak musimy odnaleźć ruiny, o których mówileś i dowiedzieć się co spowodowało katastrofę.

-
Jak zamierzasz tego dokonać?

-
Sprawię, żeby załoga zaczęła mnie być posłuszna. Potem weźmiemy kurs na te sławne wyspy.

ROZDZIAŁ VII

Huon

przyglądał

się

moim

poczynaniom

z

największym

zainteresowaniem. Musiałem mu wyjaśnić jak działają moje aparaty.

Mimo że nie miał żadnego wykształcenia technicznego, nadrabiał to

uwagą i inteligencją. Bardzo szybko chwycił przynajmniej podstawowe

zasady. Nawet powinienem mu odmówić, bo przecież musiałem się

wszystkich wystrzegać. Tyle że potrafił do tego stopnia rozbroić mnie

swoją szczerością i oddaniem, że ufałem mu aż do absurdu.

Niektóre cechy jego charakteru przypominały mi Pentosera, który musiał

sobie wrywać włosy z głowy oczekując na jakąkolwiek wiadomość ode

mnie. Zbyt jednak obawiałem się zdradzenia jego pozycji wysłaniem

sygnału radiowego. Będzie więc musiał jeszcze trochę się pomartwić.

Prawie zautomatyzowana załoga naszego statku nie była zbyt trudna do

unieszkodliwienia. Kazałem im iść spać i zaraz wszyscy zniknęli w swoich

hamakach. Miałem wrażenie, że ich obecność na pokładzie była

potrzebna jedynie do wciągnięcia żagli na wypadek awarii napędu bądź

urządzeń odbiorczych.

Właśnie te urządzenia sprawiły mi najwięcej kłopotów. Ponieważ nie

chciałem, żeby Dahut i jej wspólnicy zorientowali się zbyt wcześnie w

zmianie naszego kursu, więc nie mogłem tego po prostu zniszczyć.

Musiałem najpierw ekranować anteny, a następnie dostroić się samemu do odbiorników, żeby móc sterować według swoich potrzeb.

Zajęło mi to prawie godzinę, bo sygnały docierały z zadziwiającą mocą, a sam odbiornik różnił się zupełnie od znanych mi urządzeń tego typu.

Wreszcie jednak nasz statek zaczął płynąć pełną szybkością nowym kursem. Kiedy ja zajmowałem się swoim majsterkowaniem, Huon również nie tracił czasu. Solidnie związał całą załogę, a potem dokonał inwentaryzacji naszych zapasów bojąc się, że grozi nam głód lub pragnienie. Z tej strony na szczęście nie musieliśmy się niczego obawiać.

Statek posiadał zapasy żywności i wody na sześć miesięcy. Jedynym problemem był napęd. Nie byłem pewien czy statek posiada wystarczający zasięg dla naszych nowych potrzeb. Oglądałem go ze wszystkich stron przez ponad godzinę i do niczego nie doszedłem.

Jedynie co ustaliłem z całą pewnością, to to, że korzystał z wody morskiej jako napędu. To pozwalało mieć nadzieję, na bardzo duży zasięg. Chyba, że stosowano tu dodatkowo jakiś katalizator, który co jakiś czas należało uzupełniać. Może ktoś z załogi mógłby mi odpowiedzieć na te pytania?

Zszedłem do ładowni, w której Huon ich zamknął i włączyłem sondę psychiczną w głowę tego, który wyglądał najinteligentniej.

Niestety, nie udało mi się wyciągnąć z niego niczego interesującego.

Zbroja - bo tak nazywał się ten statek - mogła z łatwością dopłynąć do siedziby Wodana. Po zadekowaniu, na jej pokład wkraczały ekipy

Korndanów i zajmowały się magicznymi skrzynkami, które zapewniały posuwanie się statku. Marynarze nie znali się na tym i wręcz bali się

zbliżyć do przedziału silnikowego. Było to o tyle uzasadnione, że faktycznie odkryłem silne promieniowanie z silnika. Cały przedział był zresztą osłonięty dość grubym pancerzem z ołowiu. W rzeczywistości rola załogi ograniczała się do wciągnięcia żagli w przypadku awarii i naciśnięcia przycisku uruchamiającego nadajnik wzywający pomocy. W takim przypadku z pomocą przylatywała ekipa Korriganów usuwająca awarię.

Kiedy ponownie znalazłem się na pokładzie obok Huona nie wiedziałem wiele więcej niż przedtem.

Nigdzie nie widać było żadnego brzegu co podziało na mnie uspokajająco.

Mój towarzysz natomiast zaczynał wyglądać na zaniepokojonego.

Wskazywał bez przerwy na niebo, które zaczynało się pokrywać wielkimi, prawie czarnymi chmurami.

-

Do diabła - zaniepokoiłem się również - zanoszą się na niesamowitą burzę. Czy luki są, dokładnie zamknięte?

-

Sprawdzałem je przed chwilą. Wszystko w porządku. Tylko, że muszę cię o czymś uprzedzić. Najprawdopodobniej zaraz będę cierpieć na chorobę morską.

-

Tylko tego brakowało - pomyślałem. Żeby miał chociaż w zanadrzu jakiś lek na taką okoliczność. Niestety, nikt nie przewidział, że

będę podróżował w czasie burzy w malej łupince z facetem, który cierpi na chorobę morską. Miałem nadzieję, że mój trening pozwoli mi znieść i tę niedogodność.

Wysłałem więc Huona do kabiny, a sam stanąłem za sterem.

Spodziewałem się potwornej burzy, ale tornado, które nagle się rozszalało przeszło moje najśmielsze oczekiwania.

Zrobiło się ciemno jak w nocy. Wiatr w pierwszym podmuchu zerwał nam wszystkie anteny z masztów. Morze zamieniło się w labirynt przecinany ścianami piętnastometrowej wysokości fal, które jakby specjalnie za nami goniły.

Z początku chciałem być cwany i wykorzystując moc silników utrzymać się na grzbiecie jednej z fal. Zaraz jednak popełniłem jakiś błąd i wpadłem między oba olbrzymy. "Zbroja" została dokładnie zalana przez doganiającą nas falę. Tylko mój skafander i fakt, że byłem zaczepiony o jakąś linę uratował mnie przed zmyciem z pokładu.

Po nieskończonej długiej chwili statek wydostał się na powierzchnię.

Wtedy stwierdziłem że stracił oba maszty. Kadłub jakimś cudem wciąż był cały. Zaryzykowałem następny manewr i skierowałem nas dziobem do wiatru. Zmieniło to naszą sytuację o tyle, że teraz widziałem nadciągające fale.

W sumie nie cierpiałem za bardzo w swoim skafandrze. Obawiać się musiałem jedynie zmycia do morza.

Kilka razy dostawaliśmy uderzenie z boku i statek robił wrażenie jakby chciał się przewrócić. Powracał do pionu w ostatniej chwili.

Huk tej burzy prawie mnie ogłuszył. Miałem wrażenie, że atakuje nas cały legion demonów. Chwilami słyszałem wprawdzie jęki marynarzy i krzyki Huona, ale byłem zbyt zajęty, żeby się tym przejmować. Wreszcie kadłub zaczął niebezpiecznie trzeszczeć zaczynając się powoli rozpadać.

Spojrzałem na zegarek, żeby przekonać się, że od rozpoczęcia tego huraganu minęła zaledwie godzina. Co by nie mówić, ocean posłuszny rozkazom Dahut postanowił nas wyraźnie wykończyć. Ta planeta była jedną wielką pułapką, w której natura podporządkowana była rozkazom trzech Mędrców.

Następna fala przewyższała rozmiarami wszystkie, które napotkaliśmy dotychczas. Nic nie mogłem zrobić, żeby ją ominąć. Nasz statek prawie stanął dęba wspinając się na jej szczyt i kiedy go osiągnął, pokład zalala niesamowita ilość wody. Tym razem o mało co nie zmyło mnie na dobre.

Ponad minutę spędziłem pod wodą, mając już wrażenie, że tym razem nurkujemy na zawsze.

Z prawdziwą ulgą dostrzegłem wreszcie nad sobą skrawek ciemnego , nieba.

Zacząłem gorączkowo myśleć nad sposobem wyjścia z tej sytuacji. Nagle doznałem olśnienia. Nasz problem sprowadzał się do wyeliminowania fal uderzających w pokład. Wystarczyło więc otoczyć cały statek moim polem ochronnym na poziomie wody.

Moje urządzenie mogło całkowicie zabezpieczyć mnie w promieniu dwóch metrów. Rozszerzając zasięg jego działania do maksimum udało mi się objąć cały statek. Rezultaty tego eksperymentu potwierdziły moje

nadzieje. Nie udało mi się co prawda całkowicie zasłonić przed falami, ale te kilka kropel nie miało nic wspólnego z potopem zalewającym nas do tej pory.

Wiatr przeszedł w lekką bryzę, a gejzery wody z grzyw rozbijały się wysoko nad nami.

Dostrzegłem Huona, który ciężko gramolił się na pokład i wyglądał na kompletnie wycieńczonego.

-

Tym razem myślałem, że już umrę - wyszeptał. - Wolę tysiąc razy śmierć w walce niż takie powolne konanie.

-

To moja wina. Ta burza tak mnie zaskoczyła, że zupełnie zapomniałem o czarach. Teraz nie mamy się już czego obawiać. Dahut może wywołać jeszcze sto takich burz. Jedyne co osiągnie to małe opóźnienie naszego planu.

- To dziwne - stwierdził. - Nigdy dotąd nie traktowałem naszych magów jak kogoś wrogiego. To co mi powiedziales otworzyło mi oczy na wiele spraw. Jesteśmy naprawdę marionetkami w ich rękach i bawią się nami do woli. Nawet nasze wojny nie mają żadnego sensu, kiedy wiadomo, że to oni pchają nas przeciwko sobie... To przecież nasi bracia, skoro twierdzisz, że ta trójka stworzyła nas jednocześnie.

-

Masz rację. Jeżeli wyjaśnisz te sprawy swoim towarzyszom, to może wiele spraw ulegnie wreszcie zmianie. Tylko nie myśl, że wasze

zachowanie jest nienormalne. Ludzie z naszej Konfederacji Gwiezdnej mieli również swoje problemy. Jej różne rasy i narody w swoim czasie zachowywały się jak zwierzęta zabijając, rabując i wykorzystując swoich towarzyszy jak niewolników bez najmniejszych skrupułów. Teraz żyjemy w pokoju i harmonii. Nasze Floty pilnują przestrzeni, a bronie należą do ludu i mogą zostać wykorzystane tylko w naszej obronie. Nasza Galaktyka jest wielka wszystkich nie znamy wszystkich istot, które ją zamieszkują. Musimy więc przez cały czas być czujni. Właśnie dlatego wysłano mnie tutaj. Boimy się, żeby ta trójka, która wami rządzi nie zechciała wyruszyć na podbój naszych planet. Nasza historia zna zbyt wiele wojen i zbrodni, żebyśmy mogli zapomnieć o czujności.

-

Rozumiem cię, przyjacielu i możesz być pewien mojego poparcia, nawet jeżeli niewiele ono może znaczyć. Opuściłem swoją żonę i Bordeaux, żeby iść z tobą i nauczyć się twojej ulotnej wiedzy dającej władzę nad materią, I w świetle tego, co mi powiedziałaś dochodzę do wniosku, że miasta, których szukamy mogą kryć w swoich ruinach wiele niebezpiecznych tajemnic.

-

Cóż, spróbujemy odkryć całą prawdę na ich temat. Spójrz, burza ustępuje. Nasi przeciwnicy musieli się zorientować, że znalazłem już ochronę przed ich gniewem. Wracamy na poprzedni kurs i pełną szybkością płyniemy w stronę wysp. Tylko nie rób sobie złudzeń. Nasze przygody jeszcze się nie skończyły.

Ku mojemu zdziwieniu następny dzień upłynął bez najmniejszych niespodzianek. Silniki pracowały równo i płynęliśmy prosto do celu.

Przeżycia z poprzedniej nocy zaostrzyły strasznie mój apetyt.

Zaaplikowałem więc sobie sporą dawkę koncentratów odżywczych podczas gdy Huon, który - jak twierdził - miał wciąż jeszcze skręcony żołądek zadowalał się niewielkimi łykami zwykłej wody i kilkoma sucharami.

Wreszcie zapadła noc. Ponieważ morze wydawało się spokojne i nie dostrzegalem żadnego niebezpieczeństwa, pozwoliłem sobie na kilka godzin snu, zostawiając u steru Huona.

Byłem jednak tak wykończony wszystkimi przygodami z ostatnich paru dni, że ku swojemu zawstydzeniu spałem prawie sześć godzin. Huon był na tyle wyrozumiały, że nie budził mnie. Kiedy więc zmieniłem go przy sterze byłem w świetnej formie.

Statek nie zmienił kursu ani szybkości i według moich obliczeń powinniśmy dotrzeć do celu następnego dnia, jeżeli nie będzie żadnych niespodzianek.

Nie miałem nic do roboty, więc zszedłem do ładowni, żeby zobaczyć jak się miewają nasi więźniowie. Nie jestem specjalnie czuły na zapachy, ale panujący tam smród przyprawił mnie o mdłości.

Marynarze nie przejmowali się zupełnie zaduchem i spali w najlepsze wyczerpani burzą. Otworzyłem więc jedynie szeroko jeden z bulajów i zostawiłem im trochę żywności i picia. Z ulgą wydostałem się ponownie na pokład.

Akurat wstawał nowy dzień. Tym razem nawet najmniejsza chmurka nie zakłócała czystości nieba. Wiała silna bryza, wznosząc pianę na grzbietach fal. Tym nie należało się przejmować, ponieważ wiało w dobrym kierunku. Dopiero po chwili zorientowałem się, że coś jednak jest nie w porządku. Przez chwilę nadsluchiwałem uważnie nie mogąc wychwycić przyczyny mojego niepokoju. Wszystko było tak bardzo spokojne, że wreszcie zorientowałem się. Zamilkły silniki.

To był naprawdę poważny cios, bo zupełnie nie potrafiłem sobie wyobrazić w jaki sposób mógłbym je naprawić.

Potrząsnąłem śpiącym Huonem, któremu widocznie przerwałem sen o bitwie, bo z miejsca chwycił za miecz szykując się do walki. Kiedy wyjaśniłem mu sytuację, schował miecz i po krótkiej chwili zapytał:

-

To chyba proste? Marynarze postawią żagle i naprawią maszty, a ponieważ wiatr wieje w stronę wybrzeża, więc nie mamy się czym przejmować. Co najwyżej stracimy jeszcze trochę czasu.

-

Oczywiście masz rację. Nie mam zbytniego zaufania do tych żagli, ale skoro marynarze potrafią je obsługiwać, wykorzystajmy ich umiejętności.

Może później uda mi się wymyślić coś szybszego.

Po godzinie płynęliśmy już ponownie pod wszystkimi żaglami jakie udało się zamocować na naprędcie postawionych masztach zapasowych. Udało mi się tak ustawić ekran ochronny, że cały wiatr wpadł w żagle i dzięki

temu zyskaliśmy odrobinę na szybkości. Wydawało mi się, że płyniemy prawie tak szybko jak pod silnikami. Jeżeli nasi przeciwnicy liczyli na zatrzymanie nas na morzu, to i tym razem zupełnie się zawiedli...

Marynarze okazali się świetnie wyszkoleni i doskonale dawali sobie radę z kaprysami wiatru i żagli. Wyglądało na to, że przed wieczorem osiągniemy jednak nasze wyspy.

Do południa nic nie zakłócało naszego spokoju. Niestety Wielka Trójka zorientowała się szybko w naszych zamiarach i dostrzegłem kilka razy pływające obok nas delfiny o ludzkiej twarzy. Ci szpiedzy musieli zdawać im regularne raporty z naszych postępów, bo bez żadnego ostrzeżenia nagle wiatr zamarł.

Statek nie zatrzymał się jednak w miejscu, tylko był dalej znoszony przez silny prąd morski. Wkrótce zorientowałem się, że dryfuje nas w kierunku czarnych punktów, które szybko rosły na horyzoncie. Załoga na ich widok została zupełnie sparaliżowana strachem. Nie mogłem się zorientować, co takiego groźnego mogło kryć się w tych punkcikach, więc zapytałem Huona czy wie coś o jakimś niebezpieczeństwie w tym rejonie oceanu. Też nie potrafił mi odpowiedzieć. Opowieści o tych rejonach nie wspominały nigdy o szczegółach. Jakiś statek przypadkiem dotarł do tych ruin, i wrócił do macierzystego portu, ale jego załoga nie uznała za stosowne zbyt rozgłaszać szczegółów o swoim wyczynie. Jedynie kilka najważniejszych faktów przedostało się do pieśni roznoszonych przez bardów.

Moja ciekawość wkrótce została zaspokojona. W okularach lornetki

czarne punkciki zamieniły się we wraki statków. W sumie naliczyłem ich pięć czy sześć i większość znajdowała się w żalnym stanie. Białe sylwetki leżące na pokładzie wyjaśniły mi powód przerażenia naszej załogi.

Marynarze uwięzieni w tym rejonie umierali z głodu i pragnienia, a na pokładach zostawały szkielety. Powierzchnie wody pokrywały długie algi, co niezbyt mnie zaskoczyło, ponieważ jest to zwykle zjawisko w rejonach oceanów nawiedzanych częstymi ciszami.

Wszystko to wyglądało dość przerażająco, zwłaszcza że siła prądu wyraźnie osłabła i płynęliśmy teraz równolegle do wraków. Lekki wiaterek poruszył kośćmi na pokładach sprawiając wrażenie, że to zmarli machają do nas radośnie.

Marynarze klęczeli na dziobie i śpiewali ze spuszczoneymi głowami jakąś modlitwę wyrażając mi co jakiś czas pięściami.

Nawet Huon miał morale na zero. Rycerzom niezbyt często zdarza się uczestniczyć w tego rodzaju widowiskach.

Żeby dodać dramatyczności tej i tak już dość makabrycznej scenerii, słońce jakby uparło się świecić najgorętszymi promieniami, a na niebie trudno było znaleźć nawet najbliższy ślad chmurki. Tylko znad wody unosiła się lekka mgielka przysłaniając czasami kontury wraków przez co widok stawał się jeszcze bardziej przerażający.

Jeżeli o mnie chodzi to byłem bardziej wściekły niż przerażony. Brzeg musiał się znajdować już zupełnie blisko i byłem wściekły, że przegraliśmy tuż przed celem. Mogłem oczywiście dostać się na wyspy za pomocą moich anty - g, ale nie miałem sumienia pozostawić na pewną

śmierć załogę i Huona. Trzeba było ich jakoś wyciągnąć z tej ponurej pułapki. Anty - g przyczepiony do rufy powinien pozwolić na posuwanie się do przodu. Może niezbyt szybko, ale za to skutecznie.

Pierwszym wyraźnym efektem realizacji mojego pomysłu było oddalenie się wraków, przez co morale na pokładzie zaczęło się powoli podnosić z poziomu zera absolutnego.

Potem opuściliśmy rejon zarośnięty algami i wraz z zapadnięciem nocy powiała lekka bryza pozwalająca zwiększyć nieco szybkość.

Huon nie skomentował tego wydarzenia ani słowem tylko w milczeniu walnął mnie w plecy, a następnie przypiął się na długo do gąsiora z winem fetując całe wydarzenie. Załoga wkrótce poszła jego śladem i przez całą noc musiałem przysłuchiwać się ich krzykom.

Zresztą nawigacja na tych nieznanym wodach i tak zajmowała prawie zupełnie moją uwagę. Często musiałem posługiwać się noktowizorem, dzięki czemu zlokalizowałem brzeg na długo przed nastaniem dnia.

Z ulgą zatrzymałem swój pseudosilnik i z pomocą Huona rzuciłem kotwicę, bo marynarze byli tak pijani, że nie byli w stanie zrobić normalnie dwóch kroków, żeby się nie przewrócić.

Nad ranem byliśmy już bezpiecznie urządzeni na brzegu jednej z owych słynnych wysp z tajemniczymi ruinami. Miałem dwie możliwości do wyboru. Zabrać załogę na ląd i w pewnym momencie zniknąć im z oczu, albo od razu wysiąść tylko w towarzystwie Huona.

Wybrałem tę drugą możliwość mimo ryzyka, że nasi bohaterowie mogą uciec nie czekając na nasz powrót.

Na wszelki wypadek wrzuciłem do ich żywności kilka pastylek

hipnotycznych i wyprowadziłem na plażę nasze wierzchowce.

Po kilku minutach jazdy trafiliśmy na ujście dość dużej rzeki i na jej przeciwległym brzegu dostrzegłem w oddali coś, co można by uznać za ruiny.

Roślinność w tym rejonie nie różniła się zbyt wiele od tego, co widziałem na kontynencie. Zauważyłem kilka ziół ale nie przedstawiających wyraźnych śladów mutacji. Wykluczało to więc hipotezę wojny jądrowej. Nigdzie nie napotkaliśmy żadnego śladu działalności człowieka czy chociaż obecności zwierzęcia. Pola leżały odłogiem niezagospodarowane od wielu lat.

Dostrzegłem tylko ślady owadów i ptaków, ale nic nie wykluczało ich przylotu z kontynentu wykorzystując sprzyjające wiatry.

Wreszcie trafiliśmy na pierwszy ślad działalności człowieka. Długa i szeroka szosa z czegoś, co mogło być kiedyś cementem z dwiema metalowymi szynami biegnącymi przez środek. Roślinność oczywiście zdążyła już prawie całkowicie przykryć tę drogę wyrывая swoimi korzeniami wielkie dziury zarośnięte teraz trawą. Nie dostrzegłem żadnych wraków pojazdów. Konstruktorzy tej autostrady nie zginęli więc na miejscu i jednocześnie. Musieli zostać ostrzeżeni o zbliżającej się katastrofie.

Huon oczywiście nie domyślił się do czego to wszystko mogło służyć i spoglądał na mnie pytająco.

-

Wygląda na to, mój przyjacielu, że nasza podróż nie była daremna.

Twoje legendy mówiły prawdę. Dawno temu na tych wyspach rzeczywiście żyli ludzie. Te długie pasma białej ziemi, które widzisz były ongiś drogami, po których poruszały się pojazdy o wiele szybsze niż nasze wierzchowce. Dzięki nim ich właściciele mogli podróżować szybko z jednego miejsca w drugie. Musiała więc tu istnieć wysoko rozwinięta cywilizacja, bo na planetach Konfederacji, z której pochodzę również mamy podobne urządzenia.

-

Rozumiem - Huon potrząsnął z powagą głową. - Dawniej żyli tu więc potężni czarnoksiężnicy - jeżeli twoje wnioski są prawdziwe. Czary nie uchroniły ich jednak od śmierci.

-

To prawda. To jest zagadka - westchnąłem ciężko - Twoja cywilizacja zastąpiła ich na pewnych obszarach planety, z których usunięto starannie wszelkie ślady poprzednich mieszkańców.

Zastanawiam się jaka katastrofa mogła spowodować tak dokładne zniknięcie całej cywilizacji?

W zamyśleniu jechaliśmy wzdłuż drogi w kierunku czegoś co coraz bardziej przypominało ruiny dawniej wspaniałego miasta.

Położone ono było nad samym brzegiem morza, tak że jadąc od drugiej strony byliśmy ponad nim co pozwalało mi wciąż podziwiać piękną panoramę.

Zbudowano je w formie koła o promieniu jakichś pięciu kilometrów. W regularnych

odstępach

wznosiły

się

wysokie

wieżowce

o

różnokolorowych elewacjach. Wszystkie wyposażone były w platformy,

na których przez lornetkę mogłem dostrzec zardzewiałe resztki aparatów latających.

Udało mi się nawet zlokalizować resztki dawnej anteny nadawczej video

oraz ślady wielkich luster przeznaczonych zapewne do regulacji

mikroklimatu miasta.

Olbrzymie autostrady zbiegały się ze wszystkich stron, a obok nich

wznosiły się wielopiętrowe parkingi. Wkrótce znaleźliśmy się w pobliżu

jednego z nich.

Znajdowały się w nich tysiące pojazdów. Ich karoserie z plastyku

doskonale oparły się działaniu czasu i pogody, co pozwoliło podziwiać ich

doskonale aerodynamiczne kształty. Silniki natomiast zamieniły się w

szary pył rdzy uniemożliwiający jakąkolwiek próbę identyfikacji rodzaju

stosowanego napędu.

I znowu nie znalazłem najmniejszego choćby śladu szkieletu czy ubrania.

Mieszkańcy zniknęli nie zostawiając po sobie żadnych śladów. W pobliskiej dzielnicy willowej wrażenie nagłego kataklizmu nasilało się jeszcze bardziej. Na ziemi widać było porzucone przedmioty, pojazdy i urządzenia, jakby ludzie w obliczu nagłego alarmu gorączkowo próbowali ukryć się w schronach.

Huonowi oczy prawie wychodziły z orbit na widok tych wszystkich dziwów, o których dotąd nie miał nawet pojęcia. Ja myślałem na - głos. - Możemy wykluczyć również hipotezę nagłego potopu. Fale dokładnie wymyłyby wszystko z ulic. Załóżmy więc, że niespodziewanie podniosła się temperatura. Może doszło do katastrofy na słońcu? Może ktoś wymyślił nową broń? Wtedy stopiłby się plastik. Może nieznanne promieniowanie zabiło wszystkich? Wtedy zginęłyby również drzewa i rośliny, owady i wszystkie żywe organizmy. Tak samo jak trudno sobie wyobrazić atak gazowy czy chemiczny. Ci ludzie musieli przecież umieć wytwarzać tlen.

-

Nie rozumiem tego co mówisz - przerwał mi Huon - ale wierzę ci na słowo. Wydaje mi się jednak, że zapominasz o jeszcze jednej możliwości.

Nasi

bardowie

wspominają

często

o

epidemii,

która

ongiś

zdziesiątkowała ludzi i zwierzęta. Może właśnie coś takiego tu się wydarzyło?

-

Myślałem o tym, ale ta cywilizacja musiała być na tyle rozwinięta, że potrafiłaby z pewnością wynaleźć odpowiednie lekarstwa. Nic z tego nie rozumiem.

Tak się zastanawiając dojechaliśmy do stóp jednego z wieżowców.

Zeskoczyliśmy na ziemię i spróbowałem otworzyć przezroczyście drzwi wejściowe.

Stare zawiasy kompletnie się zatarły i musieliśmy zbić szybę mieczami, żeby wejść do środka.

I znów żadnego śladu człowieka. Nawet części szkieletu.

Otworzyłem losowo kilkoro drzwi i za jednymi z nich znalazłem coś, co musiało być ongiś w bibliotece. W środku było dość ciemno, bo w sali zamontowano zaledwie kilka małych okien. W świetle mojej latarki dostrześliśmy witryny, za którymi na półkach stały tysiące książek.

Wybrałem jedną z nich na chybił trafił. Była napisana nieznanym mi alfabetem - z czego wynikało, że nie była tworem żadnej z ras należących do naszej Konfederacji. Cała ta biblioteka musiała stanowić część jakiegoś muzeum, bo żadna z książek nie znajdowała się na stole.

W zamian za to znalazłem dużą ilość przegładarek mikrofilmów wraz z pudełkami zawierającymi zestawy kaset z filmami. Pod ścianą znalazłem także taśmy mogące być odpowiednikiem naszych taśm do nauczania hipnotycznego, ale znajdujące się obok urządzenia były tak zniszczone, że nie mogłem potwierdzić tego domysłu. Rozczarowany wróciłem do holu wejściowego.

Znajdowało się tam wiele innych drzwi, z których część musiała być wejściami do wind. Niestety, żadna z nich nie funkcjonowała.

Wyszedłem wraz z Huonem na zewnątrz i za pomocą anty - g postanowiłem dostać się wyżej, gdzie miałem nadzieję znaleźć apartamenty mieszkalne.

Jak się po trochu domyślałem już przedtem żadne z okien nie dawało się otworzyć, co by świadczyło o tym, że budynek miał własną klimatyzację.

Wylądowaliśmy więc na jednej z platform przeznaczonych dla aparatów latających.

Tym razem drzwi ustąpiły z lekkim zgrzytem i znaleźliśmy się w długim korytarzu. Ubezpieczany przez Huona, który wyciągnął na tę okazję swój miecz wybrałem losowo jedne drzwi i otworzyłem je kopniakiem. Nie były zbyt wytrzymałe ponieważ pod wpływem uderzenia wypadły całkowicie wraz z futryną i zwały się na posadzkę wzniesając tumany kurzu.

Zanim wszedłem, oświetliłem pomieszczenie dokładnie latarką i to co zobaczyłem przypawiło mnie o gęsią skórkę.

ROZDZIAŁ VIII

Przed nami leżało pięć szkieletów. Dwa były mojego wzrostu, a trzy

należały wyraźnie do dzieci. Cała rodzina zginęła w tym pokoju

jednocześnie.

Spoczywali wyciągnięci na meblach pokrytych elastycznym plastykiem, służących zapewne za łóżka. Na stolyczku obok dostrzegłem różne fiołki, które kiedyś z pewnością zawierały lekarstwa.

Rodzice trzymali się za ręce, a matka położyła dłoń na główce jednego z dzieci. Jakież wnioski można było wyciągnąć z tej ściskającej serce sceny.

Czyżby rodzice popełnili samobójstwo, zabijając przedtem dzieci? W takim wypadku jakież potworny kataklizm groził im, skoro zdobyli się na takie działanie?

A może wprost przeciwnie, właśnie próbowali się ratować lekarstwami, które okazały się nieskuteczne.

Wątpilem, że bym mógł tu odnaleźć odpowiedź na te pytania. Zrobiłem kilka zdjęć i pobrałem próbki do późniejszej analizy toksykologicznej.

Potem opuściliśmy pokój. Podobny obraz czekał nas w pozostałych pomieszczeniach tego bloku. Ci nieszczęśnicy mieli czas schronić się do domów, ale umarli prawie jednocześnie.

Nigdzie nie mogłem znaleźć żadnej poszlaki tłumaczącej to ludobójstwo.

Niektórzy z nich mieli czas zapisać jakąś wiadomość na kartach

metalicznego plastyku, ale ani Huon, ani ja nie byliśmy w stanie

odcyfrować tego alfabetu. Tymczasem właśnie w tych kartkach

spodziewałem się znaleźć wytłumaczenie tej zagadki. Wybrałem kilka z

nich z zamiarem przekazania naszym grafologom, przy założeniu

oczywiście, że sam kiedykolwiek jeszcze zobaczę naszego drogiego

Kampla. To miasto było szalenie demoralizujące. Kataklyzm jaki tu nastąpił był niewyobrażalny... a nic nie wskazywało na to, że byłem już poza zasięgiem tego ataku.

W czasie kiedy zajęty byłem filmowaniem i zbieraniem próbek, starałem się opanować narastający we mnie strach.

Zwiedziliśmy potem muzea wypełnione rzeźbami i dziełami sztuki.

Obrazy zachowały się dość dobrze i mogłem się przekonać, że ci ludzie byli pięknie zbudowani i mieli ciekawą urodę. Wiele czasu spędziłem w ich fabrykach i laboratoriach. Większość urządzeń przetrwała w złym stanie i nie udało mi się ich uruchomić. Stwierdziłem jedynie, że ta cywilizacja знаła elektryczność i okiełznała energię atomową. Wiele wskazywało na to, że ich system telekomunikacji oparty był na wiązkach laserowych. Resztki anten i kilka modeli w muzeach wskazywały na to, że mieli również satelity geostacjonarne.

To ostatnie odkrycie nasunęło mi pomysł odszukania ich kosmodromu.

Gdybym znalazł jakiś pojazd latający nadający się jeszcze do użytku, to pozwoliłoby mi to oszczędzić akumulatory moich anty - g.

Razem z Huonem, który zaczynał mieć wyraźnie dość tych ponurych oględzin, poszliśmy więc w kierunku dużego obszaru pokrytego betonem, nad którym wznosiła się wysoka wieża zachowana na oko w dość dobrym stanie.

Już na pierwszy rzut oka rozpoznałem te instalacje. Dawniej bez wątpienia startowały stąd aparaty latające.

Niestety, żaden ze znalezionych pojazdów nie nadawał się do użytku. Nie

był to jednak czas zupełnie stracony, bo z zachowanych szczątków zorientowałem się, że prymitywne statki kosmiczne w żadnym wypadku nie pozwalały ich użytkownikom na podróż nawet do najbliższej gwiazdy. Świadczyło to o tym, że nikt z mieszkańców tej nieszczęśliwej planety nie mógł uciec od swego przeznaczenia.

Wiedziałem już dosyć i postanowiłem wrócić do naszego statku i odwiedzić inne z tych martwych miast.

Nasze wierzchowce spokojnie stały obok pierwszego z budynków i powoli rozpoczęliśmy podróż powrotną starą autostradą obaj zatopieni w ponurych rozważaniach.

Kiedy dotarliśmy do zatoki, w której nad ranem rzuciliśmy kotwicę okazało się, że statek zniknął a morze było puste jak okiem sięgnąć.

- Co jest do diabła? Przecież dałem im takie ilości proszków, że powinni po nich spać co najmniej dwa dni.

-

Nie sądzisz, że czary, które poruszają tym statkiem mogły znów zacząć działać? - przypomniał mi Huon.

-

Fakt. To jedyne wytłumaczenie. Chyba że jakaś banda ludzi – delfinów dostała się na pokład i odpłynęła. Tak czy siak jesteśmy tu zablokowani, bo aparat pozwalający nam na latanie nie jest w stanie przetransportować nas do naszego pierwotnego celu.

-

Nie ma się czym przejmować - stwierdził beztrósco Huon – jestem

przekonany, że w końcu znajdziesz jakiś sposób. Na razie proponuję wrócić do umarłego miasta, żeby znaleźć jakiś kąć do spania i odpocząć trochę. Noce są chłodne, a wiatr i tak dość mi już zmroził kości.

Wróciliśmy więc spoglądając od czasu do czasu ze złością na puste morze.

Z nastaniem nocy dotarliśmy w pobliżu jednego z tych wielkich podziemnych garaży, w którym wciąż parkowało tysiące pojazdów ustawionych w równych rzędach jak do defilady.

Legowisko urządziliśmy sobie w jakimś antycznym samochodzie, który miał wystarczająco dużo miejsca dla nas dwóch. Huon zajął się kielbasą i winem, które zapobiegliwie zabrał ze statku, a ja zadowolilem się jak zwykle koncentratem ze skafandra, którego zaczynałem mieć szczerze dosyć.

Potem zgasilem latarkę i siedzieliśmy po ciemku starając się zasnąć.

Wszystkie koszmary przeżyte w ostatnich dniach zaczęły defilować mi przed oczyma i po raz pierwszy od wylądowania na tej planecie miałem ochotę użyć alarmowego nadajnika mojej kapsuły i wezwać na pomoc Pentosera. Miałem już szczerze dość robienia za głupiego, starając się rozwiązać niesamowite zagadki. Dotąd miałem wrażenie, że kontroluję sytuację dzięki licznym gadgetom mojego skafandra, ale po wizycie w tym mieście i znalezieniu dowodów świadczących o tym, że cała cywilizacja zginęła bez śladu, zaczynałem wątpić czy mam jakiegokolwiek szansę ujść cało z tej olbrzymiej planetarnej pułapki.

Nie miałem żadnego pomysłu na wydostanie się z wyspy. Moja kapsuła mogła zostać z łatwością przechwycona w drodze do mnie, a była dla

mnie jedynym sposobem powrotu do swoich.

Wreszcie zdecydowałem się zażyć pastylkę nasenną, postanowiwszy odczekać jeszcze jeden dzień z wezwaniem kapsuły i z przyznaniem się do nie wykonania zadania.

Spałem jak kamień i dopiero nad ranem obudził mnie jakiś lekki zgrzyt.

W tym pustkowiu nawet szept brzmiał jak grzmot, więc od razu zerwałem się na równe nogi trzymając w pogotowiu broń i latarkę. Huon również zerwał się jak sprężyna i wyciągnął sztylet.

Obaj byliśmy przeświadczeni, że za chwilę zaatakuje nas legion rozwścieczonych diablów.

Okazało się, że zaatakował nie tyle nas, co torbę z kielbasą Huona, tutejszy szczur. Obaj wybuchnęliśmy śmiechem, który miał tę zaletę, że pozwolił nam rozładować napięcie. Zwierzę natomiast zupełnie nie przejmowało się naszą obecnością, najwidoczniej nigdy nie miało do czynienia z ludźmi.

Jego wydłużony nos zakończony białymi wąsami dawał mu przebiegłą minę i muszę przyznać, że z zadowoleniem przywitałem wreszcie coś żywego w miejsce tych tysięcy szkieletów.

Przyglądał nam się przez dłuższą chwilę i wreszcie doszedł do wniosku, że nasze towarzystwo niezbyt mu odpowiada. Odszedł lekkim truchtem w swoją stronę.

Ciekaw byłem, skąd się tu wziął. Musiał go przywieźć jakiś statek, albo może po prostu dostał tu się z wraków na jakimś kawałku drewna.

Z ciekawością obejrzałem karoserie pojazdów, w których schował się ten

jedyny żywy przedstawiciel fauny. Były to duże maszyny przeznaczone do przewozu kilkudziesięciu osób. Miejsce ich zaparkowania wskazywało na dawną stację przesiadkową.

Za nimi, ku swemu zdziwieniu odkryłem przestronne wejście do podziemi z wieloma taśmami transporterów opadającymi spiralnie pod ziemię.

Z dołu unosiło się ciepłe powietrze i dostrzec można było lekką poświatę. Czyżbym wreszcie natrafił na jakieś działające urządzenia? Stawało się to coraz ciekawsze.

Wróciłem do Huona i powiedziałem mu o moim pomysle zwiedzenia podziemi. Nie wyglądał na zachwyconego, ale z dwojga złego wolał iść ze mną niż czekać samemu na mój powrót.

Wierzchowce posuwały się w dół po transporterach bez żadnych przeszkód. Nasz przyjaciel szczur zniknął na dobre i powróciła ponownie stara cisza.

W miarę jak schodziliśmy niżej temperatura stawała się coraz niższa i coraz częściej czuliśmy na twarzy ożywczy wiaterek. Najwyraźniej urządzenia klimatyzacyjne wciąż były sprawne. Może nawet spotkamy tych, co przeżyli katastrofę, schronieni pod osłoną tuneli?

Huon musiał myśleć o tym samym, bo nie zdejmował ręki z rękojeści miecza i przez cały czas bacznie rozglądał się dookoła starając się wychwycić najmniejszy szmer.

-

Słuchaj Aucassin. Nie boisz się, że ta kręta droga zaprowadzi nas

prosto do siedziby Korriganów? Już raz zaciągnąłeś mnie do ich legowisk, jeszcze w Ys i do dziś zastanawiam się dlaczego wypuścili nas stamtąd żywych.

-

Nie przejmuj się. Korriganowie, czy ludzie - delfiny. Zostaw ich mnie. Tym razem jednak mam nadzieję spotkać kogoś z dawnych mieszkańców tej planety, którzy przeżyli katastrofę. Te maszyny mogą działać tak długo jedynie wtedy, jeżeli ludzie kontrolują ich działanie co jakiś czas. Tutaj wszystko wygląda tak jakby nieprzerwanie pracowało. Prawdę mówiąc nie mogłem uwierzyć, że cała rasa zginęła doszczętnie i nikomu nie udało się przeżyć.

-

Mam nadzieję, że się nie mylisz. Jeżeli chodzi o mnie to wszystko co znajduje się pod ziemią należy do domeny diabła. Są to tereny Wodana, którego okrucieństwo przewyższa wielokrotnie okrucieństwo Dahut. Tak więc nie zdziwię się, jeżeli zaraz wpadniemy w jakieś tarapaty. A zresztą już stąd czuję zapach siarki.

Obawy mojego przyjaciela rozśmieszyły mnie tylko, bo w naszej Konfederacji trzy czwarte wszelkich instalacji znajduje się pod ziemią. Zresztą niczego nie czulem.

Dla spokoju sumienia włączyłem jednak analizator atmosfery i o dziwo musiałem stwierdzić, że nos rycerza nie mylił go. Z tą tylko różnicą, że nie chodziło o opary siarki a ozonu. Świadczyło to o tym, że w pobliżu pracuje

duża ilość urządzeń elektrycznych. Chyba, że dawni mieszkańcy miasta używali tego gazu jako sterylizatora bakterii i czyścili nim atmosferę.

Zdwoiliśmy więc uwagę i na wszelki wypadek otoczyłem nas obu ekranem ochronnym.

W ciągu piętnastu minut, które zabrało nam dotarcie na dno taśmociągów, nic się nie wydarzyło.

Trafiliśmy natomiast na skrzyżowanie, z którego rozchodziło się wiele poziomych transporterów. Malowidła i plakaty ścienne przywodziły mi na myśl rodzaj metra łączącego różne miasta tej wyspy ze sobą.

Wybraliśmy na chybił trafił jeden z tych korytarzy i wkrótce znaleźliśmy się na peronie, który potwierdził moje przypuszczenia.

Niestety, tylko szczury wciąż biegały po peronach między setkami szkieletów ludzi, których zaskoczyła tu śmierć.

Westchnąłem ciężko, zastanawiając się po raz nie wiem już który, kto lub co mogło być przyczyną tak potwornej zbrodni. Huon natomiast odetchnął z ulgą na ten widok, zadowolony, że nie trafiliśmy do siedziby jakiegoś potężnego czarownika. Do szkieletów przyzwyczaił się o wiele łatwiej.

-

Widzę mój towarzyszu - stwierdził ponuro - że czary, które zabiły naszych przodków musiały być bardzo potężne, skoro nawet zejście pod ziemię nie uchroniło ich od zguby. Tu również nikt się nie uratował.

-

Sam to zauważyłem - stwierdziłem sucho, co zaskoczyło rycerza. – I

jeżeli dalej chcesz mi wierzyć to zapewniam cię, że możemy skończyć jako takie same szkielety, bo zupełnie nie wiem w jaki sposób wydostać się z tej wyspy. Mam już dość łamania sobie głowy nad zagadkami, na które nie ma odpowiedzi. Gdybym mógł cię tutaj zostawić, to dawno już wróciłbym tam skąd przybyłem i nigdy więcej nie postawiłbym nogi na tej przeklętej planecie.

-

Nie szukasz już tych maszyn, o których mówiłeś?

-

Po co? Chodzi o zwykle samonaprawiające się automaty, które pewnego dnia mimo wszystko się zepsują i wtedy zamienią się w pył, tak jak inne. Chodź, wracamy na powierzchnię.

Daleki łoskot nagle przerwał mój monolog. Z początku przestraszyłem się, że to trzęsienie ziemi, ale ziemia pod naszymi stopami była nieruchoma. Dałem znak Huonowi, żeby schował się wraz ze mną za występem muru i obaj zeskoczyliśmy na ziemię.

Łoskot zamienił się w gwizd a potem pisk i wtedy ujrzałem wjeżdżający na peron zestaw wagonów, który zatrzymał się koło nas.

-

Czy to smok? - zaniepokoił się rycerz.

-

Nigdy w życiu, mój przyjacielu. To zwykły środek transportu, który przewoził dawniej mieszkańców tego miasta. A ponieważ wciąż chodzi, więc skorzystamy z niego.

-
Co? Zwariowałeś? Nigdy w życiu nie wejść w paszczę tego potwora.

-
Jak chcesz - odparłem prowadząc swojego wierzchowca za uzdę. -

Radzę ci jednak jeszcze raz rozważyć moją propozycję i to natychmiast,

bo nie będziemy mieli szybko drugiej takiej okazji wydostania się stąd.

Przerażony Huon przeżegnał się kilka razy, po czym ruszył moim śladem

do środka.

Był to jednoszynowy pociąg unoszony na powietrznej poduszce.

Aerodynamiczne

kształty,

które

nadano

wagonom

pozwalaly

przypuszczać, że całość rozwija zupełnie przyzwoite szybkości.

Oczywiście zdawałem sobie sprawę z ryzyka, jakie podejmowaliśmy.

Pociąg mógł się zepsuć w środku któregoś z tuneli. Mógł trafić na

zasypany odcinek i rozbić się. Było mi wszystko jedno. Miałem tak bardzo

dość tych martwych ruin i niemożliwości dopasowania do nich

jakiegokolwiek hipotezy, że gotów byłem na wszystko.

Nasze wierzchowce ustawiliśmy w przejściu między rzędami a sami

zajęliśmy miejsca w wygodnych fotelach. Byliśmy jedynymi pasażerami

tego pociągu, który działa jeszcze wyłącznie dzięki automatyce.

Huon rozglądał się nieufnie wokół i wyciągnął nawet swój miecz w chwili kiedy głośniki odezwały się podając jakiś komunikat w nieznanym języku.

Kilka sekund potem drzwi zamknęły się z leciutkim świstem i powoli zaczynaliśmy nabierać szybkości w drodze do naszego przeznaczenia.

Teraz pozostało tylko modlić się, żeby podróż nie była zbyt długa, bo zapasy żywności Huona nie wyglądały już zbyt obficie.

Kiedy tak przyglądałem się światłu odbitemu w szybach naszego wagonu doszedłem do wniosku, że od czasu lądowania na tej planecie jedna rzecz uległa zupełnej zmianie. Na początku, zaraz po wylądowaniu, byłem zwykłym astronautą poznającym nową planetę. Spotkanie Obrona i Dahut pokazało mi, że oboje mogą stanowić zagrożenie dla naszej Konfederacji. Teraz, kiedy przekonałem się, że popełniono tutaj zbrodnię ludobójstwa, stałem się inspektorem przeprowadzającym śledztwo w celu odkrycia i w miarę możliwości ukarania zbrodniarza odpowiedzialnego za śmierć tej cywilizacji. To zadanie lekko mnie przerażało. Nie byłem do niego przygotowany. Poza tym zyskałem dodatkowy motyw, żeby tu zostać i dalej kontynuować swoją misję. Czułem się odpowiedzialny wobec

współbraci

Huona.

Tylko

my

dwaj

wiedzieliśmy

o

niebezpieczeństwie, które im mogło w każdej chwili ponownie zagrozić.

Nie miałem sumienia pozostawić ich przeznaczeniu.

Wtedy właśnie zapytałem Huona o jego wiek. Sarn nie wiem skąd mi to pytanie przyszło do głowy.

-

Piętnaście lat. A bo co?

-

Piętnaście lat! Nieprawdopodobne. Sądząc po czasie trwania doby na tej planecie ludzie powinni tutaj żyć około stu lat a androidy do pięciuset.

-

Jakie to może mieć znaczenie?

-

To jest dowód na to, że długość waszego życia została świadomie skrócona. O ilu pokoleniach mówią wasze najstarsze kroniki?

-

Jakichś dziesięciu...

-

Czyli wasza cywilizacja istnieje zaledwie dwa wieki. Znowu zagadka.

Dlaczego tak skrócono czas trwania waszego życia? Czy wiecie coś o innych ludach zamieszkujących wasze kontynenty?

-

**Nie... Nie licząc legend o wyspach nigdy nie słyszałem o żadnych
innych istotach.**

-

**Dziwne. A przecież ta planeta nie stała pusta przez dwa wieki. A ta
trójka, która wami rządzi... jak długo oni żyją?**

-

No wiesz! Ich czary dały im nieśmiertelność.

-

**To ciekawe. Mam chyba wreszcie dowód na to, że Oberon, Wodan i
Dahut należą do innej rasy. Zaczynam wreszcie coś niecoś rozumieć.
Stworzyli was, żeby zaludnić pustą planetę, ale nie zależy im na tym,
żebyście żyli zbyt długo. Do czego możecie im być potrzebni? Znów
zagadka.**

-

**Sądzisz, że potrzebują nas do czegoś? Tak naprawdę to prawie
wcale nie wtrącają się w nasze sprawy.**

-

Ale doskonale wiedzą, co się u was dzieje?

-

**Oczywiście. Czasami Oberon wysyła wiadomość do cesarza
polecając mu rozpocząć wojnę z niewiernymi...**

-

A w czasie walki jest dużo zabitych?

-

Oczywiście.

-

Mało elegancki sposób pozbycia się nadmiaru ludności. Nie chcą żebyście się stali zbyt liczni. Znowu coś niezrozumiałego. Wasze kontynenty mogłyby pomieścić dziesięć razy tyle ludności. Nawet więcej przy odpowiedniej wiedzy i środkach techniki.

Znowu straciłem nadzieję dowiedzenia się czegoś konkretnego. Pociąg kilkakrotnie zatrzymywał się na pustych stacjach innych miast, ale postanowiłem dojechać nim aż do końca. Może tam znajdzie się jakiś statek którym odpłyniemy na kontynent.

Po trzech kolejnych przystankach pociąg zanurzył się pełną szybkością w tunelu i nic nie wskazywało na to, żeby w pobliżu była jakakolwiek stacja.

Oczywiście dalej nie miałem pojęcia dokąd jedziemy.

Zwiedziłem cały skład nie napotykając nawet szczura. Wróciłem więc do naszego wagonu i razem z Huonem zjedliśmy trochę, obaj zrezygnowani.

Żeby jakoś zabić czas zająłem się badaniem mojego przyjaciela. Bez trudu odkryłem przyczyny jego krótkiego życia. Te androidy miały tylko jedną nerkę. Ich organizmy z dużym trudem eliminowały odpadki a poziom mocznika w jego ciele zbliżał się niebezpiecznie do krytycznego.

Usunięcie tego nie było zbyt skomplikowane. Wystarczyło przeszczepić drugą nerkę albo okresowo czyścić krew. Na razie dałem mu pudełko katalizatorów chemicznych, które same w sobie powinny podwoić czas jego życia. Wystarczyło zażywać je doustnie co jakiś czas. Wyjaśniłem mu działanie tego leku i rycerz zaczerwienił się lekko, dziękując mi. Potem

zapytał z niepokojem czy wolno mu będzie dzielić się tą magiczną

pastylką z jego żoną, na co oczywiście musiałem się zgodzić.

Ponieważ nasz pojazd nie sprawiał wrażenia, że zamierza się w

najbliższym czasie gdziekolwiek zatrzymać więc ułożyliśmy się wygodnie

na fotelach do snu. Tym razem podróż zapowiadała się na dość długo.

Usnąłem szybko, ale śniły mi się makabryczne sny. Dotarłem do Nicolette

i na białym koniu wiozłem ją do swojej kapsuły. W miarę jednak jak

jechaliśmy twarz mojej ukochanej pokrywała się zmarszczkami i

przeklinałem sam siebie za to, że dałem Huonowi wszystkie swoje

lekarstwa. Wtedy pojawiła się Dahut z twarzą wykrzywioną okrutnym

grymasem. Obiecywała przywrócić Nicolette wieczną młodość pod

warunkiem, że porzucę ją na pastwę losu i przybędę do pałacu Dahut,

żeby tam żyć do końca życia. Ponieważ odmówiłem, z nieba spadła na nas

ogromna chmura oślepiając mnie zupełnie. Potem odnalazłem się na

ulicach cudownego miasta lecącego nad ziemią - było to miasto Oberona.

Wchodziłem do jakiegoś pałacu i kładłem swoją ukochaną na

brokatowym łożu. Trzymałem ją za rękę i przyglądałem się jak jej włosy

stają się coraz bielsze. Łamiącym głosem szeptała mi czule słówka

przysięgając wieczną miłość nawet po śmierci... Potem umierała w moich

ramionach.

Wtedy pojawił się Oberon w swojej wspaniałej młodości i trzymając się za

boki śmiał się ze mnie. Idź do Wodana - mówił. Tam teraz ją znajdziesz i

tylko on może jej zwrócić życie. Tylko strzeż się go, bo nigdy niczego nie

dał, nie biorąc czegoś w zamian. Będziesz musiał mu służyć aż do własnej

śmierci i nigdy przez ten czas nie ujrzysz pięknej Nicolette. Wierz mi -
powtarzał - lepiej by było gdybyś przyjął propozycję Dahut.

Obudziłem się spocony i oszołomiony tymi wizjami. Dostrzegłem obok
mnie Huona, który potrząsał mnie za ramię i krzyczał nerwowo.

- Aucassin, wstawaj, zatrzymaliśmy się. Trzeba wykorzystać to i
wydostać się z tego zaczarowanego pojazdu. Drzwi już są otwarte. Boję
się tylko, że dostaliśmy się na teren Wodana Wściekłego, pana śmierci i
podziemi. Niech nas Bóg ma w swojej opiece.

Od razu zerwałem się na nogi i wyjrzałem na zewnątrz. Faktycznie
wyglądało na to, że dotarliśmy do terminalu.

Stacja była podobna do poprzednich, ale freski na jej murach były
rzęsiście oświetlone. Widniały na nich radosne pejzaże przedstawiające
to, czym była ta planeta przed katastrofą. Dalej nie miałem pojęcia gdzie
się znajdowaliśmy.

Wyszliśmy na peron prowadząc za uzdę nasze wierne wierzchowce i
zająłem się wskazaniem moich przyrządów. Dowiedziałem się że
przebyliśmy około pięciuset kilometrów i skutkiem tego powinniśmy być
gdzieś na kontynencie dość daleko od punktu, w którym leżało miasto Ys.

Według słów Huona znajdowaliśmy się w pobliżu wysokiego pasma
górskiego, pod którym, według legend, znajdowała się siedziba Wodana.

Potem zająłem się szukaniem wyjścia na powierzchnię mocno
przekonany o konieczności wezwania na pomoc kapsuły. Jej uzbrojenie
nie było zbyt silne, ale przecież dawała mi większe możliwości niż moje
zminiaturyzowane wyposażenie. Poza tym doszedłem do przekonania, że

najwyższy czas odstąpić trochę przygód mojemu wiernemu Pentoserowi.

**Na nieszczęście z dziesięciu transporterów obsługujących tę stację
dziewięć było całkowicie zasypanych skalami już kilka metrów od peronu.**

**Z braku innych możliwości musieliśmy więc wybrać ten jeden działający,
który niestety prowadził w dół zamiast w górę.**

**Kolejny raz od początku naszej znajomości Huon stał szalenie niechętny
dalszej drodze.**

-

**Toż to czyste szaleństwo iść tak spokojnie w paszczę wilka -
protestował. - Zjeżdżamy prosto do siedziby Wodana - najpotężniejszego
czarownika na ziemi. Podziwiam twoją moc, która sprawdziła się nie raz,
ale tym razem porywasz się na zbyt potężnego przeciwnika. Wodan i jego
śludzy ukarzą twoją śmiałość i nigdy już nie zobaczysz swojej odległej
ojczyzny. Ci przekłeci zdobędą twoją duszę i uczynią z ciebie swojego
niewolnika.**

**- Popatrz! Zaczynasz sobie przypominać teraz mnóstwo szczegółów na
temat tego Wodana. Myślę, że i dla ciebie będzie lepiej, jeżeli powiesz mi
wszystko co wiesz. Będę mógł sobie przynajmniej wyrobić jakieś zdanie
na jego temat.**

-

**A tak! - krzyknął rycerz. - Nasze legendy mówią również i o tej
okrutnej istocie. Staralam się to przed tobą ukryć, bo twoja przeklęta
ciekawość prowadzi cię w najbardziej niesamowite miejsca, a ja ciężki
idiota idę za tobą jak cień, trzęsąc się ze strachu na każdym kroku. Ale**

jeżeli chcesz, to bardzo proszę. Nasze pieśni mówią, że Wodan rządzi duszami zmarłych. Dusza po śmierci opuszcza ciało i wędruje tutaj, do tej góry.

Wodan dysponuje nią według własnego uznania. Bohaterowie zabici w czasie walki są zabierani przez Walkirie do Walhalli. Są to istoty latające jak ptaki, a jednocześnie są najbardziej wiernymi sługami Wodana.

Wojownicy, których zabiorą nie mają się źle. Ich nowe życie jest pasmem wiecznego szczęścia. Piją nektar z czaszek swoich wrogów i uczestniczą w przyjęciach siedząc obok Wodana i jego Walkirii. Ale ten czarodziej nie zajmuje się tylko bankietami. Wraz ze swoimi wiernymi duszami zajmuje się wynajdywaniem coraz to nowych zaklęć, które powiększają, jego potęgę. W czasie, . kiedy wybrańcy nurzają się w rozkoszach, dusze przeklętych muszą wiecznie cierpieć. Wiedz również, że dojścia do królestwa zmarłych broni rzeka Gjoll i że ci, którzy ją przepłyną zapominają na zawsze swoją przeszłość.

Wysłuchałem uważnie Huona, którego strach wydawał się potęgować w miarę opowiadania. Ta legenda była interesująca z wielu przyczyn. Po

pierwsze

wskazywała

na

istnienie

tradycji

wojennej

głęboko

zakorzenionej w myślach ludzi. Świadczyła również o zupełnie innej mentalności niż mentalność Oberona i Dahut. Mogło to znaczyć, że członkowie tego trio mieli własne poglądy na wiele spraw, różne od siebie i że pochodzili z tego samego miejsca.

- Dziękuję za twoje informacje - powiedziałem. - Są bardzo cenne, zwłaszcza odnośnie tej tajemniczej rzeki. Rozumiem twój niepokój. Ja też uważam, że lepiej mieć do czynienia z Oberonem czy nawet z Dahut niż z Wodanem. Tylko, że nie mamy wyboru mój przyjacielu. Wszystkie wyjścia są zablokowane. Pojazd, który nas tu dowiózł z pewnością nie wyruszy teraz w powrotną drogę. Dam ci jednak potężny talizman. Ta siatka, którą musisz włożyć na głowę, uchroni cię przed zapomnieniem po przekroczeniu rzeki zapomnienia. Powiem ci potem, co dalej.

Wodan i jego słudzy nie robią na mnie wrażenia. Jeżeli zechcą zastosować swoje czary, to jestem na to przygotowany.

Z tymi słowami, które nawet mnie niezbyt przekonały, skierowałem swojego wierzchowca w stronę jedyne go nie zasypanego tunelu.

ROZDZIAŁ IX

Huon wahał się przez chwilę, ale wreszcie zdecydował się jechać moim śladem. Tunel wyglądał tak samo jak poprzednie. Fosforyzujące ściany, jasno oświetlone reklamy nie sprawiały na mnie ponurego wrażenia, jakie można by mieć słuchając opowieści Huona. Po raz drugi zastanawiałem się co mogło sprawić, że Wodan postanowił udekorować swoje wejście takim pomieszaniem legend i nowoczesnej techniki. Jak zdążyłem się już zorientować Dahut przywiązywała wielką wagę do

rozkoszy i przyjemności. Oberon uwielbiał chodzić po lasach podziwiając piękno przyrody. Wodan natomiast sprawiał wrażenie technika w tej trójce. Tymczasem to właśnie on nadał swojej siedzibie najbardziej fantastyczne kształty zapelniając ją istotami z legend.

Jechaliśmy bez przerwy około pół godziny i wreszcie za którymś zakrętem dekoracja zupełnie się zmieniła. Znaleźliśmy się w olbrzymiej grocie.

Tuz przy wejściu płynęła szybka rzeka, a mgły unoszące się sponad jej wody nie pozwalały dostrzec drugiego brzegu.

- Gjoll. Rzeka zapomnienia - krzyknął przerażony Huon - Aucassin, zaklinam cię. Zastanów się raz jeszcze czy chcesz tam iść.

-

Cóż to mój szlachetny przyjacielu - zażartowałem - czyżbyś stracił zaufanie w moją moc? Zapomniałeś o talizmanie, który nosisz pod hełmem? Uchroni cię on z pewnością od zgubnych skutków przekroczenia tej rzeki. Potem obiecuję ci zająć się gospodarzem tego miejsca i jego sługami, którzy są o wiele łagodniejsi niż na to wyglądają.

-

To Królestwo Cieni. Czy nie rozumiesz tego? Nikt nigdy stąd nie wyszedł. Tu mieszkają tylko duchy.

-

Nie chciałbym cię rozczarować, ale możliwości, które przypisujesz temu, którego nazywasz Wodanem wydają się nieco przesadzone.

Zapewniam cię, że po śmierci jesteście zupełnie uwolnieni od tej trójki,

która zapełnia wami tę planetę. Walkirie i duchy nie są niczym innym jak androidami jak ty, lub robotami odrobinę bardziej skomplikowanymi.

Wszystko co przypisujesz czarom jest w rzeczywistości owocem nauki i to niewiele bardziej rozwiniętej niż nasza. Wkrótce będziesz mógł wrócić do swojego Bordeaux i uściskać swoją piękną Esclarmondę. Daję ci na to słowo.

Huon nic nie powiedział na to wystąpienie, ale nie wyglądał na specjalnie uspokojonego.

Wykorzystałem tę chwilę, żeby zorientować się w głębokości wody przed nami. Wyglądało na to, że można ją przebyć w bród.

Mój wierzchowiec zanurzył się w nią bez najmniejszego oporu. Prąd był dość silny, ale nie na tyle, żeby sprawić prawdziwy kłopot.

-

I na co czekasz? - krzyknąłem obracając się w siodle. Widzisz przecież, że jestem cały i zdrowy. Ruszaj za mną. Nie masz się czego obawiać.

Rycerz kręcił głową niezdecydowany, ale wreszcie jego duma wzięła górę nad strachem i ostrożnie wjechał w nurt rzeki.

Czekając na niego zmierzyłem pole psi emanujące z tego miejsca. Było ono na tyle silne, żeby pomieszać zmysły androida, ale zupełnie nie mogło zagrozić normalnemu człowiekowi. Potem włączyłem radar i ze zdumieniem stwierdziłem, że grotę ma kilkadziesiąt kilometrów długości i ponad trzysta metrów wysokości. Miejsca było więc wystarczająco dużo, żeby schować tu przed niepowołanymi dowolną ilość urządzeń.

Mgła była teraz lekko podświetlona i jej szafirowe światło nadawało naszym postaciom upiorny wygląd. Dekoracja wciąż więc była raczej infantylna.

Huon wreszcie dojechał do mnie i wydawał się szalenie zdziwiony faktem, że nic mu się nie stało.

- Muszę cię przeprosić, mój panie - stwierdził wreszcie. - Jestem tylko ciemnym nieukiem. Wybacz, że zwątpilem w ciebie. Teraz jestem gotów iść za tobą nawet do piekła.

Powiedział to śmiejąc się głośno. Uznał widocznie swoje porównanie za świetny dowcip, ale zaraz kontynuował poważnym tonem.

-

Więc jakie masz plany?

-

Rozejrzemy się dokoła i spróbujemy poznać miłych towarzyszy

Wodana. Jestem pewien, że bardzo ci się spodobają.

-

Mój Boże! - mruknął do siebie Huon - gdyby mi ktoś powiedział, że któregoś dnia spotkam się oko w oko z Waikiriami, to nazwałbym go największym z żyjących kłamców. Przy tobie nic nie jest niemożliwe.

Jechaliśmy jeszcze ze sto metrów, kiedy nagle mgła całkowicie się rozwiała i ujrzeliśmy grootę w całej okazałości.

Przed nami rozciągała się rozległa równina zapełniona kryształami tak ciętymi, że odbijały światło na tysiące różnych sposobów. Pomiedzy nimi zabawiali się miejscami rycerze nie zwracając na nas najmniejszej uwagi.

Nad nimi unosiły się delikatne istoty strojne w labędzie pióra i śpiewały
pięknymi głosami zapewne hymny pochwalne na ich cześć.

Jeszcze dalej za nimi wznosiła się gigantyczna konstrukcja - pałac,
którego dach pokryty złotem przyćmiewał swym blaskiem nawet
rozbłyski kryształów. W jego środku rosło olbrzymie drzewo, którego
gałęzie ginęły w chmurach pokrywających sufit tej groty.

-

Walhalla - oznajmił mi szeptem Huon. - Cóż za piękno. Nie do
wytrzymania dla moich śmiertelnych oczu. Ach!, gdyby moja słodka
Esclarmonda mogła zobaczyć te wspaniałości.

-

Zupełnie niezła konstrukcja - przyznałem - Trochę przestarzała.

Zapewniam cię, że w naszej Konfederacji mamy jeszcze piękniejsze
budowle. Może któregoś dnia będę cię mógł zabrać do Kalapolu.

Zobaczysz Galax i dopiero wtedy zrozumiesz co to jest prawdziwe piękno.

Szczerze mówiąc mam wrażenie, że pan tych budowli ma nieco
wypaczony gust.

Huon spojrział na mnie zgorzony, ale nie pisnął ani słówka, tylko
posłusznie jechał za mną w stronę pałacu.

Musiałem przyznać, że kolekcja kryształów zebrana tutaj przez Wodana
wywołałaby zazdrość wielu mineralogów. Dalsze podziwianie tych
wspaniałości uniemożliwił mi gospodarz, który przygotował na naszą
cześć niewielką uroczystość powitalną.

Zaczęto się od huraganowego wiatru, w który wkrótce wmieszały się głosy

ryczące nam w uszy ostrzeżenia, żebyśmy natychmiast zawracali, jeżeli nie chcemy wpaść w szpony potworów czekających na nas.

Osobiście nie zwracałem na to uwagi, ale musiałem energicznie klepnąć w plecy rycerza, który był szalenie zaniepokojony tym ostrzeżeniem.

Prawdą jest, że te przemile głosy zapowiadały nam tysiące wyrafinowanych tortur od palenia na wolnym ogniu począwszy aż po doprowadzenie naszych ciał specjalnym preparatem, który doprowadzał do wściekłego głodu rozszalałe wilki.

W tym miłym acz niewidzialnym towarzystwie dotarliśmy do głębokiej dolinki, w której zostaliśmy otoczeni przez legion mglistych zjaw tańczących wokół nas jakiś rytualny taniec i rzucających coraz to straszniejsze klątwy.

- To Elfy, koniec z nami - oznajmił Huon.

Tym razem skłonny byłem się z nim zgodzić. Istoty te rzucały regularne błyski mogące po dłuższej chwili wprowadzić atakowanego w stan głębokiej hipnozy. Musiałem skorzystać z całej swojej woli i treningu, żeby dać sobie z tym radę i dużo nie brakowało, żebym uległ. Huon natomiast nie miał żadnych szans. Stał z otwartymi ustami, sztywny jak kamień.

Mocnym ciosem z anty - g unieruchomiłem te miłe stwory i ciągnąc jego wierzchowca za uzdę wydostaliśmy się obaj ponownie na równinę.

Tam trafiliśmy na niewielką jaskinię bronioną przez błędne ogniki.

Wydobywały się z niej potworne krzyki i wołania o pomoc. Zajrzałem do

środką i dostrzegłem niewyraźne sylwetki biedaków skręcających się w płomieniach. Nie mogłem, niestety, niczego dla nich zrobić.

Potem już jechaliśmy po płaskim terenie coraz bardziej zbliżając się do pałacu. Mój towarzysz nadal znajdował się w głębokim letargu i niczego nie dostrzegał ani nie słyszał.

Wtedy zaatakowała nas zgraja wilków o ludzkich twarzach. Nasze wierzchowce przestraszyły się i zaczęły gwałtownie uskakiwać na boki tak, że ledwo zdążyłem wyciągnąć dezintegrator. Broń ta spisywała się doskonale i każde z trafionych zwierząt rozplywało się w powietrzu w oparach dymu, co bardzo szybko zmusiło naszych napastników do opamiętania się, a wreszcie do dania nam spokoju. Zniknęli równie szybko jak się pojawili.

Brama pałacu stała otworem jakby zapraszając nas do wnętrza. Wody rzeki Gjoll wykorzystano do otoczenia pałacu fosą. Obok bramy stały dwa okropne monstra: wilk i orzeł.

Ponad nimi w chmurach szybowwały białe Walkirie wydające się czekać na naszą śmierć, by zaciągnąć dwie nowe dusze do pałacowej sali tortur.

Nie bardzo się obawiałem ataku otoczony ekranem ochronnym, ale ta diabelsko - kiczowata sceneria przyprawiała mnie jednak o dreszcze.

Kątem oka dostrzegłem, że mój towarzysz wyrwał się wreszcie z letargu i na widok dwóch cerberów wyciągnął swój miecz.

Wilk i orzeł zaatakowali nas jednocześnie. Nacisnąłem spust, ale usłyszałem jedynie ledwo słyszalny trzask. Zapomniałem zmienić magazynek, a teraz było już na to za późno. Miałem akurat tyle czasu,

żeby za przykładem mojego towarzysza wyjąć miecz i przygotować się do sparowania pierwszego ciosu. Oba potwory przebiły się bez trudu przez ekran ochronny. Najwidoczniej umiały zneutralizować go ładunkiem ujemnym. Potem zaczęły zataczać wokół nas coraz ciaśniejsze kręgi. W tej minucie błogosławiłem swoich instruktorów z Kalapolu, którzy starali się mnie nauczyć walki na różne bronie. Zęby wilka wyglądały bowiem jak sztylety, a dziób orła na twardszy od stali.

Wilk rozpoczął atak od wierzchowca, starając się go spłoszyć. Musiałem więc schować miecz i sięgnąłem po krótką pikę przytroczoną do siodła. Rozpoczęła się właściwa walka. Dzięki niezbadanym wyrokom boskim mój wierzchowiec zachowywał się jak prawdziwy wojownik, jakby rozumiejąc, że jego los jest bezwzględnie związany z losem jeźdźca.

Jego błyskawiczne obroty umożliwiały mi stawianie czoła przeciwnikowi. Czasami nawet udawał, że sam atakuje wilka kopytami. Wilk również odznaczał się niesamowitą wprost zręcznością. Kilka razy wydawało się, że moja lanca musi go już dosięgnąć, ale zawsze w ostatnim momencie potrafił zręcznie uskoczyć w bok. Mimo wszystko udawało mi się trzymać go na dystans. Stracił również ochotę do gryzienia mojego wierzchowca po nogach. Huon również walczył jak w transie. Straszliwe młynki, które wywijał swoim mieczem zmuszały orła do uskakiwania w ostatniej chwili do góry i za każdym razem kosztowały go kilka nowych piór.

Wynik walki pozostawał wciąż niepewny. Nasi przeciwnicy wydawali się niezmordowani, podczas gdy mój wierzchowiec stracił swoją początkową zwinność i nie odpowiadał już tak szybko na moje rozkazy.

W oddali naszej walce przyglądały się Walkirie, którym ten spektakl musiał się bardzo podobać. Nieprzerwanie zachęcały naszych przeciwników do walki.

Należało coś zrobić i to natychmiast, ponieważ z każdą chwilą nasze szanse stawały się coraz mniejsze. Postanowiłem więc zaryzykować.

Spiąłem swojego wierzchowca ostrogami i zmusiłem go do szaleńczego galopu.

Wilk, zdziwiony moim manewrem nie zaczął mnie gonić od razu, co dało mi odrobinę czasu na wyciągnięcie generatora grawitacji. Miałem nadzieję, że uda mi się powtórzyć ten sam numer, który zrobiłem Olbrzymowi.

Robiąc ciasne koło zawróciłem i skierowałem na mojego przeciwnika pole stu g. To była moja ostatnia nadzieja i wilk dał się złapać na tę sztuczkę.

Sparaliżowany stukrotnym przeciążeniem nie miał już siły uskoczyć przed moją lancą, która wbiła mu się w czaszkę, rozpoławiając ją na dwie części, z których poczęły się wysypywać zespoły elektroniczne.

Nie spodziewałem się zresztą niczego innego. Nie dane mi było przyglądać się tym szczątkom, bo Huon najwyraźniej potrzebował mojej pomocy. Nie zwlekając wycelowałem w orla tak samo silny strumień promieniowania grawitacyjnego, który zwałił go na ziemię.

Huon wykorzystał to, żeby uskoczyć na bok, co pozwoliło mi jeszcze raz wykorzystać moją lancę. Tym razem wywołałem silne iskry elektryczne.

Po kilku podrygach ten fantastyczny ptak legł bez ruchu nie tracąc prawie

niczego ze swojego groźnego wyglądu. Przez cały czas miałem wrażenie, że w każdej chwili gotów jest zerwać się do ponownego lotu.

Walkirie rozpoczęły pienia żałobne sławiąc czyny bojowe dwóch najwierniejszych strażników Wodana, ale wolały to robić z dość dużej odległości.

Huon natomiast podjechał do mnie i zaczął mnie ścisnąć gorąco, wykrzykując:

-

Chyba gdzieś jest zapisane, że na wieki pozostanę twoim dłużnikiem. Zaczynałeś się co prawda trochę spóźniać ze swoimi czarami i przez chwilę myślałem już, że Wodan być może unieszkodliwił je... Boże! Co za walka! Cały czas mam wrażenie, że ręce mi odpadły od tych nieustannych młynków.

- Przepraszam cię przyjacielu. Jedna z moich broni zawiodła mnie w ostatniej chwili, a atak tych potworów był tak gwałtowny, że nie miałem czasu wyjąć innego talizmanu. Złapałem to, co miałam pod ręką, nie zastanawiając się nawet co to jest.

- Co nie zmienia faktu, że twój wyczyn będzie opiewany w pieśniach wszystkich bardów. Dokonałeś nie lada sztuki zabijając strażników Wodana. Nikt na całym świecie nigdy nie dokonał czegoś, co można by porównać z twoim wyczynem. I twoja sława spadnie po trosze również na moją skromną osobę. Zastanawiam się nawet czy ktokolwiek mi uwierzy w tę opowieść.

-

Skończmy tę dyskusję. Droga wolna więc wejźmy do pałacu. Założę się, że w środku czekają cię kolejne niezapomniane wspomnienia.

Nikt nie starał się nam przeszkodzić w przekroczeniu bramy pałacowej.

Wodan najwyraźniej zaczął oszczędzać swoje roboty.

Tarcze i lance zdobiły ściany hallu wyłożonego plastykiem. Mnóstwo wejść prowadziło do kolejnych pomieszczeń tego gmaszyska.

Dostrzegłem także setki karłów obsługujących nieznane mi maszyny. Nie zwracali na nas najmniejszej uwagi, więc i ja nie próbowałem ich atakować. Miałem zamiar spotkać się z ich panem, a nie wdawać się w niepotrzebne rzezie.

Długi korytarz ozdobiony trofeami łowieckimi doprowadził nas do głównej sali na tym poziomie. Drzewo, którego gałęzie dostrześliśmy z zewnątrz, wznosiło się po środku sali. Ogromny kocioł pełen wrzątku gotował się na drewnianym palenisku opodal tronu ze złota, na którym nikt nie zasiadał.

Postanowiłem wspiąć się na drzewo, w którego konarach dostrzegłem wiele jasno oświetlonych platform.

Pień otaczały wznoszące się spiralnie schody. Nasze wierzchowce mogłyby bez trudu po nich wjechać, ale woląłem iść na piechotę. W czasie tej wspinaczki kilkakrotnie ocierały się o nas Walkirie, ale ponieważ nie sprawiały wrażenia wrogich więc pozostawiłem je w spokoju. Podobały mi się nawet ich psalmodiowane pieśni. Zaraz jednak musiałem znów wrócić do rzeczywistości, bo co jakiś czas spadały na nas podobne do węży liany starając się nas skrępować.

Promień lasera załatwił szybko tę kwestię. Liany zostawiły nas w spokoju.

Na pierwszej platformie oczekiwał nas karzeł. Zamiast przywitania wskazał nam ręką białe czaszki leżące na posadzce, dając do zrozumienia co nas czeka wyżej. Żeby wyjaśnić mu swój stosunek do tej scenerii kopnąłem kilka najbliższych czaszek poza platformę.

Doszliśmy w miłym milczeniu do drugiego tronu, wokół którego unosił się rój Walkirii.

Tutaj właśnie, w całym swoim majestacie siedział Wodan, bóg podziemi, śmierci i wojny, prawdziwy władca tej planety.

Jego złota zbroja, hełm ozdobiony skrzydłami, pięknie cyzelowane miecze wykładane drogimi kamieniami nadawały mu bojowy wygląd.

Niewiele mi to powiedziało. Podobny był do tubylców, których już spotkałem, a jego rysy nie były pozbawione pewnej dostojności. Był wyższy niż przeciętni mieszkańcy tej planety, ale nie tak wielki jak Olbrzym. Wyglądał natomiast na szalenie niebezpiecznego przeciwnika przyzwyczajonego do najbrudniejszych chwytów i wszystkich sposobów walki.

W jego arsenale nie dostrzegłem żadnej nowoczesnej broni, co wcale nie oznaczało, że takowej nie posiadał.

On również oglądał mnie od stóp do głów. Czulem, jak próbował wnikać w moje myśli. Na szczęście moja odporność i tym razem dała sobie radę.

Ja zresztą również starałem się czytać w jego myślach, ale z równie zerowym skutkiem.

Po tym pierwszym kontakcie Wodan skrzywił się z rozczarowaniem i

odezwał się gromkim głosem.

-

A więc to ty każesz się nazywać Aucassin z Sernes. Od dłuższego czasu szwendasz się po mojej ziemi wsadzając nos w nie swoje sprawy. Spotkałeś się już z Dahut i z Oberonem, którzy ostrzegli mnie, że chowasz w zanadrzu niejedną niespodziankę, I muszę przyznać, że wyszedłeś z honorem z kilku prób. To oznacza, że jesteś obcy na tej planecie. Powiedz więc szczerze skąd przybywasz i jakie masz zamiary. Twoja odwaga i upór pozwoliły ci dotrzeć aż do mojej boskiej osoby. Uważam więc za słusne udzielenie ci głosu na kilka minut.

Osiągnąłem wreszcie swój cel i powinienem być zadowolony z siebie, a jednak nie czułem tego. Ta lekceważąca postawa nie wróżyła niczego dobrego. Nie mogłem zapomnieć, że kiedyś popełniono tu straszliwą zbrodnię i że ten dumny władca może być za nią odpowiedzialny.

-

Prawdę mówiąc, jeżeli rozmawiam teraz z tobą to zawdzięczam to własnemu sprytowi i uniknięciu licznych zasadzek, które zastawiłeś na mojej drodze.

Jestem ambasadorem potężnej konfederacji gwiazdnej, której siedziba znajduje się w Kalapolu. Moi szefowie wysłali liczne sondy w celu nawiązania kontaktu z mieszkańcami tej planety, ale za każdym razem ekranowano skutecznie ich aparaty. Przedemną byli tu inni, którzy próbowali zebrać jakieś informacje na wasz temat, ale za każdym razem wracali z niczym. Prezydent naszej Konfederacji, Kampl, nie lubi kiedy

ktoś pojawia się niespodziewanie na jego terenie i za wszelką cenę stara się ukryć ten fakt. Zanim powiem ci więcej o sobie chciałbym w pierwszej kolejności uzyskać kilka informacji. Rządzisz jako władca absolutny nad androidami, które nie mają o niczym zielonego pojęcia. To jest twoja sprawa. Ale odkryłem ślady cywilizacji, zamieszkującej niegdyś tę planetę. Zginęła ona w niespodziewany i okrutny sposób nie mając nawet cienia szansy na obronę. To są rzeczy, których nasza Konfederacja nie może tolerować. Czy Władca Zmarłych mógłby udzielić mi wyjaśnień na ten temat?

Niewiele mogłem wyczytać z jego twarzy. Huon zaś przyglądał mi się z przerażeniem, zaskoczony moją hardością wobec władcy wszystkiego. Wodan natomiast skrzywił się tylko i odburknął.

-

Poznaję w twoich słowach dumę i zarozumiałość ludzką. Więc, jak to, larwo? Mam cię w swojej mocy i w każdej chwili mogę zamienić w popiół, a ty śmiesz jeszcze zadawać mi pytania? Co za próżność. Daję słowo, że to widowisko godne jest oglądania przez moich współników. Po tych słowach na platformie pojawiły się dwa nowe trony, a na nich Dahut z Oberonem.

-

Słyszeliście słowa tego wyrzutka? Jeszcze trochę, a oskarży nas o zamordowanie ludzi zamieszkujących dawniej tę planetę.

-

Miałam już z nim trochę kłopotów - odrzekła księżniczka. -

Obawiam się, że należy do typów, które trudno przestraszyć.

-

Może ma szczerze zamiary - zasugerował Oberon. - Daj mu jeszcze jedną szansę. Poddaj go jeszcze kilku próbom. Jeżeli im podola, to opowiemy mu, co się tu wydarzyło.

-

Czy ty również jesteś tego zdania, Dahut?

-

Podzielim zdanie Oberona. Niech wykaże się odwagą, a – spełnimy jego prośbę.

-

Do diabła! Zabawimy się jak nigdy dotąd. Trzymaj się karzelku.

Sprawię, że pożałujesz swej śmiałości.

Jego słowa znaczyły dokładnie to, co miały oznaczać. Jeżeli uda mi się sprostać wyzwaniu, to skończą się wreszcie moje kłopoty, ale to nie był łatwy przeciwnik.

Trony rozsunęły się na boki tworząc przestronną arenę, a mój wierny

Huon znalazł się na gałęzi szczelnie oplatany lianą.

Inne gałęzie pokryły się natychmiast wojownikami w pełnych zbrojach, którzy wznosili bojowe okrzyki czyniąc niesamowity hałas.

Mój przeciwnik od pierwszej chwili dał poznać swoje liczne możliwości zamieniając się w smoka ziejącego ogniem. To nie była hipnoza, bo na nią byłem uodporniony. Musiałem więc mieć do czynienia z teleportacją.

Realność potwora nie budziła żadnych wątpliwości. Z tym nie należało

żartować.

Na szczęście moi instruktorzy przekształcili mnie w maszynkę do walki o błyskawicznym refleksie.

Anty - g pozwoliło mi uskoczyć z drogi smoka i unosić się nad nim. Smok czerwienił się, pluł dymem i ogniem i starał się dosięgnąć mnie pazurami, ale byłem cały czas poza jego zasięgiem. Ogień był realnym niebezpieczeństwem ponieważ zagrażał całości skafandra. Nie mogłem zbyt nadwerężyć swoich zasobów energetycznych, więc natychmiast zmieniłem lokalną entropię. Cóż, każdy robot potrzebuje jednak zasilania.

Mój atak udał się znakomicie. Podo mną leżała tylko kupa złomu. Woda n nie przejął się tym zbyt. Musiał jedynie stwierdzić, że zastosowane przeciw mnie zdalnie kierowanych robotów do niczego nie doprowadzi. Zmienił więc taktykę.

W miejsce smoka pojawiła się ropucha wielkości mojej kapsuły, plująca na dziesięć metrów jakimś kwasem. Przekonałem się o tym już w pierwszej sekundzie. W tarczy pojawiła się dziesięciocentymetrowa dziura. Na szczęście mój skafander mógł wytrzymać dowolną substancję chemiczną lub bakteriologiczną.

Wypróbowałem najpierw swoją poprzednią sztuczkę, ale bez rezultatu.

Żaba skakała z miejsca na miejsce jakby nigdy nic. Woda n musiał zastosować urządzenia przywracające normalną entropię, które niwelowało działanie mojej broni.

Problem rozwiązałem granatem atomowym rzuconym w momencie, w

którym entropia była normalna. Wybuch cisnął szczątkami aż po widzów siedzących na najwyższych gałęziach.

Druga runda dla mnie.

Wtedy pojawiła się przede mną Nicolette. Trzymała w ręku napięty luk i celowała w moją pierś.

Nie zastanawiając się skoczyłem w bok unikając strzały o milimetry. Ten podstęp dotknął mnie jednak najbardziej. Jeżeli była to naprawdę moja ukochana, to nie mogłem przecież jej zabić.

Szybki sondaż psychiki przekonał mnie o najgorszym. Ten przeklęty

Wodan przetransportował tu naprawdę Nicolette. Teleportował ją krok w krok za mną. Porzuciła luk i wołała do mnie przez łzy, płynące obficie po twarzy.

Chciałem zastosować anty - g ale i tak zużywał już dużo energii na unoszenie mnie w powietrzu. Działanie na entropię spowodowałoby natychmiast jej śmierć. Rozdzierany między uczuciem a obowiązkiem mogłem tylko uciec. Gdybym wpadł w jej ramiona, to zabiłaby mnie krótkim sztyletem zwisającym u jej boku.

Słyszałem śmiech Oberona i Dahut, który doprowadzał mnie do pasji.

-

No, Aucassin. Czemu nie pocałujesz swojej ukochanej?

-

Boi się, że go ukąsi. Pajęczycy nie są ponoć zbyt łaskawe dla swoich wybrańców.

-

Kiedy cię widziałam w Ys, byłeś o wiele twardszy.

Jedyną szansą na zakończenie tego koszmaru było uwolnienie Nicolette spod wpływu hipnozy. Zastosowałem aparat emitujący błyski nastawione na psychikę Nicoletty. Zabezpieczyłem się jeszcze w pałacu Olbrzyma w jej odciski psychiczne, żeby móc ją łatwiej odnaleźć po zakończeniu zadania. Odczekałem chwilę i krzyknąłem:

-

Ta wspaniała noc pozostanie na zawsze w mojej pamięci. Odtąd będę żyła jedynie oczekiwaniem na twój powrót.

Natychmiast zobaczyłem efekt swojego działania. Nicolette opadła na ziemię i przetarła oczy, jakby dopiero się obudziła z okropnego snu.

Rozejrzała się wokół ze zdumieniem i wreszcie dostrzegła mnie.

-

Aucassin... Co za szczęście. Ale co my tu robimy? Miałam straszny sen... że powrócił Olbrzym i walczyłam z nim.

-

To nic, kochana. Teraz już wszystko jest w porządku. Jesteśmy w siedzibie Wodana, Odejdź na bok, bo muszę walczyć z Wodanem. Stań obok Huona.

Rycerz jakoś uwolnił się z liany i teraz sam przyszedł ciągnąc ją za rękę pod osłonę gałęzi.

Wodan zaatakował mnie wtedy jednocześnie na kilka sposobów.

Psychicznie przy pomocy elfów, które starały się mnie zahipnotyzować swoimi ognikami. Uczuciowo, teleportując Nicolette w objęcia węża,

który nagle pojawił się na gałęzi. Fizycznie, rzucając we mnie kulę ognia i chemicznie rozpylając wszędzie opary gazu halucynogennego.

Pozbyłem się elfów generatorem entropii, który przy okazji uwolnił mnie od ognia.

Mój skafander automatycznie zaczął mi dostarczać tlen i jedynym problemem pozostawała Nicolette. Uznałem, że ci faceci przebrali miarkę.

Skoczyłem natychmiast w stronę Oberona i Dahut, którzy z uśmiechem politowania przyglądali się moim wyczynom i uruchomiłem urządzenie, które trzymałem na ostatnią chwilę.

W naszych arsenalach ten supertajny system używany jest do przechowywania bomb z antymaterii. Ponieważ nawet najmniejszy kontakt z materią grozi wybuchem, więc nasi uczeni opracowali sposób wytwarzania wokół tych bomb absolutnej próżni stwarzając tym samym doskonały izolator. Normalna materia była automatycznie odpychana od tej bariery. Niewiele wiedziałem na temat zasady działania tego aparatu, ale nie to się przecież liczyło.

Faktem jest, że obaj współnicy Wodana znaleźli się w doskonałym więzieniu, z którego nie mieli żadnych szans wydostania się.

- Głowa za głowę, Wodan! - krzyknąłem. - Uwolnij Nicolette albo tych dwoje udusi się na twoich oczach.

ROZDZIAŁ X

Argument miał swoją wagę, ale Wodan widocznie nie wiedział o tym, bo nie wydawał się w najmniejszym stopniu przejęty losem współników.

Jeden rzut oka na nich przekonał mnie, że i oni nie przejęli się tym zdarzeniem, a sądząc po ich uśmiechniętych twarzach musieli być w doskonałych humorach.

Wreszcie usłyszałem serdeczny śmiech Wodana, który wciąż pozostawał niewidzialny.

-

Setni! Czy ty naprawdę uważasz nas za dzieci? Złapałeś jedynie dwa roboty. Prawdziwej Dahut i Oberona nie ma tutaj. Mnie także tu nie ma.

Wierz mi, że żałujemy tego. Muszę ci pogratulować tej kuli izolującej. To naprawdę świetne urządzenie. Ludzie są widać jednak na poziomie. Masz dowód mojego uznania.

Na te słowa wąż pętający Nicolette zniknął i piękne dziewczę natychmiast rzuciło się w moje ramiona. Huon również uznał, że może już zejść na arenę.

Przez chwilę ściskaliśmy się wszyscy z radości. Wodan nie przeszkadzał nam, szanując nasze uczucia.

-

Bądź więc zadowolony, że w naszej walce nie ma zwycięzcy ani pokonanego. Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, to proponuję kontynuować naszą dyskusję w przyjemniejszym miejscu.

Jakby pod wpływem czarów znaleźliśmy się w wielkim pokoju skąpanym w słońcu. Ci ludzie posiadali jednak niesamowitą wiedzę.

Poprzez szerokie okna widać było radosny krajobraz przesuwany się pod nami. Wodan pozbawiony swojej zbroi spoczywał w wygodnym fotelu

obok Dahut i Oberona.

Nie mogłem nie zauważyć jeszcze raz piękna karła i księżniczki, ale ręka którą ściskałem w swojej dłoni przez cały czas, była mi jeszcze droższa.

-

Napije się pan czegoś, kapitanie Setni? - spytał mnie milutki android prezentując tacę z różnymi trunkami.

Uśmiechnąłem się na wspomnienie tego samego pytania sprzed kilkunastu dni, kiedy leciałem dopiero na spotkanie z Kamplem, wezwany przez Wielkie Mózgi.

-

Możesz wypić ten Koktajl Komandorski bez najmniejszej obawy.

Gwarantuję ci, że nie ma w nim żadnej szkodliwej substancji i mam nadzieję, że będzie ci smakować.

Skosztowałem więc płynu z podanej mi szklanki i musiałem przyznać, że naprawdę był znakomity.

-

Twoja waleczność i upór przemówiły na twoją korzyść – stwierdził wtedy Oberon. - Doceniamy zwłaszcza twoją postawę wobec ruin, które odkryłeś na wyspach. Twoja miłość jest głęboka, a twoja przyjaźń wierna.

Jesteśmy teraz przekonani, że twoja rasa nie posiada duszy wojowniczej, która jest cechą charakterystyczną wielu ras ludzkich we wszechświecie.

Dlatego pozwolimy ci dokończyć misji. Poznasz wreszcie rozwiązanie wszystkich zagadek.

-

Tylko tego pragnę... Ale powiedzcie, skąd znacie moje imię i

przyzwyczajenia. Mam wrażenie jakbym siedział ze starymi przyjaciółmi.

-

Jesteśmy twoimi przyjaciółmi, Setni - włączyła się Dahut. – Nawet

jeżeli nie należymy do twojej rasy. Musisz wiedzieć, że ciała, które siedzą

przed tobą są jedynie robotami przekazującymi nam wszystkie uczucia...

Tak, w Ys również miałeś do czynienia z robotem. Mam nadzieję, że nie

czujesz się urażony?

Przekląłem w duchu, jak to zwykle się czynić we flocie, a więc

niecenzuralnie i przede wszystkim nie odezwałem się ani słowem nie

chcąc, żeby Nicoiette była świadkiem opowieści o mojej przygodzie.

-

Robotem? Macie więc szczególne osiągnięcia w tej dziedzinie.

Czyżbyście byli cyborgami?

-

Bynajmniej, mój drogi - zaśmiał się Oberon. - Chociaż to

rozwiązanie

wolelibyśmy

od

obecnego,

bo

wtedy

mielibyśmy

przynajmniej mózgi. Los zmusił nas do zastosowania innej metody,

jeszcze bardziej skomplikowanej. Wkrótce zrozumiesz, dlaczego.

-

Jeżeli się zgodzisz, to przeniesiemy twoją świadomość w przeszłość tej planety - zaproponował Wodan. - W ten sposób sam zrozumiesz jaka straszliwa katastrofa nas dotknęła i doprowadziła do stanu, w którym się znajdujemy.

Zgodziłem się po krótkim wahaniu. W końcu wiedziałem, że mieli potężne środki w swojej dyspozycji. Zamiast teleportować mnie do miasta Oberona mogli przecież z powodzeniem umieścić mnie w jakiejś dziurze czy po prostu zabić. Mogłem więc im zaufać.

Podłoga naszego pokoju stała się nagle przezroczysta a sam pokój zniknął. Leciałem z szaloną szybkością ponad górami i dolinami aż wpadłem w absolutną ciemność. Kiedy znowu mogłem widzieć ujrzałem przed sobą cudowne miasto. Było podobne do tego, którego ruiny oglądałem z Huonem na wyspie, z tą różnicą, że tętniło życiem.

Głos niewidzialnego dla mnie Wodana komentował oglądane obrazy.

-

Oto miasto naszych przodków... Jak widzisz były one wspaniałe a ich mieszkańcy cieszyli się życiem. Nieszczęście polegało na istnieniu dwóch różnych ras. Jedna zamieszkiwała kontynent a druga wyspy, które zwiedzałeś. A przecież nie mieliśmy problemów materialnych. Energii dostarczały nam oceany, wodór zasiliał olbrzymie baterie plazmowe.

Proteiny były syntetyzowane w automatycznych fabrykach. Nie groziła nam żadna klęska żywiołowa. Nasza planeta krążyła wtedy wokół słońca

leżącego na skraju Drogi Mlecznej, bliżej Obłoku Magellana. Oprócz naszej, jeszcze osiem innych planet okrężało tę samą gwiazdę i do dwóch z nich dotarli nasi astronauty. Stwierdziliśmy na nich ślady życia, które zupełnie różniło się od naszego. Najbardziej niepokoił nas fakt, że astronauty odkryli również dziwne urządzenia znajdujące się w doskonałym stanie, choć nasi uczeni nie potrafili określić ich przeznaczenia. Prawdziwe problemy wynikły jednak z zupełnie innej przyczyny. Osiągnęliśmy znaczne postępy w dziedzinie fizyki, chemii i biologii. Zupełnie zacofani byliśmy natomiast w naukach społecznych.

Obie rasy stworzyły osobne bloki polityczne żyjące w zupełnej izolacji i usiłujące narzucić sobie nawzajem własne ideologie. Zbudowano olbrzymie floty statków kosmicznych uzbrojonych po zęby i mogących w każdej chwili zniszczyć całkowicie stronę przeciwną. Przez długi czas udawało nam się utrzymywać status quo. Władcy bali się wyzwolić siły mogące zniszczyć całą planetę. Wiedzieli, że strona przeciwna odpowie tym samym i że zanieczyszczenie atmosfery samo w sobie uniemożliwi wszelkie życie.

Głos Wodana zamilkł na chwilę, jakby te wspomnienia wzruszyły go.

Jednocześnie pojawiły się obrazy silosów z raketami, satelitów szpiegowskich i ponurych krajobrazów pozostałych po eksperymentach z bombami dużej mocy.

- Któregoś dnia, ku naszej zgubie, władzę na wyspach przejął dyktator zdecydowany za wszelką cenę narzucić swoje poglądy przeciwnej nacji. Z

początku mówił wszystkim, którzy go słuchali lub nie, że pragnie tylko pokoju i dobra swojego narodu, I rzeczywiście, zbudowano wtedy nowe miasta, fabryki, wprowadzono do użycia popularny i tani samolot pozostający w zasięgu kieszeni każdego obywatela. Natrafił jednak po pewnym czasie na problem nie do rozwiązania. Na wyspach nie istniała bowiem kontrola narodzin i bardzo szybko stały się one przeludnione. Wtedy zaczął wysuwać żądania terytorialne. Rozumieliśmy jego sytuację i w początkowym okresie nasz rząd nie sprzeciwiał się aneksji niektórych wysp leżących na oceanie południowym. Tymczasem nasze informacje satelitarne i szpiegowskie wykazywały niesłychany wysilek w dziedzinie uzbrojenia. Musieliśmy więc robić to samo. Zbudowano nowe rakiety, statki kosmiczne, łodzie podwodne i bomby. Wróciła równowaga oparta na wzajemnym zagrożeniu, ale nawet to zadowoliło nasze narody pragnące za wszelką cenę pokoju. W tym okresie dokonał się olbrzymi rozkwit sztuki i literatury. W ciągu całej przeszłej historii nie było takiego boomu w tych dziedzinach. Artyści tworzyli prawdziwe cuda.

Widziałem wewnątrz muzeum zwiedzanego przez tłumy i musiałem przyznać, że Wodan nie kłamał. Ci ludzie dokonali cudów w dziedzinie sztuki i ich dzieła przynosiły im zaszczyt. Niewiele ras w naszej Konfederacji mogło się pochwalić podobnymi osiągnięciami.

- Niestety - kontynuował Wodan - ta sytuacja nie trwała długo. Los skazał naszą planetę na straszliwe przeznaczenie. Dyktator postanowił narzucić swoje ideologie wszystkim i przeznaczył ogromne fundusze na rozwój mikrobiologii. Jego laboratoria zostały tak dobrze ukryte pod ziemią i w

głębinach oceanów, że nasze satelity nie od razu je odkryły. Odnotowały jednak podejrzaną aktywność przeciwnika w rejonach pustynnych i zwiększenie zużycia energii na obszarach nie zamieszkanym. Tajemnica była tak dobrze strzeżona, że nawet nasi najlepiej ulokowani szpiedzy nie potrafili niczego konkretnego powiedzieć. Według ich informacji w laboratoriach tych pracowano nad rozwojem nowych kultur wodnych. Wydawało się to prawdziwe, jeżeli ktoś znał sytuację demograficzną na wyspach. Przez ten czas w większości naszych miast stworzono siatki agentów interesujących się w zasadzie wyłącznie urządzeniami klimatyzacji i kanalizacji. Tylko niewielu z nich udało nam się zdemaskować, przez co nie mogliśmy zorientować się w tych dziwnych preferencjach. Sami skierowaliśmy w tym czasie główny wysiłek na rozwój technik nauczania pod hipnozą. Wybudowaliśmy olbrzymie biblioteki, w których wiedza dostępna była dla każdego za niewielką opłatą. W owych czasach ja i ci, których znasz jako Dahut i Oheron, pracowaliśmy w jednym z ośrodków badań psychicznych. Nie interesowaliśmy się polityką pochłonięci rewolucyjnym wynalazkiem. Sądzę, że wasza konfederacja zna zastosowanie robotów i cyborgów?

-

Owszem - potwierdziłem. - Udało się nam nawet mózgi naszych największych uczonych uczynić prawie nieśmiertelnymi. Wielkie Mózgi - bo tak ich nazywamy - są umieszczone w specjalnych pojemnikach zasilających ich neurony, odżywiających je i usuwających odpadki. Okresowo są one budzone dla uzupełnienia wiedzy. Kiedy zaś Wielka

Rada trafia na jakiś szczególnie trudny problem, to wtedy budzimy je i prosimy o pomoc. Swoj czas spędzają one na prowadzeniu badań, ale muszą odpoczywać przez długie okresy. Utrzymanie ich przy życiu wymaga tak wielkich nakładów, że przechowuje się tylko mózgi największych geniuszy.

-

Ten problem zajmował nas przez długi czas i doszliśmy do podobnych rezultatów. Nasza ekipa poszła wtedy w zupełnie inną stronę. Zamiast wykorzystywać szalenie nietrwały materiał biologiczny, postanowiliśmy spróbować przenieść całą osobowość na system elektroniczny.

Pragnęliśmy stworzyć bliźniaka umysłowego z

przeniesionymi wszystkimi uczuciami, radościami i smutkami, słowem z zachowaniem pełnej osobowości.

Takie podejście dawało olbrzymią przewagę nad dotychczasowym. Miniaturyzacja poszła tak daleko, że mogliśmy osobowość umieścić w dowolnym cyborgu wzmacniając dodatkowo jego możliwości. Takie metody pozwoliłyby na przykład na zlikwidowanie załóg złożonych z biologicznie żywych ludzi w astronautyce. Moglibyśmy więc badać nie tylko naszą planetę, ale całą Galaktykę.

-
Niewiarygodne - stwierdziłem z uznaniem. - Faktycznie, to rozwiązanie daje niewyobrażalne możliwości w dziedzinie badań kosmicznych. Nie obawialiście się jednak, że taka transplantacja może wywołać nieodwracalne zmiany w psychice ludzi poddanych zabiegowi?

-
Słuszna uwaga, mój drogi. Z początku był to poważny problem.

Teraz już go częściowo rozwiązaliśmy. Myślę, że podziwiałeś zachowanie seksualne Dahut w czasie twojej przygody w Ys.

To wspomnienie wprawiło mnie w zakłopotanie i mimo woli poczułem, że się czerwienię.

Wodan tymczasem kontynuował niewzruszonym tonem.

-
... A przecież to był tylko robot goszczący czasowo jej osobowość. A więc rozkosz, jak sam widziałeś, nie jest dla nas niedostępna. Ale wróćmy do epoki, w której doszło do ludobójstwa, które cię tak zbulwersowało i zmusiło do podejrzenia nas o jego spowodowanie. Nasi przeciwnicy przygotowali wszystko do rozpoczęcia błyskawicznej ofensywy z zastosowaniem nowej broni. Dyktator postawił na broń biologiczną o wielu zaletach. Przede wszystkim pozwalała mu wyeliminować naszą ludność, nie niszcząc miast i fabryk. Postanowił zastosować nowo wyhodowany wirus atakujący natychmiast system nerwowy i wywołujący paraliż.

-

Teraz rozumiem, dlaczego ruiny są nie zniszczone.

-

Wirus, który zastosowali nasi przeciwnicy został pozbawiony swojej oryginalnej otoczki proteinowej, służącej za nośnik antygenów i zastąpiono go otoczką zupełnie nieszkodliwego wirusa. W ten sposób organizmy naszych obywateli nie mogły wytworzyć antyciał. Ten rozebrany wirus zachował swój ARN, nośnik właściwości zakaźnych, który wywoływał prawie natychmiastowy paraliż. Nasi wrogowie otrzymali potajemnie antydozę wmieszaną do środków spożywczych, tak że zostali wszyscy uodpornieni na działanie wirusa.

-

Jak to się więc stało, że oni również zginęli?

-

Zaraz do tego dojdę. O godzinie H we wszystkich naszych miastach wrogowie rozpoczęli zakażanie źródeł wody, obwodów klimatyzacyjnych, powietrznych. Równocześnie satelity rozpoczęły zrzucanie na wsie kapsuł z zarazkiem. Cały kontynent został w błyskawicznym czasie skażony. Jak widziałeś, skutki były przerażające.

Ponownie przed moimi oczami pojawił się obraz miasta.

Patrzyłem na chwiejne postacie, które na czworakach starały się dostać do jakiegoś schronu. Pojazdy i samoloty usiłowały lądować awaryjnie wywołując katastrofy. Syreny alarmowe wyły bez przerwy. Zaraza nie wszystkich dosięgła jednocześnie. W schronach wojskowych zdążyły zadziałać systemy prewencyjne, ale to było jedynie przedłużeniem agonii.

Członkowie rządu zdawali sobie sprawę z rozmiarów katastrofy, przynajmniej ci, którzy pracowali akurat w salach podziemnych. Dla nich również nie było ratunku.

Ponownie zobaczyłem obrazy z zaatakowanego miasta pokazujące nieszczęśników próbujących bezskutecznie różnych lekarstw. Po kilku minutach wszyscy byli sparaliżowani i umierali przez uduszenie.

W miarę jak pojawiały się przed moimi oczyma kolejne obrazy z miasta widać było na nich coraz mniej ludzi.

Wreszcie ten koszmar dobiegł końca.

- W niektórych wypadkach - ciągnął dalej Wodan - udawało się niektórym przeżyć nawet przez kilka dni. Zwłaszcza w bazach wojennych, z których udało się wystrzelić część naszych rakiet, choć większość została przechwycona przez system antyrakietowy przeciwników.

Dwadzieścia minut po godzinie H rozpoczęły lądowanie grupy komandoskie. Bez specjalnych kłopotów zlokalizowali żyjące jeszcze grupki niedobitków i zabiły je przez wysadzenie hermetycznych drzwi prowadzących do schronów. Czterdzieści osiem godzin od rozpoczęcia wojny, na naszym kontynencie nie było już żywych ludzi, nie licząc grup uderzeniowych wroga. A jednak mnie, Dahut i Oberonowi udało się uniknąć zagłady.

-

Dzięki waszemu wynalazkowi, tak?

-

Właśnie. Nasze laboratorium musiało pracować w sterylnej

atmosferze. Poprzednio udało nam się zrobić udane matryce psychiczne papugi a 'nawet małpy. Dokonaliśmy także udanych doświadczeń z delfinami przeszkolonymi w porozumiewaniu się z ludźmi za pośrednictwem specjalnej aparatury.

Zwłaszcza te ostatnie doświadczenia wykazały niezawodność naszych urządzeń. W chwili ataku specjalny nadajnik wojskowy - poinformował nas o jego prawdopodobnej naturze. Po krótkiej dyskusji doszliśmy do wspólnego wniosku: jedynym ratunkiem przed okropną śmiercią, jest transfer naszych osobowości do matryc psychicznych. W laboratorium było wiele robotów, komputerów i pełne wyposażenie oraz automatyczne zasilanie jądrowe. Wystarczało włączyć obwody naszego przyszłego mózgu do zespołów sterujących wszystkich tych urządzeń. To zajęło nam ponad dwadzieścia godzin morderczej pracy. Na szczęście nasz ośrodek nie znajdował się na liście priorytetowej wroga. Nikt nie próbował nas niepokoić. Wreszcie ostatni raz uścisnęliśmy sobie dłonie i zajęliśmy miejsca w aparaturze uruchamiającej proces transferu. Przyznaję, że w tym momencie byłem mocno zaniepokojony swoim losem. W praktyce wszystko jednak odbyło się znakomicie i po "obudzeniu się" staliśmy się psyborgami - taką właśnie nazwę przyjęliśmy na określenie osób poddanych transferowi do

matrycy psychicznej. Również nasze połączenia z maszynami w laboratorium funkcjonowały znakomicie, dzięki czemu nie straciliśmy kontaktu ze światem zewnętrznym. Oczywiście cała ta technologia została później udoskonalona.

-

Niesamowite! A więc wirus już nie mógł wam zagrozić? Ale wciąż nie wiem co spowodowało śmierć waszych wrogów, skoro zostali uodpornieni na działanie tego wirusa?

-

Już do tego dochodzę. Wirus został w praktyce rozsiany po całej planecie, i wtedy stało się coś nieprzewidzianego. Czy to zrządzenie losu, czy też za sprawą nieznanymi nam istot - może tych, których ślady odkryliśmy na planetach naszego systemu. Nie wiem. Faktem jest, że wirus okazał się niestabilny i zmutował. Zachował wszystkie swoje właściwości, ale zmieniła się otoczka proteinowa. Stara szczepionka przestała więc działać i nasi wrogowie stali się ofiarami swojego wynalazku.

-

Aż się nie chce wierzyć. A jednak wszystko się zgadza z tym co widziałem...

-

Dyktator umarł jako jeden z ostatnich i wreszcie zaczął rozumieć rozmiar swojej zbrodni. Nie czekał na wyczerpanie się zapasów w swoim schronie i popełnił samobójstwo. Według sygnałów radiowych

nadawanych z bunkra w ostatnich sekundach życia był kompletnie oszalały. Z całej populacji planety zostało więc zaledwie troje psyborgów. Potrzebowaliśmy sporo czasu, żeby się pozbierać po tych przeżyciach. Wreszcie doszliśmy do wniosku, że musimy kontynuować nasze badania, żeby kiedyś ponownie zaludnić planetę. Jak się zapewne domyślasz nie trwało to dzień czy dwa. Dla nas nie miało to znaczenia, bo przecież osiągnęliśmy właściwie nieśmiertelność. Po trochu, korzystając z nieograniczonych zasobów i możliwości elektroniki, poznaliśmy dotychczasową wiedzę naszych uczonych. Nasze badania zaawansowały je jeszcze dalej. Wreszcie nauczyliśmy się tworzyć kopie naszych matryc, z których każda zajmowała się jedną dziedziną nauki. Powoli zaczęliśmy budować nowe fabryki i laboratoria. Co pewien czas nasze różne "ja" spotykały się, dokonywaliśmy syntezy naszej wiedzy i rozdzielaliśmy się ponownie. Przez cały ten czas planeta wyglądała jak pustynia. Tylko rośliny i kilka gatunków zwierząt uszło z katastrofy. Ta sytuacja trwała bardzo długo. Nasze elektroniczne zmysły pozwalały nam utrzymywać kontakt ze światem, ale coraz częściej odczuwaliśmy brak żywych istot w tym monotonnym krajobrazie. Odkryliśmy w tych czasach sposób podróżowania całą planetą w przestrzeni wielowymiarowej

i

rozpoczęliśmy podróż po Drodze Mlecznej wielokrotnie zmieniając słońce. Wciąż obawialiśmy się tych tajemniczych istot, które być może przyczyniły się do zmutowania wirusa. Podejrzewaliśmy, że pochodzą one z Obłoku Magellana. Dlatego właśnie uciekliśmy z naszego oryginalnego systemu, który był zbyt blisko tej grupy gwiazdnej. Muszę ci również powiedzieć, że zawsze starannie unikaliśmy innych ras ludzkich, ponieważ nieprzerwanie były zajęte wojnami i przemocą, co nas napawało przerażeniem. Wreszcie dopadła nas nuda. Nieprzerwane badania naukowe sprzykrzyły nam się i coraz częściej marzyliśmy o dawnych czasach... Dysponowaliśmy zasobami całej planety, nowoczesną nauką i postanowiliśmy urealnić nasze sny i stare legendy opisywane w archaicznych przekazach.

-

I wtedy stworzyliście te androidy grające role własnych niewolników spełniających najmniejsze kaprysy...

-

Setni. Oceniasz nas swoją ludzką miarą. Nie zapominaj, że jesteśmy psyborgami i myślimy innymi kategoriami. Wedle naszej fantazji zapełniamy teatr naszej planety aktorami odtwarzającymi dawno upadłe cywilizacje. Nie sądź jednak, że robimy to wyłącznie dla naszej przyjemności. Za każdym razem prowadzimy poważne badania psychologiczne i socjologiczne, które mają nam pomóc zrozumieć rozwój cywilizacji ludzkich. W przyszłości pozwoli to uniknąć wielu kłopotów

nowym cywilizacjom.

-

Dlaczego więc skazaliście Nicolette i Huona na tak krótkie życie?

-

Sądysz, że są przez to nieszczęśliwi? Do momentu twego przyjazdu nie znali normalnych ludzi. Rzadko bywają chorzy. Nie znają pojęcia głodu.

-

Pragnąłbym jednak pomóc im stać się normalnymi ludźmi. Ten problem jest możliwy do rozwiązania. Wystarczy wszczepić im jeszcze jedną nerkę.

-

Znowu zbyt upraszczasz, Setni. Tak jak ich stworzyliśmy z ich metabolizmem, nie mogą żyć dłużej niż trzydzieści lat. Rozumiem doskonale twoje rozterki. Obawiam się jednak, że nic nie będziemy mogli zrobić, żeby ci pomóc. Jakie życie u twojego boku miałyby stara i pomarszczona Nicolette w pełni twoich lat? Nie możesz jej zabrać ze sobą.

Huon natomiast

marzy teraz jedynie o spotkaniu swojej Esclarmondy. Jedyne co możemy ci zaproponować, to pomoc w zapomnieniu tej przygody. Będziesz miał inne miłości swojego życia i zapomnisz o tej, która jak kwiat zwiędnie szybko.

Te słowa rozrywały mi serce. A więc spotkałem swoją ukochaną jedynie po to, żeby ją utracić?

A przecież nie mogłem zaprzeczyć słowom Wodana. Nicolette nie byłaby szczęśliwa ze mną. Należeliśmy do dwóch ras i cywilizacji zbyt różniących się od siebie i nikt nie mógł nic na to poradzić.

Powróciliśmy do pokoju w latającym mieście Oberona. I to on wyrwał mnie z ponurych myśli.

-
No cóż, Setni. Twoja wizyta na naszej planecie dobiega końca.

Wykonałeś swoje zadanie. Opowiesz Kampłowi to, czego się dowiedziałeś.

Niech się niczego nie obawia. Nie mamy zamiaru zostawać w tym rejonie.

Zamierzamy zbadać sąsiednie galaktyki. Może tam czai się jakieś niebezpieczeństwo, które zagraża również twojej konfederacji. Może więc spotkamy się jeszcze któregoś dnia.

Danut wstała i podeszła do mnie szepcząc mi w ucho:

-
Nie martw się przyjacielu. Już sprawiliśmy, że Nicolette i Huon nie pamiętają ciebie i w swoim własnym interesie nie staraj się z nimi spotkać, bo tylko wywołasz w nich przykre wspomnienia. Po prostu pożegnaj się z nimi. Twoja kapsuła zaraz tu będzie i będziesz mógł spotkać się z Pentoserem, który nie przestaje zamartwiać się o ciebie.

Żegnaj więc Setni i jeżeli czasami pomyślisz o nas, nie myśl o nas źle.

Nasze przejścia były straszne. W jednej chwili straciliśmy wszystkich bliskich i musieliśmy zaadaptować się do zupełnie innego sposobu życia.

Takie nieszczęścia nie mogą już nigdy się powtórzyć.

Byłem oszołomiony przeżyciami ostatnich godzin.

Wszystko odbyło się jak we śnie. Uściskałem dłoń walecznego Huona.

Pocałowałem po raz ostatni Nicolette i w chwilę później znalazłem się za sterami swojej kapsuły w drodze do Pentosera.

Zanim przyjęli mnie na pokład musiałem przejść przez całkowitą dezynfekcję i dopiero potem znalazłem się w potężnych uściskach mojego przyjaciela.

-
Boże! - krzyczał ze wzruszeniem - straciłem już nadzieję na twój powrót. Miałem właśnie prosić o pomoc z Kalapolu. Mów wreszcie co się z tobą działo!

-
To długa historia mój stary. Zdążysz ją jeszcze poznać w szczegółach. Teraz jestem skonany. Daj mi się wyspać zanim wrócimy do Kalapolu.

-
Cholera, jestem kompletnym idiotą. Musiałeś przecież mieć nieliczne przejścia. O nic się nie martw, zajmę się powrotem.

-
W każdym razie bądź spokojny, zadanie wykonane. Kampl będzie zadowolony. Przynajmniej mam taką nadzieję. Mieszkańcy tego systemu nie zagrażają nam.

-
Dobra, dobra. Nie gadaj tyle, idź spać i przyjemnych snów.

Snów miałem dość na długo. Teraz, kiedy już wiedziałem o czym marzą

**psyborgi nie czulem się tym samym człowiekiem co kiedyś. Tuż przed
zaśnięciem włączyłem ekran, żeby jeszcze raz zobaczyć tę planetę.**

Niestety, straciłem ją na zawsze.

Koniec.